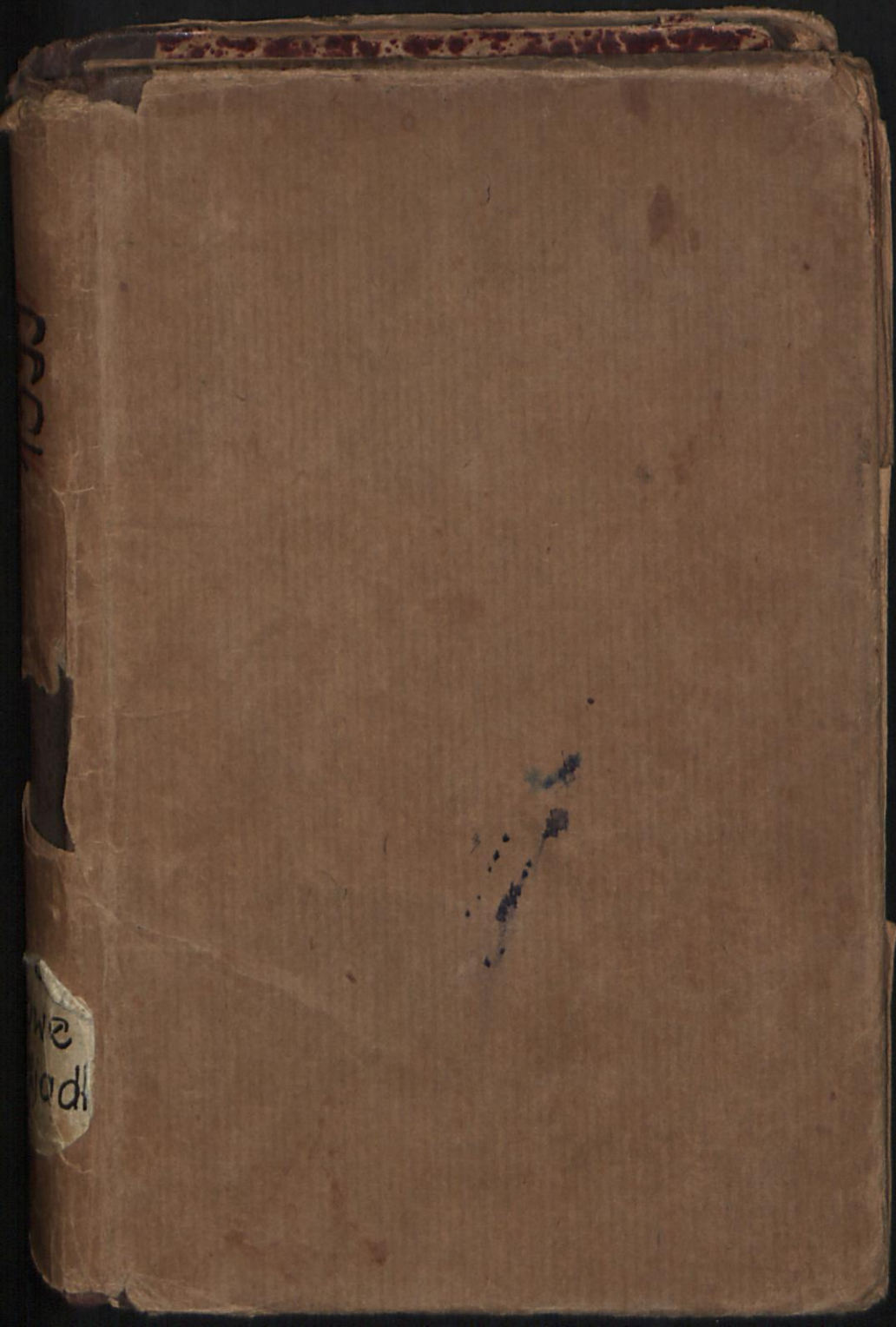




we
odl



2165

1399

1082

CZYTELNIĄ KRAJOWĄ

G. L. i H. Lichlańskich

Warszawa, Szpitalna № 4 m. 19.

KSIAŻKI TRZESCI FIZJOLOGICZNEJ, OPISOWEJ
I BELETRYSTYCZNEJ MIESIĘCZNIKI TYGODNIKI
I DZIENNIKI DO CZYTANIA NA MIEJSCU I WY-
POŻYCZANIA NA MIASTO I NA PROWINCJĘ

Warunki dostępne. Jednorazowe wejście kop. 5.
Otwarta codziennie od g. 9. rana do g. 9 wieczora.

ARM. 02. 1.

187-188

187-188

57089
+Beecher Stowe.

+PODJADKI

+ SZCZĘŚCIA RODZINNEGO.

OPOWIADANIE.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO.

~~2185~~



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

—
1892.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

1399

820-3+910.4

Beech

Podj
5

Księgozbiór BP



10098986

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

13935/P



WSTĘP.

— Co nam przynosisz, ojezulku? — zawołała moja córka Jenny, widząc mnie wchodzącego do saloniku ze starym zeszytem w ręku; i poskoczyła żywo mała ciekawska, rzucając swoje robotę, aby mi go odebrać.

— Ostrożnie, moja panno, trochę cierpliwości; zaraz wam pokażę, co znalazłem w bibliotece.

Zeszyt jednak już był w ręku Jenny, która ciekawie przerzucała jego kartki.

— Co to jest? Stary rękopis, atrament wyblakły, tytuł „*Podjadki*.” To będzie coś zajmującego dla mnie. Tej wiosny rady sobie z niemi dać nie mogłam: wszystkie truskawki mi zjadły i w inspektach szkody niemało zrobiły. Może tu znajdzie jaką radę na nich.

— Znajdziesz, córeczko, znajdziesz, i nie jedną dobrą radę; nie na te podjadki, które niszczą twój ogród, ale na te, stokroć szkodliwsze, które do domów naszych się zakradają i podgryzają ko-

rzenie zalet naszych i przymiotów, czynią rodziny podobnemi zniszczonym przez podjadki grzędom.

— Nie rozumiem dobrze twej myśli, ojezulku; wytłómacz mi ją jaśniej.

— Myśl to nie moja. Ojciec mój tak zwykle nazywał małe i niskie pokusy, którym się nikt nie broni, bo ani przypuszcza ich szkodliwości, a one jednak mogą podkopać szczęście w rodzinie i zniszczyć całą piękność tej podstawy społeczeństwa.

Widzimy nieraz dom wygodny i elegancki, ozdobiony wszystkiem, co sztuka i przemysł wymyśliły dla uprzyjemnienia i udogodnienia życia. W tem rozkosznem mieszkanku, wśród mebli ozdobnych i wygodnych, kwiatów, obrazów, dzieł sztuki, żyją ludzie, połączeni najbliższemi węzłami. Pokrewieństwo, wspólność interesów, zajęć, przyjaźń, miłość, składają ogniwa tego nierozzerwalnego łańcucha, który jednak nie wywiera żadnego wpływu na indywidualność i osobiste skłonności każdego z nich. Przypuśćmy nawet, że wszyscy oni posiadają wiele zalet, szlachetny charakter, pobożność, obowiązkowość, a jednak nie mają przy tych warunkach szczęścia, jakiego mogliby się spodziewać. Zakradły się pomiędzy nich owe drobne z pozoru wady, na które nikt nie zważa,—a jednak niszczą one szczęście całej rodziny, jak podjadki twoje grządki. Kochając się prawdziwie, gotowi umrzeć jedno za drugie,—ale nie potrafią w zgodzie i harmonii żyć

pod jednym dachem. Fakt to, niestety, zbyt często się powtarzający, a powodem jego, że rodzina, będąc świątynią i skarbnicą najgorętszych naszych uczuć, bywa także miejscem zupełnego zaniedbania się. Odgrywamy tu nieraz komedję życia, zrzuciwszy strojne szaty. Jest to nasza niby *ubieralnia*, gdzie pozostawiamy nieodzowne nasze przybory i niejeden, niestety, łachman splamiony, zanim się ukażemy przed wymagające i surowe oczy świata. Ztąd smutne przysłowie, że „niema wielkiego człowieka dla swego lokaja“ i że „przyjaciół naszych najlepiej kochać zdaleka.“

— To ma znaczyć, jak bardzo jesteśmy niedośkonali — odezwała się moja żona, — i że im bliżej się poznajemy, tem więcej wad odkrywamy w sobie. Charakter miękki, słaby, nie niezna- czące jednym słowem zero, łatwiej się nagina do wszelkich wymagań codziennego życia; ale też znaleźć charakter silny, wyrazisty, któryby wytrzymał próby ścisłej zażyłości, jest równie trudno, jak np. znaleźć czterolistną kończynę. W podróży przez życie niewiele wprowadzie pięknych napotykamy rzeczy, ale niezawodnie jedną z najpiękniejszych a zarazem najrzadszych jest charakter silny, stanowczy, pewny siebie, któryby wszystkie swoje namietności umiał trzymać na wodzy, a wszystkie władze i zdolności w doskonałej równowadze.

— Tak jest niezawodnie — odrzekłem, — ale też dlatego warto by zachować w rodzinie trochę chociaż tych ostrożności, które zwykle zachowujemy w świecie i które, osłabiając starcie różnorodnych charakterów, czynią życie łatwiejszem.

Dziwnem jest, że ludzie, przezorni we wszystkich swoich przedsiębiorstwach, w jednym tylko a tak ważnym wypadku — to jest, tworząc rodzinę — wszelką ostrożność odkładają na bok. Wszakże nie przyjdzie nawet na myśl rozsądnemu człowiekowi prowadzić lokomotywę, lub wprowadzić w ruch jaką skomplikowaną maszynę, jeżeli nie ma dosyć znajomości rzeczy, siły i potrzebnej do tego zręczności, jeżeli nie zna dokładnie wszelkich kółek i kółeczek, z których maszyna się składa.

Nikt nie zabiera się do dania koncertu na skrzypcach, jeżeli ich nigdy nie miał w ręku, bo nie umie z tego cudnego instrumentu harmonijnych wydobyć dźwięków.

Cobyśmy pomyśleli o dyryktorze orkiestry, któryby dał sygnał do rozpoczęcia uwertury, nie będąc pewnym, czy wszystkie instrumenty są do jednego *nastrojone tonu*, i któryby potem z rozpaczą nie rwał sobie włosów i uszów nie zatykał wobec tej strasznej dysharmonii, — co gorzej, wymagał, aby trąba odezwała się tonami skrzypiec, a basetla wykonała solo fletowe, i skazywał je na zagładę za to, że tego wykonać nie mogą?

A czy nie podobne są mniej więcej nasze wy-
magania i sposób, w jaki składamy rodzinę?

Mężczyzna i kobieta, pociągnięci do siebie sym-
patyą, pięknnością, interesem pieniężnym, łączą się,
nie troszcząc się bynajmniej, czy ich charaktery zga-
dzać się będą,—nie myśląc, że, według słów poety:

„Mistrza tylko dotknęte dłonią
Struny te świętym hymnem zadzwonią...
Inaczéj — wydadzą jęk!”

Po kilku miesiącach błogiego narzeczeństwa,
gdy już są po ślubie, przyjaciele i krewni młodego
małżeństwa powiększają często kółko domowe i do
ogólnego koncertu się przyłączają. Przybywają
dzieci—każde z innym charakterem, z innymi zdolno-
ściami i upodobaniami,—ta różnorodna mieszanina
tworzy rodzinę. Służba także swoje nutę do tej
muzyki (często *kociej*) dodaje. I czyż można dzi-
wić się potem, że te różnorodne elementy taką
często smutną tworzą całość?

Jeżeli mąż i żona zgadzają się zupełnie, to
nierzaz matka pana lub siostra pani łatwo bardzo
harmonię zakłócić mogą, a jeszcze i każdego dzie-
cka odrębna indywidualność coraz nowy do nie-
zgody daje powód.

Pomimo wszystkiego, cośmy tu powiedzieli,
rodzina daje najpełniejsze i najświętsze szczę-
ście, jakiego na tej ziemi spodziewać się możemy.

Bywają czasem smaczne owoce i na drzewie, którem się nikt nie opiekował; ale byłyby lepsze i piękniejsze, gdyby staranny ogrodnik tę dziczkę obcinał, szczepił i pielęgnował.

Otóż ojciec mój nazywał *podjadkami* wszystkie drobne wady, które same w sobie, z pozoru, nieszkodliwe, podkopują jednak szczęście rodzinne. Miał on siedmioro dzieci, z których każde posiadało już swoją rodzinę, bo gdy umierał, najmłodsza siostra moja Hela już od trzech lat była zamężną. Badał on pilnie to nasze małe społeczeństwo, a jak tylko w którym zauważył jedną z wad, grożących przyszłości, zaraz uwagi nad nią umieszczał w swoim zbiorze.

Takie artykuły miały wychodzić kolejno w dzienniku, którego był redaktorem; nie wiem, co go później odwiodło od tego zamiaru.

Jeżeli chcecie, będę je wam głośno odczytywał.

— I owszem, mój drogi—odezwiała się moja żona;—dla Jenny będzie to nauczające, a dla mnie miłym wspomnieniem. Zdaje mi się, że i o sobie znajdziemy tam wzmiankę z pierwszych lat naszego małżeństwa — dodała ze słodkim uśmiechem.

— Cicho, cicho! — zawołałem. — Tej małej swawolnicy już oczy błyszcżą na myśl, że dowie się o wadach swego ojczulka.

— Dowiem się przecież—zawołała Jenny,—kiedy nam, ojczulku, obiecałeś to czytywać.

— Niczego się nie dowiesz—rzekłem, grożąc mojej pieśzczoszce.—Pamiętaj, że te artykuły były przygotowane do druku, więc imiona osób są pozmieniane. I tak już dosyć jesteś rozpieszczonem dzieckiem: trochę czasem zamało okazujesz mi uszanowania, a zawiele sobie pozwalasz; cóżby to było, gdybyś się o moich dawnych wadach dowiedziała!

— Drogi ojczulku!—zawołała Jenny, rzucając mi się na szyję, a patrząc z miłością na matkę.—Gdyby to było możebnem, jeszcze więcej szacunku i miłości nabrałabym dla was, dowiadując się, jakżeście się tych wad pozbyli.

— Oj, ty mała pochlebnico!—rzekłem, całując ją czule.—Jeżeli nam dobrze ze sobą, to w znacznej części winniśmy to ojcu i jego traktatom o *podjadkach*.

— Nie rozumiem—rzekła moja żona,—jak te wyborne artykuły mogły tak pójść w zapomnienie, oddawszy nam wszystkim takie ważne usługi.

— Rozproszyliśmy się po świecie; zajęcia, praca, życie, tocząc się swoją koleją, oddaliły nas od młodości, jej wad, walk i wspomnień, i ta książeczka poszła w niepamięć.

— Zaczynaj, ojczulku, zaczynaj—wołała Jenny niecierpliwie,—bo umieram z ciekawości!

ROZDZIAŁ I.

D u c h k r y t y k i.

Oto jeden z tych podjadków, małych, zrazu nieznacznych w domowym pożyciu, dlatego, że działanie jego szkodliwe, ciągle i wytrwałe, upozorowane bywa zwykle chwalebną chęcią poprawy tych, którzy nas otaczają.

Przedewszystkiem zauważyć tu należy, że zarówno jest przykro być schwytanym na jakim błędzie, jak łatwo, nawet przyjemnie, krytykować ludzi i rzeczy, które nam się nie podobają i nie są podług naszego pojęcia. Może niejednego oburzyć zapewnienie moje, że często ze złośliwą przyjemnością, z pewną nawet dla siebie radością, wyszukujemy słabą stronę bliźniego. Wygląda to na smutne zboczenie natury ludzkiej, na pewną w niej anomalię, gdyż, według ogólnej zasady, wszystko to, co nam sprawia przyjemność, powinnyby się korzystnie odbijać na otaczających. Niestety! dzieje się inaczej. I tak: Szczęściem jest, bez zaprzeczenia, czynić drugim dobrze, i szczęściem dozna-

wać dobrego; szczęściem kochać, szczęściem być kochanym; szczęściem uwielbiać i szczęściem być uwielbianym. Jest także szczęściem, według niektórych (a może tylko przyjemnością), chwytać ludzi na błędach; ale bynajmniej nie jest szczęściem, ani nawet przyjemnością, podlegać samemu krytyce. Co więcej, osoby, których natura wrażliwa i pesymistyczna usposabia do nieustannego wyszukiwania wad w drugich, najmniej umieją znosić naganę. Posłuchajmy tylko, jaka jest tego przyczyna:

Zaprzeczyć temu nie można, że wiele rzeczy na świecie dzieje się przewrotnie, opacznie, źle — i faktem jest, że wszystkie zboczenia takie podlegają naganie; ale jakaż to zarazem szalona pokusa dla mnóstwa osób, które nawet w dobrej intencji, przewidując złe naprzód, czynią sobie jakby obowiązek sumienia krytykowania bliźniego na każdym kroku, i to z pewnem dla siebie zadowoleniem. Naturalnie, ojciec i matka w rodzinie są już *ex officio*, z obowiązku, upoważnieni do nagany złego. Do nich też zwykle podnosi się ta cała fala skarg i uraz, tak dalece, że często rodzina przepełniona jest atmosferą kłótniową, zimną, niezdrową, wywierającą najsmutniejsze skutki na młode, żywe i wrażliwe umysły. Oto przykład jeden z wielu: Henryk jest zachwycony piękną Maryą; jest ona dla niego słońcem, gwiazdą, uosobieniem

rozsądku i rozumu. Zaczyna więc „starać się o nią“ (utarte wyrażenie, które oznacza nieustanną adorację starającego się, a następnie narzeczonego). Naprzód uważa on, że ta jego wybrana zadokonana jest dla tej ziemi, piękniejsza od anioła, zadelikatna dla pospolitych zajęć kobiecych. Chciałby rzucić pod jej stopy kobierzec, z róż utkany, usunąć z przed niej najłżejsze chmurki, oszczędzić małej łezki, znużenia, — bo tyle wdzięków może żyć i oddychać tylko w powiewnej, niebiańskiej atmosferze. Te słodkie zachwyty mówi jej się zwykle przy świetle księżyca, powracając z długiej przechadzki, czasami na łódce, a są one powtarzane tak często, że w końcu sentymentalna i niedoświadczona dziewczyna musi w nie choć w części uwierzyć. Ale po ślubie — jakaż raptowna zmiana! Henryk jest nadzwyczaj we wszystkim wybredny; nie znosi najmniejszej zmiany w godzinach śniadań, obiadów i wieczerzy; nie mu nie smakuje, jeżeli stół nie jest nakryty tak zupełnie, jak bywało u jego matki, kobiety pełnej zasług i doświadczonej, a niedawno zmarłej. Może sobie wyobrażać, że przy tylu wymaganiach postarał się dla pomocy młodziutkiej swej żonie o doświadczoną szafarkę? Nie, wcale, ani mu to na myśl nie przyszło, i na nowem gospodarstwie są tylko niedołężne sługi, z najwyższym trudem kierowane przez owego anioła, który miał oddychać tylko wo-

nią kwiatów i stapać po obłokach. Henryk byłby oddał życie dla Maryi — powtarzał jej to ciągle, gdy był jej szczęśliwym narzeczoną i gdy nikt od niego tej ofiary nie wymagał; dziś idylliczne uniesienia zmieniły się, niestety, na wiele mniej słodkie i ujmujące uwagi:

— Jakaż przydymiona herbata! Czy nie mogłabyś dopilnować, aby ją staranniej przyrządzano?

— Staram się o to, mój drogi, ale dotąd na próżno.

— Dziwne to jednak, że drugim przychodzi to z łatwością.

Następuje obiad:

— Ależ ta pieczeń jest okropna! zawsze u nas przypalona.

— Niezawsze; pamiętasz, że ci w poniedziałek smakowała?

— Powtarzam, że prawie zawsze.

— Przykro mi to bardzo; ale dziś, z powodu kilku wizyt, nie mogłam, jak zwykle, przypilnować kucharki, którą tak bardzo pilnować trzeba.

— U mojej matki nie nigdy nie było zepsute i zaniedbane, ale też nie spuszczała się na sługi w niczem.

Trochę później:

— Moja droga, musisz koniecznie zaprowadzić porządek w wydawaniu węgla do kuchni, których wychodzi bez miary.

To znowu:

— Będę zmuszony jeść obiad na mieście, jeżeli nie będzie na czas oznaczony... Proszę cię, przejrzyj też moje koszule; uprasowane są tak, że ich nosić nie mogę... Czy nie słyszysz, Maryniu, jak dzieci piekielnie hałasują?... Powiedz Rózi, aby nie zostawiała dywanów na poręczy, gdy zamiata schody...

I tak dalej, i dalej, bezustanku brzmią te cierpkie uwagi i nawoływania do tej, która jest odpowiedzialną za wszystko, co się panu nie podoba. Swoją drogą, Henryk jest mocno zdziwiony, ujrzawszy żonę zapłakaną; a gdy z goryczą czyni mu wymówki, że już nie jest jak dawniej kochaną, zapewnia ją, że mu nigdy droższą nie była. Może mówi to szczerze, tylko w tem różnica, że owa Marya zeszła z wyżyn marzenia i poezyi do realnej prozy życia. Dopóki była gwiazdą, ptaszkiem, mgłą wiosenną, Henryk znajdował ją doskonałą; ale dziś, gdy anioł stał się towarzyszką i współniczką życia i pracy, stosunek się zmienił zupełnie.

Z powrotem dawnych okoliczności powróciłyby może i zachwyty; nieszczęście całe w tem, że owe okoliczności już nigdy nie wrócą. Henryk jest poprostu człowiekiem, który działa i mówi pod pierwszem wrażeniem i który ma zwyczaj mówić to, co myśli, i nazywać rzeczy po imieniu.

Przed ślubem uwielbiał narzeczoną jak istotę idealną, snów swoich bohaterkę, przed którą starannie osłaniał i ukrywał przyszłe pożycie małżeńskie. Jako mąż, postępuje znowu w dalszym ciągu pod pierwszem wrażeniem; żąda słusznie, by żona była doskonałą gospodynią, wzorową panią domu; zapomina tylko o jej młodości i niedoświadczeniu, pochwały zastępuje naganą, a uwielbienie nieustanną krytyką.

Mówimy dotąd tylko o kobiecie słodkiej, uległej, nie zgoryczonej cierpieniem, nie zbuntowanej niesprawiedliwością, która stara się cicho i spokojnie wypełniać trudne swoje zadanie.

Ale ileż to napotkać można tych biednych istot, zwiedłych przed czasem, jak rośliny delikatne, wyhodowane w cieplarnianej atmosferze miłości macierzyńskiej, które nikną zwolna wśród zimnej i suchej krytyki. Bywają i takie, które, zamiast uległości, próbują broni sarkazmu, kaleczą nim i z całym sprytem kobiecym wyszukują słabej strony swego przeciwnika, na równi z nim niesprawiedliwe i na równi winne. Położenie też takiej kobiety, żony, staje się zwykle nie do zniesienia.

I jakież to smutny nad wszelki wyraz i pojęcie widok takich dwóch istot, które przysięgły sobie miłość i wiarę aż do śmierci, kochały się wzajemnie gorąco, a dziś tej znajomości siebie dokła-

dney i zaufania, zdobytego długiem wspólnem życiem, używają przeciwko sobie jako broni, kaleczącej złośliwością dotkliwą, i w ten sposób torturują własne serce, — a wszystko z powodu braku pobłażliwości i wzajemnych ustępstw, dla tak marnych i nędznych powodów, jak zimna kawa, pieczeń spalona lub zła herbata. Duch krytyki, rozgościwszy się raz na seryo, pociąga za sobą chroniczną, chorobliwą cierpkość, która co chwila może wywołać burzę.

Doszedłszy raz do tego rozdrażnienia i ostateczności, można się już pożegnać z uczuciem głębokiego przywiązania.

I oto znowu maleńka próbka:

Henryk dziś jest w wybornym humorze; wśród rozmowy prosi żony wesoło i żartobliwie, czyby nie mogła przyzwyczaić się do pisania wyraźniej litery *g*.

Marya, którą jeszcze boli wczorajsza krytyka męża i nie zapomniała mu kilku ostrych słówek, obraża się i mówi szorstko:

— Czego jeszcze nie wymyślisz, proszę cię? Może spiszesz alfabetycznie wszystkie swoje wymagania, abym je lepiej poznała?

— Ależ, moja Maryo, nierozsądna jesteś.

— Doprawdy? Wydaje ci się dziwnem, że chcę nareszcie wiedzieć, dokąd dojdą ostatecznie wymagania mego pana i męża?

— Ależ to śmieszne naprawdę.

— Czy nie znajdziesz jeszcze dosadniejszego wyrazu? Ten komplement stracił już urok nowości dla mnie.

— Więc naprawdę zaczniemy się na dobre sprzeczać?

— Któż tu mówi o sprzecaniu? Nie ja, naprawdę. Ja tylko proszę cię o dobrą radę. Jeżeli dożyję lat ośmdziesięciu, może nareszcie będę twoim ideałem. Szczególnym trafem, nie wydziwiałeś dziś nad kawą, sługami. Obrus był dobrze położony, korytarz zamknięty, więc dla równowagi próbujesz poprawiać moje pismo. Dobrze, postaram się zmienić formę litery *g*, czekając na inne uwagi nad moją edukacją.

Henryk na te cierpkie słowa usuwa filizankę i przebiera niecierpliwie palcami po stole. Widząc to, Marya mówi w rozdrażnieniu:

— I ja też mogłabym w tej chwili zrobić uwagę nad twojem zachowaniem się przy stole.

— Moja Maryo, nawet świętego wyprowadziłabyś z cierpliwości!—zawołał Henryk i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, z postanowieniem niewrócenia na obiad.

Odtąd sceny takie powtarzają się coraz częściej. On ma się już za ofiarę swej żony, według niego cierpkiej i niezdolnej, nie myśląc wcale, że ta jej drażliwość nerwowa i chorobliwa jest wła-

śnie oplakany skutkiem jego egoizmu i ducha krytyki niesprawiedliwej i nieustannej.

Prawda, że dziś rano ona pierwsza wywołała sprzeczkę, ale było to tylko ujście oddawna zebranej w sercu goryczy.

Gdy Henryk spostrzegł po ślubie, że ów jego ideał niczem innym nie jest w rzeczywistości, jak tylko kwiatkiem, gwiazdką, ptaszkiem,—powinien był przypomnieć sobie, jak się niedawno jeszcze zachwycił wdziękiem tej nieudolnej słabości, i czekać cierpliwie i z miłością, aż czas, przy jego wyrozumialej pomocy, zrobi z niej wytrwałą i doświadczoną gospodynię. Młoda jego małżonka, rozpoczynając nową epokę życia, przez ileż przejść musiała niespodziewanych przykrości, zawodów bolesnych, wskutek swego niedoświadczenia i niepewności na każdym kroku!—ale dlaczego on nie podtrzymywał jej miłością wśród tych prób codziennych? dlaczego ich nie osłodził łagodnością i sympatją? dlaczego zwodził ją, jako narzeczoną, swym zachwytem nad jej nieudolnością i uspokajaniem każdej obawy co do przyszłości, która ją czekała, a która dziś wywołuje nieustanne jego niezadowolenie i krytykę?

Rozumiem, że może być bolesnym zawodem dla męża, jeżeli nie znajduje w żonie ideału, który sobie wymarzył,—ale nie daje mu to bynajmniej prawa znęcania się nad istotą ukochaną, na której

się zawiódł, owszem, nadaje mu obowiązek moralny podniesienia jej, podźwignięcia na miejsce, które jej w sercu i domu swoim przeznaczył. Stałby się nie tylko niezręcznym, ale wysoce winnym, okazawszy się wtenczas mniej serdecznym, a cóż dopiero niezachowującym prostych przepisów uprzejmości i dobrego wychowania, które okazuje zwykle swemu rządcy, a nawet krawcowi, ogrodnikowi i t. p. Gdy Henryk był jeszcze małym chłopcem, uczono go we wszystkich stosunkach z ludźmi znaleźć dobre słowo dla niższych, uprzejmość dla wszystkich, dlatego jedynie, że zwyczaj towarzyskie wkładają na człowieka ten obowiązek pod karą odwetu. Zato z żoną własną, we własnym domu, wcale co innego się dzieje; można dowolnie rzucić z siebie ten przymus, można okazywać bez ceremonii swój zły humor. Tak, bez wątpienia, można to wszystko, tylko nie trzeba się dziwić, że stopniowo miłe usposobienie i przywiązanie żony niknie, że dom zamienia się nieraz w piekło prawdziwe. Zapóźno może spostrzeże się pan mąż, że krytykować na każdym kroku może i żona, i że ta broń w ręku kobiety umie trafić do celu z nieporównaną dokładnością i precyzją.

Nie można sobie jednak wyobrazić, że wina zawsze jest po stronie męża. Żony posiadają nieraz talent wyświecania słabych stron ludzi i rzeczy. Każda istota serdeczna, gorąca i szlachetna,

prędko bardzo staje się w takim trybie życia ponurą, zimną i obojętną. Pewna, że niczem i nigdy nie zadowolni, traci nawet ochotę podobania się. Znałem niegdyś kobietę młodą, piękną i rozpieszczoną, pełną wymagań i kaprysów. Mąż jej pograżył się w ponurej mizantropii. Nieczuły na jej skargi i życzenia, dawszy jej wszelkie wygody, sam stworzył sobie życie osobne, obywając się zupełnie bez jej towarzystwa. Gdy ciężko zachorowała, cierpienia nawet nie powróciły jej serca, które zmęczyła i oziębiła. Zgon jej był samotny, a śmierć też nawet nie wywołała. W powtórnem małżeństwie miał żonę ani piękną, ani bogatą, ale dobrą i serdeczną, kobietę, która mało dla siebie wymagała, a jeżeli co ganiła, to zawsze zręcznie, z taktem i przychylnością ujmującą. Mąż, dla pierwszej zimny, obojętny, niedbały, stał się prędko przyjacielem pełnym baczności i poświęcenia. Jedno słowo najlżejszej uwagi z jej ust zawsze uśmiechniętych i gotowych do pochwały było dla niego wyrokiem, bo wpływ takiej sympatycznej natury nieograniczonym zawsze bywa na serca ludzkie.

Mówiliśmy dotąd o działaniu, jakie wywiera duch krytyki na stosunki męża i żony, ale i dzieci ich cierpią na takim stanie rzeczy w sposób bezpośredni i bardzo poważny. Dysharmonia rozciąga swoje panowanie od rodziców aż do ich najmłod-

szych latorośli, które bywają nieustannie, niesprawiedliwie i nie w porę ganione lub karane, bez uwagi na to, że nieraz umieją lepiej niż dorośli odróżnić nagane sprawiedliwą od niesłusznej, wywołanej chwilowem rozdrażnieniem. Dziecko, które napotyka spojrzenie tylko ponure i zgryźliwe i odbiera ciągłe nagany, prędko bardzo usuwa się na bok w zaciętym milczeniu i obojętnym zachmurzeniu.

Oto młody uczeń, z którego postaci tryska życie, zapał i ochota wynurzenia swoich myśli, wpada do domu z sercem przepełnionem jakąś małą awanturką i pilno mu opowiedzieć ją matce, ale jakież znajduje przyjęcie:

— Zamykaj drzwi! zawsze je zostawiasz otworem!... Trzewiki twoje zabłocone... wróć się i oczyść je.—Otóż masz! mokra czapka na sofie... od czegoż wieszadło?—A ręce twoje czemu tak powalane? — Połamiesz sprężyny, skacząc tak na krzesła. — Boże mój! jakież włosy rozczochrane! — A cóż to za chłopiec, z takim głosem, jak trąba jaka! — Julku, przyznaj się, to ty stłukłeś karafkę? — Ja myślę, że to on wyszczerbił brzytwę i t. p.

Zapewne zarzuty te były poczęści sprawiedliwe, ale biedny chłopczyna, zasypyany niemi, jak gradem, zaraz na wstępie do domu, stracił zupełnie fantazyę, humor i potrzebę wywnętrzenia się.

Służba w domu bywa też nieraz traktowana jak stare dzieci, szczególnie też w odbieranych napomnieniach.

Wpuśćmy tylko młodą wiejską dziewczynę do eleganckiego mieszkania i przypatrzmy się jej. Każdy ruch jest niepewny, a nieraz najlżejsze zapomnienie może sprowadzić bardzo przykre następstwa:—niech tylko nie zakręci kurka od wody lub gazu, a oto całe mieszkanie zalane wodą lub złem powietrzem przepełnione. I cóż dziwnego, że w takich zdarzeniach mnożą się powody różnych starć i napomnień; jeśli zwłaszcza sługa i pani patrzą na siebie odrazu niechętnie,—muszą obie być prędko zmęczone, podrażnione, zniechęcone,—jeśli przytem sługa słyszy, jak pani ciągle się na nią skarży przed drugimi i opowiada jej wady. Niechby tylko tę samą panią wprowadzono odrazu, przypuśćmy, do jakiej wielkiej drukarni i powierzono jej składanie czcionek do dziennika, czy nie okazałaby się równie niezgrabną i ograniczoną, jak ta dziewczyna, w równie nowych dla siebie warunkach?

I takie to nieraz drobne domowe zboczenia służby są w stanie zamieszać spokój domowy!—Gdyby to panie, podlegające takiemu usposobieniu do nieustannej krytyki, zechciały zajrzeć do swego sumienia i zapytać siebie, na co się przydała cała ich pobożność, ich posty, umartwienia i szkaplerze!

Niech tylko kobieta, pani domu, raz na zawsze nauczy się uważać wszystkie swoje domowe przykrości za krzyżyk codzienny, zniesie go cierpliwie, wesoło, a nadewszystko z uczuciem serdecznej dla otaczających cierpliwości,—większą będzie miała zasługę, łatwiej sobie ze wszystkim poradzi, a odniesie ważne nad sobą zwycięstwo.

Każdy ciężar życia, noszony chętnie, przestaje nas przygniatać i obraca się w błogosławieństwo. Wielce ku tej doskonałości pomocną jest jedna cnota, bardzo w praktyce zaniedbana, a tą jest: *milczenie*, małomówność. Niema słów, ani języka tak wymownego, aby dość silnie przedstawić całą ważność tej cnoty, bo, jak mówi stare przysłowie: „mowa jest srebrną, ale milczenie jest złote.“—Słyszę w tej chwili podnoszące się wkoło mnie wołania:—A to ciekawe, w coby się obróciły nasze dzieci, służba, świat ostatecznie cały, gdybyśmy na wszystko zamknęli usta i oczy?—Zapewne, złe powinno być zawsze i wszędzie zauważone i poprawione—jest to obowiązkiem głowy rodziny i prawdziwych przyjaciół; ale jeżeli się tylko sami sprawiedliwie osądzimy, musimy przyznać, że duch krytyki tak się w nas rozgościł, że on to bywa zwykle w każdej naganie najważniejszą dla nas pobudką. Rozumna uwaga, czy napomnienie, zwrócone do uszu baczących i chętnych ku słuchaniu, jest rzeczą rzadką, a większość osób, znanych z po-

bożności, nie umie jej wypowiedzieć z pobłażaniem.

Wszakże zawsze żałujemy zmarnowanego opału w piecu, źle postawionym, z którego ciepło ucieka na wszystkie strony, nie ogrzewając go,— a nie zastanawiamy się nad tem, że nasze modlitwy, nasze wzniosłe uczucia, będą także tem zmarnowaniem napróżno ciepłem duszy, jeżeli ono nie rozgrzewa codziennego życia naszego i rodzinnej atmosfery. Tem to właśnie ciepłem serdecznem Fenelon skruszył i zmiękczył charakter wzniosły, porywczy i nieugięty księcia burgundzkiego i uczynił go powolnym, uprzejmym i pobłażającym dla drugich, a surowym dla siebie tylko.— Godłem jego było: „tylko doskonałością można działać na niedoskonałość.“ Pomyślmy, czy nasz duch krytyki ma zawsze cel pewny i usprawiedliwiony? Czyż nie jest on najczęściej tylko odbiciem naszego złego humoru? Chcemy gorycz naszą wewnętrzną zrzucić z siebie na drugich; z ognia wewnętrznego, który nas pożera, zrzucamy zarzewie i popiół na nasze otoczenie. Niezadowolenie nasze jest jak ten deszcz zimny i gęsty, który spływa na głowy drugich, albo jak czarna chmura, żadnym wiatrem nierozegnana,—a zjadliwa nasza krytyka podobna do burzy z gradem i błyskawicami! I to wszystko nieraz dla błahych przyczyn

i bez pomyslnego skutku obciąża duszę naszą ciężkim grzechem.

Przejrzyjmy niektóre tego przyczyny:

Chcesz przez kilka dni podolać pracy i zajęciu mozolnemu z całego miesiąca, nadużywasz sił swoich, wyczerpujesz energię, a po tej gorączkowej czynności następuje zniechęcenie i znużenie, w którym wszystko widzisz ujemnie i przewrotnie. I tak:

Dzieci jeszcze nigdy tak nie hałasowały; ludzie, towarzystwo, stosunki—wszystko to nie do zniesienia, bo jesteś zdenerwowany, podniecony, chory i patrzysz na świat przez czarne okulary. Otóż to w takim usposobieniu fatalnem strzeż się wydawać sądu o kimkolwiek; walcz mężnie z duchem krytyki i uzbrój się puklerzem *milczenia*, albo, co będzie jeszcze skuteczniejszem—modlitwy gorącej i pokornej. To jeszcze nie wszystko. Opatrzność powierzyła nam dusze nieśmiertelne—obowiązani jesteśmy badać je, wyszukiwać sposoby, aby je podnieść ku sobie, uczyć wypełnienia obowiązków życia.

I znowu kilka przykładów lepiej tę rzecz objaśni:

Pani D. jest osobą lepszego towarzystwa; jej zasady są wzniosłe, poglądy niezachwiane, jasne; miłosierna dla ubogich, litościwa dla chorych

i smutnych oraz szczerze pobożna. Wypełnia obowiązki swoje z taką niezachwianą dokładnością, jak np. maszynista kolei żelaznej, — a jednak z wszystkimi temi wybornemi zaletami pani D. nie umie uszczęśliwiać i być przyjemną dla swego otoczenia — a dlaczego? — bo jest nieubłagany krytykiem, bo wszystko krytykuje z zasady. Utworzyła sobie *ideał* wzniosły i absolutny, zaczawszy od najskrytszych swoich myśli, aż do sposobu składania prześcieradła, obrębiania ręcznika, i myśli, że jest jej obowiązkiem naginać każdego do tego, a nie innego ideału. Rzadko ona ostatecznie daje naga-ny, nie jest humoru drażliwego, tylko roztacza wokoło siebie nieopisany spokój i nieugiętą surowość. Jej oczy widzą wszystko i nie nie darują. Wszystko, co od niej zależy, powinno dążyć do doskonałości, a jej uwagi i rozkazy są kierowane z taką pewnością i siłą, że najoporniejsi muszą im ulegć. To też doskonale umie dręczyć całe otoczenie swoje, nie wychodząc ani na chwilę ze spokoju i wyrażen poprawnych i gładkich. Służba cała boi jej się i nie lubi; mąż, zdesperowany ciągłym jej niezadowoleniem z powodu swego charakteru, trochę lekkomyślnego, chociaż w gruncie prawego; dzieci patrzą na matkę jak na istotę wyższą, należącą do innej sfery, z której rzuca nieustannie gromy spojrzeń surowych i gniewnych.

Otóż pani D. nie błądzi bynajmniej, mając tak wysokie pojęcie o obowiązku i chęć wpojenia go w otaczających,—ale, używając ku temu celowi złych sposobów, nie zastanawia się nad tem, że przychylnie uwagi i zachęcania są daleko skuteczniejsze od nagany, i że ludzie, tak jak muchy, łatwiej dają się złapać na miód, niż na ocet.

Z drugiej strony, jako przeciwstawienie pani D., weźmy panią B. Milutka ta osoba nie posiada ani połowy podniosłości moralnej, duchowej. Pani B. lubi przyjemności, zabawy, z całem upodobaniem i pilnością unika wszystkich bolesnych starć na drodze swego życia. Wszystkiem jest zachwycona—mężem, dziećmi, służbą—i oni ją też uwielbiają. Zachwyt jest dla niej talizmanem, którego używa, nie obliczając nawet jego siły. Gdy służba i dzieci pani D. słyszą tylko o swoich wadach, w domu pani B. zalety każdego są podniesione i zauważone, i tą drogą nieznacznie dochodzi do rzeczywistych, choć bardzo delikatnych napomnień i prostowania zaniedbanych szczegółów. Mąż pani B. czuje, że jest dla niej bohaterem; dzieci wiedzą dobrze, jak są kochane, jak jej drogie, chociaż ich matka nie psuje i umie nawet czasem być sprawiedliwą i surową.

Te dwa przykłady naprędce dowodzą przeważnie, że kobieta pełna prostoty, naturalności i serdeczna, może wyrzucić daleko zbawienniejszy

wpływ, kierując się jedynie swoją łagodnością i gotowością do pochwały i zachęty, — niż osoba pełna wyższych, moralnych zalet i ducha pobożności, która sądzi, że zadaniem jej jest ciągle przerażać i poprawiać naturę ludzką. Niewiara w siebie rzadko kiedy doprowadza do dobrego celu. Zniechęcenie do wszystkiego nie jest drogą do poprawy błędów; a nieraz dość jest obecności pobłażliwego przyjaciela, który chętnie otwiera oczy na nasze zalety, a zamyka je na nasze słabości, aby tą pobłażliwością rozbudzić naszą energię oraz zamięłowanie do dobrego i dodać siły do wykonania.

Najważniejszem jest pamiętać zawsze, że służba i dzieci są z tej samej, co my, krwi i ciała, podlegli, jak my (którzy ich tak surowo sądzimy), złym skłonnościom. Ludzie starsi często zapominają, że nie zawsze byli tak doświadczonymi i uzdolnionymi, jak są obecnie, i od służby i dzieci wymagają nieraz rozwagi, taktu, umiejętności, którą tylko dłuższe lata, zastanowienie i doświadczenie wyrobić mogą.

Zróbmy więc ostatecznie trzy wielkie postanowienia: Zaczniemy przedewszystkiem od najskuteczniejszej siły — *miłczenia*; miejmy za grzech ciężki każdą niepotrzebną krytykę, usuwajmy z życia braci naszych kolce, któremi położenie ich jest i tak najeżone; na koniec praktykujmy w całej sile notę pochwał i zachęty do dobrego.

Nauczono nas uwielbiać Boga, ale niewielu z nas wie, że mamy obowiązek chwalenia i ludzi, i że te same przyczyny, które nas skłaniają do uwielbienia Stwórcy, skłaniać nas powinny do pochylenia głowy przed doskonałością Jego stworzeń. Rodzice i nauczyciele powinni dokładać tyleż starania i ochoty w okazywaniu dzieciom swego zadowolenia, ile jej zwykle używają w napomnieniach.

Gdy już nie można uniknąć nagany, niech to będzie na osobności, łagodnie, sprawiedliwie, z taktem i przychylnością serdeczną. Nie szkodliwszego, jak nagana publiczna.

Rozmowa sam-na-sam z winnym wywoła zawsze tylko wdzięczność; przeciwne postępowanie oburzy dumę, miłość własną i wywoła opór i nieuległość.

ROZDZIAŁ II.

Drażliwość.

Familijszym naszym zwyczajem jest uroczyscie obchodzić wszelkie święta, rocznice, pamiątki, a przedewszystkiem święta Bożego Narodzenia.

To takie miłe wspomnienie dla dorosłych, i starych nawet, corocznej radości naokoło drzewka!—to też w roku, kiedy dzieci nasze jeszcze wszystkie były w domu, obchodziliśmy uroczyscie to miłe dziecinne święto. I w tym roku pod starym dachem rodzinnego domu zgromadzili się wszyscy. Zameżne córki, z żonami synowie—zblizka i zdaleka przybyli, każde ze swoją gromadką—i raz jeszcze drzewko, które moja żona, ja i najmłodsza córka Hela (osładzająca dotąd naszą samotność) z takim staraniem przystroiliśmy, było świadkiem okrzyków radości dzieci i łez rozczulenia rodziców.

Jeżeli malcy wyobrażają sobie doprawdy, że drzewka takie same podczas nocy jednej wyrasta-

ją, to tyle się na tem znają, co na wielu innych błogosławieństwach i radościach, spływających na nich co chwila. Nie wiedzą, ile to kłopotu, ile razy wejść trzeba na drabinkę, ile razy powiesić i zdjąć, przywiązać i odwiązać, ile starania i zręczności, zanim się nareszcie umocuje świeczki, kule szklane, cukierki,—zanim się dojdzie do tego, że gałązki, pomimo przeciążających je pięknych przedmiotów, prosto trzymać się będą, zamiast zwieszać się do ziemi, jak gałęzie brzozy płaczącej.

I to wszystko ja urządziłem, ja sam, odrzucając na bok wszelkie względy dla mego reumatyzmu i dla mojej powagi. W każdej chwili można było zobaczyć moje łysinę pomiędzy zielonemi gałązkami drzewka;—tu trzeba było w sposób odpowiedni zaczepić młodą piękność, w tiul i gazę ustrojona;—tu poprawić błyszczące łyżwy, dla małego Jasia przeznaczone;—owdzie puste miejsca zapęłnić cukierkami lub ozdobami; a świece?—nie-mało mi one kłopotu zadały, pochylając się na prawo i lewo, zamiast się trzymać prosto i palić jasno. Nie zważając na rozsądne uwagi mojej żony, kładłem się spać około północy; w nocy zrywałem się, gdy mi jakiś szczęśliwy pomysł przyszedł do głowy,—a leniwe w zimie słońce, wstając, już mnie zastawało przy pracy.

Gdyby chodziło o zdobycie fortecy lub zrobienie planu kampanii jakiej, nie mógłbym więcej dołożyć starania i czasu.

Moja złośliwa Hela, która wie dobrze, że stary ojciec wszystko jej wybacza, nie podzielała mojego entuzjazmu, a nawet pozwoliła sobie ze śmiechem zrobić uwagę, że mam widocznie dobre racye, żeby się takim dzieciństwem tak gorąco zajmować. Ale też wszyscy przyznać musieli, że iluminacya była wspaniała!

Weszliśmy—ja z Jasiem, moim najmłodszym wnukiem, na czele. Dzieci wydawały okrzyki radości—i było nad czem: drzewko nasze wyglądało świetnie, błyszczące od światła i ozdób, a na samej górze, na najwyższej gałęzce, olśniewającej piękności anioł rozpościerał swoje skrzydła.

Co mnie też ten anioł pracy kosztował, nikt nie wie i wiedzieć nie będzie. Wiele zmartwienia i kłopotu sprawiło mi jego lewe skrzydło! Wszystkie starania były nadaremne—i w tej chwili jeszcze drżałem o nie, obawiając się katastrofy. Los nam jednak sprzyjał—wszystko udało się wybornie, skrzydło się trzymało, świece dopaliły się do końca, a dzieci objawiały więcej radości i zachwytu, niż się mogłem spodziewać.

Tańczyliśmy, śpiewali, biegali i pozwalali sobie na wszystkie możliwe szaleństwa tak długo, dopóki

oczęta młodej gromadki nie zaczęły się kleić; i tak spędziliśmy śliczny wieczór Bożego Narodzenia. Moja żona, uszczęśliwiona przybyciem swoich ukochanych, starała się ich przyjąć i ugościć. W tym celu pozbyła się skrupulatnej oszczędności, którą się zwykle rządziła, i proszę tylko zajrzeć do jej rachunków, inaczej trudno uwierzyć w niezliczoną ilość kur, indyków, puddingów i t. d., które przez ten tydzień skonsumowane zostały. Tydzień cały trwały te uciechy; w dzień Nowego Roku nareszcie poszedłem, podług zwyczaju, składać życzenia wszystkim moim znajomym paniom, podczas gdy moja żona i Hela przyjmowały u siebie życzenia naszych przyjaciół rodzaju męskiego. Kiedy na drugi dzień rozeszli się i rozjechali nasi kochani goście, wszyscy oświadczyli, iż jeszcze nigdy tak wesoło świąt nie przepędzili. Niestety! następny tydzień w niczem nie był podobnym do tego, który opisałem. Czułem się nieswój, leniwy; nie mogłem się zabrać do moich codziennych zajęć i na próżno żądano ode mnie artykułu, który obiecałem do mego dziennika. Obiad mi nie smakował—widocznie był źle przyrządzony. Kiedy mi przyniesiono rachunek węgla, zobaczyłem, jak na dłoni, blizką ruinę, jeśli ta rozrzutność nie ustanie. Dzieci mojej najstarszej córki przyszły, jak zwykle, dowiedzieć się o nasze zdrowie: zauważyłem, że były krzykliwe, miały brudne buciki. Nie, dopra-

wdy, te dzieci są okropnie źle wychowane. Spostrzegłem kilka wyszczerbionych talerzy i półmiseków, i to mi nasunęło smutne uwagi nad naszą służbą. Ci ludzie zniszczą nas zupełnie. Nareszcie, szukając papieru, znalazłem trzy szuflady napełnione włóczkami Heli. Nawet ta dziewczyna zaczyna być nieporządną, a co gorzej, rozrutną; tyle włóczek, taki niepotrzebny wydatek! Ileż to młodych dziewczyn niepotrzebnymi zbytkami naraża dobrobyt swój i rodziców! Na domiar złego, Małgorzata trzy razy z rzędu wstawiła moje pantofle do szafy na korytarzu, zamiast je umieścić pod mojem biurkiem.—Doprawdy, moja Elżbieto, powinnabyś więcej pilnować naszej służby; jesteś zanadto łagodna, to też wszyscy robią, co chcą; niema ani porządku, ani oszczędności i szybkim krokiem dążymy do upadku.—I mój zły humor objawiał się swobodnie niezadowoleniem ze wszystkiego, uwagami przykreimi i suchemi, jakbym nic nigdy o „*podjadkach*“ nie napisał, jakby cały szereg tych ulubionych moich artykułów nie był już przygotowany do druku. Nareszcie otworzyły mi się oczy. Było to wieczorem; rozpałem sam starannie ogień; usiadłem na wygodnym fotelu i zacząłem przecinać kartki świeżo odebranego dziennika. Moja żona wzięła do ręki szczypce i gien poprawiła.

— Moja droga, czy nie mogłabyś zostawić tego w spokoju?

— Chciałam tylko odsunąć ten kawałek węgla; zanadto leżały jeden na drugim.

— Nigdy ogień tak się źle nie pali, jak kiedy ty się do niego zabierzesz.

W tej chwili, jakby na złość, błysnął jasny płomień na kominku. Święty byłby się zniecierpliwił, widząc, że wszystko, nawet ogień, na złość mu robi. Szybko wyciągnąłem nogi przed siebie i napotkałem, niestety, mojego starego psa, Rowera. Ten zaczął skomleć, a mnie zanadto już było wszystkiego i kopnąłem psa porządnie nogą, aby przynajmniej miał czego piszczeć. Przy tym szybkim ruchu przewróciłem koszyk Heli z kłębkami i robotą.

— Do dyabła tam z temi koszykami i robotami!... wstyd mi, doprawdy, widzieć taką rozrzutność w moim domu.

— Rozrzutność!?!—zawołała Hela zarumieniona, dotknął ją bowiem ten zarzut boleśnie: bo jeżeli z czego jest dumną moja córeczka, to ze swej oszczędności.

— Tak, rozrzutność; tysiące biednych istot marznie w tę srogą zimę, a wy, zamiast szyć im ciepłe ubranie, przepędzacie całe dnie na fabrykowaniu głupstw niepotrzebnych i nieużytecznych. Ale gdzie tu w naszych czasach szukać pobożności, mi-

łosierdzia! Egoizm tylko wszędzie i na każdym kroku.

— Chory jesteś, mój mężu—odezwała się moja żona z uśmiechem; — nie wypocząłeś jeszcze po świętach i dlatego widzisz wszystko w takich czarnych kolorach.

— Nie, moja droga, jestem zdrow; a jeżeli widzę wszystko w czarnych kolorach, to dlatego, że te kolory są prawdziwe. Nie! tak dalej iść nie może; wszystko musi się odmienić. Małgorzata stanowczo nigdy nie robi tego, co do niej należy, jak zresztą wszyscy w tym domu; ale tobie to jest zupełnie obojętne, czy moje pantofle są na swoim miejscu, lub czy moim dziennikiem ogień podpalają. Ja nie chcę, żeby mój pokój służył za menażeryę, za skład dla Rowera, Heli, jej koszyków, kłębków i wszelkich nieporządków.

Tymczasem moja pieszczona córka, obrażona głęboko, siedziała za mną i słyszałem szybkie poruszenie jej drutów oraz cichą uwagę niby do siebie: „Gdybym to ja tak mówiła, powiedzianoby, że jestem w złym humorze.“

Nie poruszyłem się, udałem, że nie słyszę; ale mimowolnie słowa Heli nie przestawały mi brzmieć w uszach. Ileż to razy zachęcałem sam Rowera, aby się położył na tem samym miejscu, z kąd go dziś tak brutalnie spędziłem! Ileż razy chwaliłem Hele za jej pracowitość, gust, wytrwałość w wy-

konaniu drobnych robótek kobiecych! Ile razy wstrzymywałem obecność żony i córki w moim gabinecie, a szczeń drutów, szelest jedwabiu nic a nic mi nie przeszkadzał w pracy, że i owszem, nic tak nie podnieca mojej imaginacyi, jak stojący na mojem biurku koszyk z robotą! Tak, prawda niezaprzeczona: jestem rozdrażniony, jestem w złym humorze! Obecnie mówi się także: jestem zdenerwowany, a te słowa wygodnym płaszczykiem pokrywają grzechy i słabości ludzkie; ale ja się trzymam starego słownika, nazywając rzeczy po dawnemu, i mówię: że jestem w złym humorze. — Przyjacie-
lu!—rzekłem sam do siebie—zrób-no rachunek sumienia i zarumień się. Jesteś stary literat, twój system nerwowy nie jest w najlepszym stanie, twój żołądek jest słaby, przez ten tydzień jadłeś za trzech, biegałeś, skakałeś, jak student, popełniłeś masę szaleństw; wstawiałeś wcześnie, kładłeś się późno i wydałeś przez tydzień kapitał, który ci miał na trzy miesiące wystarczyć. Jesteś stary, kochany przyjacielu! Źródła wesołości i radości w twoim wieku nie są tak obfite, a ty chciałeś od życia mdłych wzruszeń i radości, nieopłaconych niczem! W twoim wieku radość opłacić trzeba cierpieniem; nie możesz tego prawa zmienić, ale czemuż otaczający cię mają cierpieć za nadużycia tak ciast i pasztetów, jak wesołości i radosnych wzruszeń, na które sobie pozwoliłeś?! Czemu Hela,

twoja żona i Rower mają znosić twoje sarkazmy, przycinki, gniew i kopania?

— Rower!—zawolałem, patrząc na biednego psa, który schronił się w kąt i spoglądał na mnie z przerażeniem. — Pójdź tu, stary przyjacielu! pójdź! pogódź się ze swoim panem, który był zły i niesprawiedliwy, ale już się do tego przyznaje, a ty wiesz, choć psem jesteś, że trzeba zapomnieć i przebaczyć.—Potem, zwracając się do córki, rzekłem: — Dziękuję ci, Helo, za twoją cichą uwagę: ona to mnie otrzeźwiła. Pójdź! pocałuj twego starego ojca i napełniaj cały dom swemi koszykami i włóczkami.

Teraz chciałem przeprosić żonę, ale moja zacna i poczciwa Elżbieta tak zna wszystkie moje słabostki i kaprysy, że tyle się niemi kłopotuje, co wyrzynającym się zębkiem u którego ze swoich wnucząt; i teraz też przerwała mi, mówiąc:

— Dobrze już, dobrze; wiem wszystko, co mi chcesz powiedzieć; chciałabym tylko, aby twój artykuł już był napisany.

— Artykuł może poczekać do jutra; dziś, za karę, zbogacę moją kolekcję *podjadków* kilkoma uwagami o jednym z nich, którego nazwa jest: *Drażliwość*. Ta wada, więcej niż każda inna, zależy od naszego fizycznego nastroju. Jeśli możemy sobie wyobrazić złość, nienawiść, zawist, panujące nad czystym duchem, nad duszą uwięzioną

w ciele, to drażliwość panować może tylko nad ciałem i z jego braków oraz dolegliwości wypływa. Bo też anielska cierpliwość nie starczyłaby nieraz na zniesienie wszelkich dolegliwości, nieodłącznych od naszego ustroju fizycznego, a biedak, podległy tym przeróżnym torturom bez nazwy, znajduje pewną nierozsądną ulgę, wywierając gniew i niezadowolenie na swego bliźniego, tak jak pies wściekły musi gryźć, co na swojej drodze napotka.

Są niektóre osoby, których życie upływa w niezamąconym spokoju. Są kochane i pożądane wszędzie. Na każdym zebraniu dorocznem, w kościele, w chacie biedaka i w salonie, mówią o nich z uwielbieniem i oczekują z utęsknieniem, a to wszystko dlatego, że dusza ich umieszczona jest w doskonale urządzonej maszynie cielesnej. Doświadczają one tylko przyjemnych wrażeń; ich siły są niewyczerpane; wyobraźnia pokazuje im życie w najweselszych barwach; zły humor innych nie oddziaływa na nich, a najzawilsze sprawy nie mogą ich pozbawić swobody umysłu, wypływającej z wybornego zawsze zdrowia. Popatrzcie na Rowera. Ten nie zna, co to zły humor, drażliwość, zdenerwowanie, niezadowolenie; gotów radośnie potrząsać ogonem na zgodę zaraz po wyrządzonej sobie przykrości, a wszystko to dlatego, że łaskawa natura obdarzyła mego psa ciałem, doskonale zastosowanym do wszystkich jego instynktów.

Gdyby ludzie obdarzeni byli takim, jak jego, żołądkiem i tak silnemi nerwami, wszystko o wieleby lepiej szło na kuli ziemskiej.

Miał słuszną niezaprzeczoną ten, co utrzymywał, że podstawą konieczną moralnej wartości człowieka jest zdrowie i silny organizm fizyczny, a przysłowie: „Zdrowa dusza w zdrowym ciele“ jest prawdziwym wyrazem mądrości narodu, który je wymyślił. Zły humor, panujący tak często w naszym kółku domowym, napastujący kolejno to jednych, to drugich, jest skałą podwodną, na której, niestety! rozbija się nieraz spokój i szczęście nasze; a różne okoliczności życia zabarwiają się czarno lub różowo, stosownie do naszego usposobienia wewnętrznego.

Czyż nie doświadczył z was każdy tego, co mnie raz spotkało, to jest, że położyłem się do łóżka zmęczony, znudzony, zniechęcony do świata i ludzi. Na drugi dzień, obudzony pierwszym promieniem słońca, znalazłem się w innym stanie umysłu: Wszyscy ludzie wydawali mi się przyjaciółmi, moje zmartwienia nie nieznaczącemi drobnostkami, a ja sam najszczęśliwszym ze śmiertelników.

Z tych i tym podobnych faktów powinniśmy wyciągnąć dwie nauki: — pierwsza, żeby unikać wszelkich okoliczności, które wywołują w nas chorobliwe rozdrażnienie; druga, aby panować nad sobą usilnie wtedy, kiedy podlegamy na-

padom złego humoru. Ostrożność ta byłaby konieczną, a jednak nikt o tem nie myśli. Nikt nie pamięta o sposobach zachowania w równowadze naszych nerwów, umysłu, żołądka; nikt nie unika nadużyć, których skutkiem zachwianie tej równowagi, sprowadzającej z kolei drażliwość i zły humor. Nie wążąc się wejść do naukowego sanktuarium i nie porywając się na badania fizyologiczne, możemy sobie pozwolić na kilka ogólnych uwag. Jest rzeczą pewną i niepodlegającą wątpliwości, że każdy z nas ma w sobie pewną nieokreśloną i niezbadaną dotąd siłę, która rządzi wszystkimi jego czynnościami, która wprawia w ruch wszystkie organy, tak fizyczne, jak czysto moralnej natury. Wola nasza, umysł, oddech, ruchliwość, życie—wszystko od niej zależy. Ta siła nie działa równo na każdą jednostkę; u jednych jest to źródło żywy, niewyczerpany, u drugich skąpy, ledwie sączący się strumyk, często zupełnie wyschnięty,—a kiedy ta siła w nas zniknie—„zły humor,“ niezadowolenie z siebie i drugich oraz drażliwość natychmiast ją zastępują. Zamiast tę siłę, tę energię, rozdzielić równo pomiędzy wszystkie władze duszy naszej, widzimy nieustannie ludzi, kierujących ją całą do jednej wyłącznie czynności, do jednego celu, lub rozpraszających ją na różnego rodzaju nadużycia. Idą oni przez życie obciążeni, przegnębieni zbyt ciężarem, zmęczeni i nieszczęśli-

wi, a zaledwie jeden na tysiąc umie utrzymać w równowadze i do swoich zdolności oraz środków zastosować przeróżne wymagania życia. Jednak tylko taka harmonia i równowaga może nam zapewnić dobre zdrowie, równe usposobienie i zadowolenie wewnętrzne.

Chorobą naszego wieku są bez zaprzeczenia, bez najmniejszej wątpliwości — *nerwy*. Dzieci nasze, szczególnie w wyższych warstwach społecznych, rodzą się już tak wątłe i słabe, że niewielkie nawet natężenie tę chroniczną słabość zmienia w chorobę. Życie nasze jest tak ruchliwe, czynności tak gorączkowe, że każde wstrząśnienie sprowadza zaburzenia w naszym ustroju fizycznym i moralnym. Jeżeli nie uznamy za swój obowiązek religijny i moralny zachowania części naszej energii, naszej siły żywotnej, na rozweselenie i uszczęśliwienie życia w kółku rodzinnem, to niedługo rodzina stanie się tylko schronieniem szpitalnem, gdzie rodzice i dzieci ukrywać będą swoje choroby moralne i fizyczne, swoje zmęczenie, drażliwość i nerwy.

Pan domu, zjadłszy naprędce śniadanie, udaje się do biura lub kantoru; cały dzień wyteża umysł i siły dla załatwienia swych różnorodnych i skomplikowanych interesów. Jego umysł, serce i ciało zmęczone tą wyczerpującą nieraz i niewdzięczną pracą, pragnie tylko spokoju; to

też po powrocie do domu z najwyższą niecierpliwością znosi śmiech i okrzyki dzieci, ucieka od ich wesołego szczebiotu, a jego najmłodszy synek w swojej dziecięcej szczerości decyduje, że... „ojciec jest w złym humorze.“

Pan zamęcza się we dnie, pani w nocy. Tańczyła do rana, złe powietrze, którem noc całą oddychała, niewyspanie, jedzenie rzeczy niezdrowych w godzinach niezwykłych — wszystko to musiało wyrzucić swój skutek; to też na drugi dzień jest zdenerwowana — małe gospodarskie trudności wydają się jej nie do zwalczania, a obowiązki zbyt uciążliwemi.

Dzień po dniu ojciec dąży do tego samego celu, z tą samą niestrudzoną i przeciążającą go pracą. Matka noc po nocy przepędza na zabawie. Nic dziwnego, że potem nie mają dość wesołości i swobody umysłu, aby umilić i rozweselić życie swoich dziatki. Powiedzą mi na to mężczyźni, że źle to jest zapewne, ale że na ten stan rzeczy nie ma lekarstwa, bo nie mogą przecież zaniedbać swoich interesów. Prawda, ale zastanówmy się, czy warto zbierać majątek, jeżeli się to dzieje kosztem szczęścia tych, którzyby z tego korzyść osiągnąć powinni? Czy nie rozsądniej byłoby kontentować się mniejszymi dochodami, mniej zbyt kownem życiem, a poświęcić codziennie trochę czasu na nauczanie dzieci, rozmowę lub pieszczotę, na zachęce-

nie i podtrzymanie swej żony w jej trudnych nieraz obowiązkach?

Czemu rozpraszać nazewnątrz najlepszą część naszą? Czemu wysuszać serce, wyniszczać umysł w próżnych zabiegach, w pogoni za bogactwem, zamiast spokojnie używać wewnętrznych, moralnych bogactw i darów, któremi nas Bóg obsypał?

Co do zabaw i przyjemności światowych, wiele już mówiono i pisano o nich. Mówią nam, że zabawy są złe i szkodliwe, ponieważ żyjemy na świecie pełnym nędzy, biedy i grzechu, ponieważ pobyt nasz tu jest tylko przygotowaniem się do wieczności,—o czem innem zatem myśleć powinniśmy, niż o balach i tańcach. Jeżeliby tak być miało, to i inne przyjemności zarówno zakazane być powinny. Nie bawmy się z naszymi dziećmi—odbierzmy im lalki, żołnierzy, zabawki; nie cieszymy się pięknym ogrodem, kwiatami, gustownym strojem, lub wreszcie dobrym obiadem,—a myślimy nieustannie tylko o życiu przyszłym, o wieczności, a więc i o śmierci. Nie, takie powody nikogo nie przekonają; ale gdybyśmy postarali się przemówić silnie do rozsądku ludzi, gdybyśmy im powiedzieli, że wszystko jest szkodliwem i złem, co nas robi niezdolnymi do czynu, do wypełniania naszych obowiązków, wszystko, co nam odbiera siłę fizyczną

i moralną, a obudza drażliwość i zły humor, gdy powinniśmy zachować równość usposobienia, stanowczość i energię,—możebyśmy wtenczas napotkali uszy chętne ku słuchaniu i niejednego przekonać zdołali.

W zabawach, tak jak we wszystkim, trzeba rozsądną miarę zachować; celem ich jest odpoczynek umysłu, któremu powinniśmy dodać żywości i siły. Jeżeli bale i inne rozrywki, przeciągające się przez noc całą, a zbyt często się powtarzające, zamiast wypoczynku spowodują znużenie,—zamiast dodać nowych sił i chęci do pracy, dają przygnębienie moralne, drażliwość i znużenie,—cel ich bynajmniej nie będzie osiągnięty. Każdy rozsądny człowiek powinien to uznać i odrzucić je, lub rozsądnie umiarkować ich trwanie. Wszelkie środki podniecające działają na nasze nerwy tak samo, jak nieumiarkowanie w zabawach. Człowiek czuje się wyczerpanym; wydał on, pracując nad siły, lub nadużywając przyjemności, cały zasób sił i zdrowia; nagle widzi znowu przed sobą jakąś niespodziewaną pracę, którą, bądźco bądź, wykonać musi; wtenczas pije, pali, lub podnieca siły jakąś choćby trucizną, np. morfiną, kokainą i t. p. Pożycza na hipotekę swego zdrowia, a nieubłagany wierzyciel, nie czekając uregulowania rachunków, sam sobie kiedyś życiem jego zapłaci.

Im środek jest pewniej działający, tem straszniejszą sprowadza reakcyę. Każdy o tem wie, a jednak ileż to osób upiera się przy używaniu różnych narkotyków, choćby np. czarnej kawy, chociaż wiedzą, że to jest dla nich szkodliwe, chociaż z góry są przygotowani, że kilka chwil ożywienia sztucznego i podniecenia umysłu opłacą kilkom godzinami prostracyi moralnej, w których nawet mowy być nie może o rozmowie, o swobodzie, o zwykłej choćby tylko uprzejmości.

Czyż można się uważać za prawdziwego chrześcianina, kiedy się ciągle nadużywa sił swoich moralnych i fizycznych, zjada swoją ojcowiznę, jednym słowem zabija się nadużyciem, nie chcąc zapanować nad swoją naturą i zwalczyć złych skłonności oraz przyzwyczajzeń?

Co jeszcze powiedzieć o nadużyciach trunków, lub o cierpieniach, wynikających ze wstrętnego łakomstwa? Wszak człowiek na to ma rozum, aby panował nad chęcią dogodzenia swemu podniebieniu, nad rozsądną miarą sił i zdrowia. Nietylko jednak interesa pieniężne, nadużycia zabaw, łakomstwo, prowadzą nas do wyczerpania sił i sprowadzają zaburzenia, o których mówimy. Nieraz są inne do tego powody, tem niebezpieczniejsze, że ukrywają najpiękniejsze pobudki, jak: szlachetna ambicya, chęć służenia współbraciom lub porywy

i egzaltacya religijna. Wszak święci nawet po najwyższych ekstazach religijnych podlegali pokusom i upadkom. Ów profesor, który tak pięknie o cierpliwości, zaparciu się siebie, poświęceniu dla drugich przemawia, że na twarz występują mu rumieńce, oczy błyszczą, a porwana jego uniesieniem młodzież przyklaskuje z zapalem; ów mówca, który pociąga swych słuchaczy potęgą słowa i o wszystkim ich przekonać może; ów literat, który noc całą przepędził na pisaniu artykułu,—czy myślicie, że nie oplacają niczem tego wysiłku, tej chwilowej egzaltacyi? Spytajmy ich żon i dzieci; uniesienie takie strachem ich przejmuje, bo wiedzą, że jutro ojciec i mąż nie zniesie najmniejszego hałasu, że krzyk lub wybuch śmiechu dziecka doprowadzi go do gniewu, zaniedbanie sługi lub rachunek rzeźnika spowodzi wybuch, nieunikniony zresztą nigdy.

Te moje uwagi niechaj nie będą bynajmniej zachętą do próżniactwa i beczynności,—ale czyż nie lepiej pracować stale i codziennie jednakowo, z wytrwałością i spokojem, niż w gorączce i pośpiechu szukać podniety, która nas za chwilę opuści? Czyż nie lepiej życiem całym dowodzić, co rozumiemy przez żywot pracowity, użyteczny i pobożny,—niż drażliwością, wypływającą ze zmęczenia po błyskach gorączkowej czynności, zadawać kłam naszym zasadom i naukom? Jeżeli

nadmierna praca lub modlitwa doprowadza nas aż do zdenerwowania, do prostracyi moralnej oraz upadku na duchu i siłach, to możemy tylko na jedno przystać, to jest: że grzech będzie w takim razie mniejszy, niż gdybyśmy do tegoż samego rezultatu doszli nadużyciem zabaw i innych rozrywek. Najpewniejszym środkiem przeciw troskom o jutro jest praca w miarę i spokojna codzienna modlitwa.

Wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, dałoby się streścić w tych słowach: zachowajcie trochę swojego czasu, swoich sił, inteligencji i energii dla waszej rodziny, dla waszego ogniska domowego. Jeżeli będziecie spełniali swoje domowe obowiązki, nie będziecie ani mniej rozumni, ani mniej szanowani, i wasze myśli oraz dążności nie przestaną być podniosłemi. Zachowajcie dosyć panowania nad sobą, aby znosić i upominać, nauczać i przebaczać, a staniecie się źródłem szczęścia dla swego ogniska domowego, a życie wasze ożywi się jasnym promieniem szczęścia i błogosławieństwa bożego.

Niemniej prawdą jest, że najlepsze przedsięwzięcia i najenergiczniejsze usiłowania nie uwolnią niejednego od choroby, napół moralnej, napół fizycznej, a nieraz spadkowej. Czemże jest np. hipochondrya, ta choroba nieokreślona, a tak niestety częsta, jeżeli nie smutnym spadkiem, odziedziczonym po przodkach? Ta dolegliwość dotyka najpiękniejsze i najbogatsze natury, ale jest tem

smutniejszą i przykrzejszą dla otaczających, jeżeli dostanie się w udziale istocie nieinteligentnej i pospolitej, u której wyższość moralna i talenta nie dają zapominać o tej przykrej słabości.

U osób, dotkniętych tą chorobą, nieraz po miesiącach ciszy i spokoju, w czasie których zdolności ich w pełnym rozkwicie rozwijają się swobodnie, z życiem i energią, następuje epoka melancholii i przygnębienia, podczas której świat cały wydaje się im nie do zniesienia, otaczający nieprzyjaciółmi, oni sami ciężarem sobie i drugim. Jedynem lekarstwem na to jest: przekonać chorego, że te napady tak zwanych czarnych myśli są wynikiem choroby fizycznej, którą trzeba znieść i przeczekać, tak jak migrenę, albo ból zębów. Gdy raz w to uwierzy, wiele jeszcze będzie musiał znieść i przecierpieć, ale potrafi nad sobą zapanować, milczeć i oszczędzać swoich najbliższych. Postara się nie zasmucać ich swojemi czarnemi myślami i przeczuciami, nie obrażać ostremi wymówkami; a gdy napad szczęśliwie minie, nie zostanie najlżejsza chmurka pomiędzy nim a tymi, których mógł być tak łatwo obrazić lub zasmucić, gdyby przestał panować nad sobą.

Pewna kobieta wielkich zalet i wysokiego umysłu mówiła raz do mnie: są dni, w których zły

duch panuje we mnie; jeżeli nie mogę mu się oprzeć, to przynajmniej nie pozwalam mu przemawiać.—Dzięki tej szlachetnej energii, niosła w milczeniu swój ciężar, a wszyscy mieli ją za najmiłą i najspokojniejszą osobę, podczas gdy burze szalały w jej sercu. Gdyby mniej siebie samą знаła, lub mniej nad sobą panowała, zatruliaby życie swojej rodzinie, zamknęła dla siebie serca otaczających i pędziłaby życie smutne, gorzkie i nieżyteczne.

Potrzeba niezwyklej siły i podniosłości charakteru, aby takie zwycięztwo nad sobą odnieść. Wielką pokusą dla tego rodzaju chorych jest wytworzyć sobie sztuczną siłę i sztuczny humor za pomocą środków podniecających; nieszczęśliwy, który w ten sposób postępuje, stawia na kartę więcej niż życie, bo rozum. Hipochondrycy winni podwójnie nad sobą czuwać, pilnować swoich upodobań i przyzwyczajęń, gdyż jeżeli potrafią sobie czegoś odmówić nie umieją jednak zachować umiarkowania w swoich upodobaniach i namiętnościach, których nieraz stają się niewolnikami. Rodzice nie mogą dołożyć dość starań i dość uwagi, aby odkryć u dzieci swoich pierwsze ślady choroby, zwanej nerwami, a która się zwykle wcześniej objawia; raz odkryta, wielkiej potrzebuje pilności w postępowaniu i leczeniu. Starannie trzeba uni-

kać wszelkiego zmęczenia, nadmiaru pracy, zabawy, przyjemności, dopóki umysł i ciało są w epoce rozwoju. Największa regularność i wszelkie przepisy higieniczne muszą być ściśle zachowywane, bo tylko tym sposobem można zniszczyć w zarodku, a przynajmniej nie dopuścić rozwinięcia tych niebezpiecznych skłonności.

Jest jeszcze, niestety, jedna niezliczona kategoria ludzi, którzy nie zachowują równowagi w życiu pracy, bo nie mogą, bo zadanie dnia każdego przechodzi ich siły, bo każdego rana wstają do nowej pracy zmęczeni jeszcze wczorajszym wysiłkiem.

Znamy wielu takich nieszczęśliwych, upadających pod nadmiarem pracy, a ich gorzkie skargi tylko chyba aniołom łzy litości wyciskają. Oto matka, otoczona liczną gromadką dzieci wszelkiego wieku, od niemowlątka aż do młodzieńca; troska o ich los nieustanna, w połączeniu z codziennem koło nich staraniem, nie opuszcza jej ani na chwilę. A ten człowiek, pracujący bez wytchnienia i bez chwilowego nawet odpoczynku, bo głód i nędza stoją pode drzwiami, czekając tylko sposobnej chwili, aby się do domu wcisnąć. Wszędzie więc widzimy istoty przeciążone pracą, przegnićcone biedą i cierpieniem! Jedno, jedyne znamy tylko lekarstwo na uspokojenie tej gorączki,

ciagle podbudzanej i podtrzymywanej potrzeba i nieszczęściem, a jest to jeszcze *modlitwa* i *milczenie*. Serce musi się czasem otworzyć, albo pęknać! Niech więc zachowa milczenie wobec ludzi, a niech mówi i wywnętrza się przed Tym, który zawsze wysłucha cierpliwie i ześle pociechę—przed Bogiem! On jeden tylko może dać spokój, harmonię i światło.

ROZDZIAŁ III.

Brak otwartości.

Mam zamiar mówić tym razem o jednej ważnej bardzo przyczynie zawichrzeń w domowym pożyciu, a przyczynie jeszcze delikatniejszej i subtelniejszej natury, niż inne.

Ucząc się niegdyś z wielkiem zajęciem fizyki, pamiętam, że substancya zwana *cieplikiem*, a niewidzialnie rozlana w całej naturze, zwracała zawsze moję uwagę. To bogactwo, ta siła, stracona nieraz bez pożytku i nieczynna, wprawiała mnie w zadziwienie, połączone ze strachem. Myślałem wtenczas o biednych, którzy marzną w zimie, podczas gdy wszystko, co ich otacza, przejęte jest ciepłikiem—i zrozumieć nie mogłem, dlaczego Opatrzność pozostawia wkoło nich takie skarby bez użytku.

Ten fenomen w świecie fizycznym powtarza się i w świecie moralnym. Miłość jest siłą, wytwarzającą światło, ciepło i życie,—siłą, którą wszyscy w sobie nosimy, ale która staje się użyteczną

dopiero wtedy, kiedy z nas udziela się drugim. Przypomnijmy sobie tylko, ile razy, siedząc przy jakim zajęciu w zimie, w pokoju ogrzany dobrze, uczujemy nagle dreszcz, zimno w rękach i nogach oraz konieczną potrzebę rozgrzania się prędko. Machinalnie zbliżamy się do kominka—i znowu czujemy dreszcz na widok wygasłego ogniska. Uciekamy się więc do ciepłego okrycia, choć termometr z rozpaczliwą akuracnością wskazuje dostateczny dla zdrowia stopień ciepła. A jednak błysk płomienia zdawałby nam się w tej chwili rozkosznym i zbawiennym.

Smutno pomyśleć, że są osoby, których życie upływa w podobnej atmosferze moralnej. Zamknięte w sobie, marzną, lodowacieją, chociaż otoczone wszystkim, co powinno uszczęśliwić oraz dać im ciepło i rozradowanie serdeczne. Ustęp jeden z życia mego i doświadczenia lepiej tę myśl moje objaśni.

Miałem lat 22, gdy siostra moja, Emilia, wychodziła za mąż. Najmłodsza, pieszczocha nasza, nigdy mi się nie wydawała piękniejszą, droższą, jak w chwili, gdy miała nas opuścić. Biała i świeża, miała zawsze uśmiech na ustach i niby łzawe oczęta; złote włosy jakby aureolą otaczały jej główkę—i prześliczną była, gdy całą jej drobną postać owiewały obłoki gazy i tiulu w stroju panny młodej.

Uszczęśliwieni byliśmy wszyscy jej małżeństwem. Jerzy był ślicznym chłopcem, sympatycznym i inteligentnym. Zasady jego życia niezłomne, serce prawe i uczuciowe. Jego rozum i rozsądek zdawały się być pewną rękojmią szczęścia dla naszej ukochanej Emilki, dla tego rozpieszczonego, nerwowego, tkliwego dziecka, pełnego przymlań zachwycających i rozkosznych grymasików, chociaż czasami i niedorzecznych.

— To wyraźna ręka Boga w tym związku — szeptały znajome panie, ocierając z rozrzewnieniem oczy batystową chusteczką, niezbędną przy takich ceremoniach.

Dziś jeszcze mam przed oczami zamieszanie ogólne dnia tego. Suknie powiewne, wstęgi, białe rękawiczki, druchny, całusy bez końca, cukry, torty, klucze pogubione, koronki podarte, łzy mamy, no... i zazdrość wielu młodych, którzy woleliby sami być bohaterami dnia tego.

Nareszcie powóz zajechał i zabrano nam naszą ukochaną.

Przez cały czas poślubnej podróży odbieraliśmy codziennie prawie listy, tryskające uczuciem, życiem, wesołością, jak winem szampańskim. Pisała zupełnie tak, jak zwykle mówiła; pokrywała zawsze swoje śliczne, pachnące arkusiki tysiącem zabawnych dowcipów, conceptów, figielków, które jej przyszły na myśl, i zakończyła zwykle jednako-

wo słowami: Ach, jaki on dobry, doskonały, zachwycający! Ciągłe myśli tylko o mojem szczęściu i t. d.“

Wkrótce skończyła się podróż poślubna, a ponieważ dom ich nie był jeszcze wykończony, młode małżeństwo miało tymczasem pozostać u rodziców Jerzego, przy jego matce, „kobiecie doskonałej,“ i przy jego siostrach, także „osobach wzorowych.“ Nieznacznie listy Emilki zmieniły formę i ducha—stały się krótsze, jakby wymuszone, jednym słowem nienaturalne. Zamiast uniesień i tego miłego gadulstwa, któreśmy tak lubili, zamiast tego niby coś, niby nic, które tak bardzo miłemi i naturalnemi czyniły listy, zamiast tych wynurzeń serdecznych dziecinnej radości, były to tylko nieustanne zapewnienia, że jest szczęśliwą, które się wydawały więcej obroną jakiejś sprawy, niżeli wyznaniem prawdziwych uczuć. Pisała teraz, że matka męża jest bardzo dobra, okazuje jej wiele przywiązania, ale naturalnie nie może być zupełnie podobna do jej własnej rodzonej matusi z rodzinnego domku; że siostry męża są także bardzo *w swoim rodzaju* przyjemne; potem, podkreśliwszy, dodała: „prawdziwie, bardzo przyjemne.“ Mąż zaś jej był zawsze jednakowo dobry, czuły, bacny, ale ciągle bardzo zajęty—tak, że rzadko go w ciągu dnia widuje, a wieczorem znowu jest ogromnie zmęczony. Zresztą jest zupełnie ze wszystkiego

zadowolona; nowa jej rodzina jest może *zadobra* dla takiej mało znaczącej istotki, więc też za to, co jest, powinna być wdzięczną. Pomimo wszystkich tych zapewnień o ich cnotach i zasługach, czułem instynktowo, że moja słodka Emilka wolno niknęła wśród tej rodziny, i postanowiłem przekonać się o prawdzie.

Byłem kolegą szkolnym Jerzego, który używał w naszym gronie opinii człowieka, pełnego szlachetnych uczuć, sympatycznego i pracowitego, ale skrytego i niezbadanego. To też uzyskać jego przyjaźń równało się zdobyciu kilku fortec i mnóstwa barykad; raz jednak przebywszy te trudności, zdobywało się skarb prawdziwy. Korzystając z niejednokrotnych zaprosin Jerzego, wybrałem się do nich, aby własnymi oczyma zbadać prawdziwy stan rzeczy.

Przyjechawszy na miejsce, łatwo mi już było trafić do mieszkania sędziego Ewansa, ojca Jerzego. Jest to piękny dom wiejski, zbudowany obszernie, porządnie, systematycznie, bez żadnych ozdób. Stoi na lekkiej pochyłości; stare wiązy ocieniają go swemi gałęziami, pod sam dach sięgającymi. Długim szeregiem okna ze spuszczone mi żaluzjami i równo wyciągnięte ogrodzenie. Przed domem trawnik gładki i równy, na którym żaden kwiatek nie miałby odwagi podnieść głowy. Wszystko to nadaje mu pozór surowy, poważny,

zimny, i przypomina jakiegoś faryzeusza wyniosłego i bez zarzutu. Nic nie podlegało krytyce, ani też nie wywoływało pochwały. Nigdzie ruchu, śladu życia, nigdzie drzwi otwartych, nikogo w oknie, i lekka tylko smuga dymu nad kominem kuchni świadczyła, że dom jest zamieszkały.

Czy zdarzyło ci się kiedy, kochany czytelniku, przybyć wieczorem w zimie, zupełnie niespodziewanie, do przyjaciół? Czy nie umieszczono cię kiedy w pokoju smutnym, niezamieszkałym, czekającym ciągle na gości,—w pokoju, w którym zawsze zasłonięte rolety nie wpuszczają promyka słonecznego,—którego kominek rzadko się rozświeca błyskiem ognia, zapalonego naprędce, gdy gość udaje się na spoczynek? Położyłeś się potem na łóżku, za gęstymi kotarami, na cienkich prześcieradłach, miękkich poduszkach, ale tak zimnych i ślizkich, że tylko ciepłem własnego ciała mogłeś je rozgrzać stopniowo. Jeżeli doświadczyłeś kiedy tych przykrości, czy nie przyszło ci na myśl, że można ich doświadczać zarówno moralnie, jak fizycznie? Bywają ludzie tak zimni, że wszystkie nasze starania, aby ich ożywić, rozgrzać, wciągnąć w rozmowę serdeczniejszą, stają się zupełnie bezskutecznymi. Z chwilą przybycia na miejsce zaczynasz się pytać samego siebie, czy czasem nie dowiedzieli się o tobie czego złego, czy może źle zrozumiałeś tylokrotne zaproszenia i omyliłeś się

co do dnia i godziny. A jednak nie, nieprawdą jest to, co przypuszczasz, bo nie tylko że cię oczekiwano, ale nawet sądzą, że cię przyjmują z całą możebną gościnnością. Jeżeli jesteś natury wesołej i serdecznej, jeżeli się takim przyjęciem lodowatym nie zmieszasz i nie zniechęcisz, to może w końcu stopnieją trochę lody, otaczające cię, i może w chwili odjazdu znajdziesz ostatecznie żądane przymioty w swoich przyjaciółach. Ale, niestety, jeżeli dłużej żyć z nimi musisz, w przeciągu kilku miesięcy, znowu usunie ci się z pod nóg ów grunt, mozołnie zdobyty, i przekonasz się, że nie było tam nigdy ani śladu owego koniecznego do życia *cieplika*, lecz tylko lód i zimno zawsze i wszędzie. Wszystkie te smutne uwagi i spostrzeżenia przyszły mi na myśl u sędziego Ewansa. Od pierwszego rzutu oka zrozumiałem ową zmianę, która nastąpiła w listach Emilki. Salon obszerny był jakby przesiąknięty atmosferą sztywności i nudy zarazem. Wszędzie panował porządek niczem nienaruszony; zdawałoby się, że pewne i nieugięte zasady kierowały ustawieniem mebli i zawieszeniem firanek, a wszystko to razem sprawiało tak oziębiające wrażenie, że mogłoby sparaliżować wesołe figle najniesforniejszego małego kotka, lub swawolnego psiątka. W tym przybytku ponurym chodziło przedewszystkiem o surową, pełną godności i wyrachowania, sztywną przyzwo-

itość. Rozmowa serdeczna, pełna wynurzań gorących, uważaną była za anomalię, za jakiś anachronizm. Wszyscy członkowie familii Ewansa mieli ten sam charakter sztywny, czynny, praktyczny i powściągliwy. Byli oni podporą wszystkich miłośniernych i filantropijnych stowarzyszeń co najmniej na trzy mile wokoło. Sędzia był powagą wielką na wsi, a rady jego ceniono na wagę złota. Pani, uznana była za owę niewiastę mądrą, o której pisze Salomon: „swego męża ona głowy korona.“ Siedziała w rogu wielkiego staroświeckiego komina, naprzeciw swego szanownego małżonka i pana. Obok niej na marmurowej podstawie stał świecznik srebrny, po drugiej stronie — takż sam zupełnie, a w środku znajdowały się ogromne szczypce z tegoż metalu. Matka wyrażała się z wielką swobodą i umiała wybornie mówić o ničem, dla podtrzymania ciągłej rozmowy, jednocześnie robiąc na drutach. Okresy okrągłe, poprawne i płynne panien Ewans świadczyły o ich wybornej edukacyi oraz znajomości retoryki i literatury.

W towarzystwie tem odrazu uczulem się nie-swój, znużenie ogarniało mnie stopniowo; pogrążałem się w jakiejs tajemniczej głębi, zimnej i twardej, i nie mogłem się z tego stanu otrząsnąć. Umysł mój jednak pracował w różnych kierunkach, odpowiadałem *tak* lub *nie*, rzucałem różne zapytania, i, przypatrując się bacznie sędziemu, pytałem sie-

bie samego, czy naprawdę mógł on być kiedy dzieckiem, młodzieńcem, czy żona jego miała kiedykolwiek lat 20, czy byli w sobie zakochani i jaka to miłość być mogła?

Przypomniałem sobie, że raz znalazłem pukiel włosów Emilki w pugilaresie Jerzego — przychodziły mi na myśl wszystkie czułości względem mej siostry sztywnego dziś mego szwagra, to znów jego rozmowy z nią sam-na-sam, przy świetle księżyca, w zagłębieniu tajemniczem pod oknem, — i pytałem się siebie: czy ta mumia, którą dziś miałem przed oczami, mogła ulegać podobnym słabościom?

Prawdopodobniejszem wydałoby mi się, gdyby mnie kto zapewnił, że pogrzebacz rozkochał się się śmiertelnie w szczypcach, jak że te dwie skamieniałe istoty uczuły dla siebie jakiekolwiek uczucie. W dalszym ciągu spostrzeżeń moich nad Jerzym doszedłem do przekonania, że szedł on ślad w ślad za ojcem i stawał się do niego podobnym. Człowiek 25-cioletni może być do sześćdziesięcioletniego podobnym. Obiecywał w przyszłości, niestety! w niczem nie ustępować ojcu, ani w sztywności, ani w milczeniu, ani w całym zachowaniu się. A jakże okropnie zmieniła się Emilka! Nasza mała czarodziejka domowa, ruchliwa, wesoła, serdeczna, której figle, rozkoszne kaprysy i nieprzewidziane a zawsze pociągające

wybryki stanowiły poezję naszego życia, siedziała dziś pomiędzy państwem Ewans z bolesnym wyrazem zaleknienia i niepokoju; widocznie pragnęła przejąć się ich manierą, a nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Z obawą słuchała moich żartów, rzucając niespokojne spojrzenia na matkę, a jednocześnie uśmiechała się z przymusem, dla dodania mi swobody w opowiadaniu. Czasem miała ochotę uniewinnić mnie wobec nich, czasem przede mną tłumaczyć ich zachowanie się. Mnie brała szalona ochota wywołania jakiego zgorszenia mojem postępowaniem: wziąć np. Emilkę na kolana, uściskać ją, dać kilka szturchańców poważnemu Jerzemu, obrócić w polce panny Ewans—jednem słowem poruszyć cały salon, na złość jego zamarżłemu towarzystwu,—ale czułem się już do połowy sparaliżowany i bezsilny, jak ten podróżny, zaskoczony burzą śnieżną, któremu nogi już wymawiają posłuszeństwo, oczy się zamykają, a jednak idzie naprzód, bo mu chodzi o utrzymanie życia. Wkrótce ta walka wewnętrzna wywołała we mnie taką reakcję, że byłbym chętnie kłął, byłbym im rzucił w twarz coś strasznego, nieprzyzwoitego, aby raz przecie zadrżeli z oburzenia i przestachu, aby raz to zakłęte koło sztywności i konwenansu prysnęło. Tak się przelekłem samego siebie i mego postanowienia, wynikłego z nerwowego rozdrażnienia, że zerwałem się czem-

prędzej i powiedziałem dobranoc. Biedna moja siostra podniosła się także, z westchnieniem ulgi, aby mnie odprowadzić do mego pokoju.

Zaledwie przestąpiliśmy próg tego poważnego i niegościnnego salonu, Emilka zrzuciła dotychczasową maskę, rzuciła mi się na szyję, usiadła na kolanach i przytuliła główkę do ramienia, nazywając mnie swoim kochanym, drogim bratem, nieponiem. Targała mnie za wąsy, szczypała za uszy, przetrząsała kieszenie, skakała około mnie w szalonej radości, zadając tysiące pytań i nie dając czasu do odpowiedzi.

— O mój drogi Henryku! cóż to za szczęście, że cię widzę! Zdaje mi się, że jestem w domu, przy mojej matusi, nad wszystko ukochanej! Jak to tam u nas pięknie... prawda?... a jakeśmy się kochali wszyscy! Niema na świecie drugiej takiej rodziny!

— Emilko! — zawołałem pomimowoli — ty nie jesteś szczęśliwa!... powiedz!

— Ja?... Cóż znowu za myśl!... Ani na chwilę tego nie przypuszczaj; nie mi tu nie brakuje... i byłabym bardzo niewdzięczna i zła, gdybym się czuła nieszczęśliwą. Nic to dziwnego, że do was tęsknię, tęsknię bardzo, moi ukochani. Trudno stać się każdemu do was podobnym, ale też tego się wcale nie spodziewałam. Różne są na świecie rodzaje ludzi, a ja jeszcze tak ich mało widziałam

i znam. Powinnam się nauczyć panować nad swojemi uczuciami, czego dawniej nie umiałam wcale, a to jest koniecznem, aby nie dać się unosić pierwszym wrażeniom! Oni są prawie zadoskonali dla mnie.

— I bardzo nieprzyjemni!—zawołałem.

— Henryku, nie mów tego! Ja nie utrzymuję wprawdzie, że są tacy mili, jak wszyscy u nas, ale zato jacy pobożni, nigdy się nie gniewają, nie napominają; zawsze poważni; bo przecież nietylko swoje szczęście powinniśmy mieć na celu, ale przedewszystkiem obowiązek i pożytek drugich; czyż nie mam słuszności?

— Bez żadnego zaprzeczenia, Emilko, ale tymczasem twój Jerzy zrobił się sztywny jak tyczka, a wasz salon przypomina katakumby. Nie powinnaś pozwalać twemu mężowi, aby tak sztywniał nieznośnie.

Policzki jej lekko poczerwieniały i rzekła:

— Tak, Jerzy już nie ten sam, co dawniej: Jego inaczej niż nas chowali, och! inaczej; a dziś, znalazłszy się znowu pod wpływem matki i sióstr, wśród dawnych zwyczajów i wspomnień, odzyskał dawny sposób postępowania. Kocha mnie zawsze, chociaż mi tego jak dawniej nie okazuje, ale mnie to nie powinno zniechęcać. On ma tyle zajęcia, pracuje przecież dla mnie dzień cały. Jego matka powtarza mi, że każda kobieta, wymagając dla sie-

bie innych dowodów uczucia, staje się śmieszną i nierozsądną. Zdaje mi się, choć nie mówi mi tego wyraźnie, że mnie znajduje wymagającą, kapryśną, dziwaczką. Bo jakże ja też byłam psutą i pieszczoną w porównaniu z Jerzym! Wyobraź sobie, że miał zaledwie lat sześć, gdy mu kazali w osobnym pokoju spać samemu. Nigdy matka nie zważała na jego płacz, nigdy nie dostał nic do zjedzenia, tylko w godzinach, przeznaczonych na to; odrazu kazano mu wymawiać wszystkie wyrazy czysto i jasno; wymagano od niego nie pieszczot, lecz posłuszeństwa. Raz np. rzucił się matce w objęcia i chciał ją uściskać; wyrwała mu się gniewnie, i patrząc na bućki jego, rzekła surowo: „Mój synu, masz opłakany sposób okazywania swojej czułości: zamiast wejść spokojnie, z czystymi trzewikami, rzucasz się na mnie i całujesz bez pozwolenia.“ Jerzy sam mi o tem opowiadał.

— Nieznośna czarownica! — zawołałem z głębi serca.

— Już ci nie nie opowiem, jeżeli tak się będziesz na to zapatrywał — odrzekła poważnie Emilka, a w oczach jej zabłysło światelko złośliwego zadowolenia. — Chciałam cię tylko przekonać, że Jerzy w gruncie innym jest, niż się dziś przedstawia; wychowanie zmieniło jego charakter.

— Biedny chłopiec! — rozumiem teraz jego ponury humor i powściągliwość we wszystkim.

Jego serce uczuciowe, gorące, otoczono murem i barykadami chłodu.

— Ależ oni wszyscy mają serce gorące—mówiła dalej Emilka;—matka kocha go nadzwyczajnie, pielęgnowała go w dzieciństwie z poświęceniem bez granic. W jednej z jego chorób czuwała przy nim siedmnaście dni i nocy, nie jedząc prawie i nie rozbierając się wcale; nad życie jest jej drogim. Dziwną jest rzeczą, z jaką gorliwością i pracą zajmuje się wszystkim, co się do Jerzego odnosi, a jak zarazem przez poczucie obowiązku i z zasady nieugiętej powierzchownie jest zimną i surową.

— A to zasady jakieś dyabelskie! — zawołałem.

— Henryku! ja ciebie nie poznaję.

— To moje głębokie przekonanie; bo czyż to nie godne złego ducha: czynić z dobroci udręczenie, z miłości egoizm i ukrywać starannie to, co jest w nas najlepszego? Uczucie, tak w nas zamknięte, nurtuje wewnątrz i staje się kwasem, fermentem i w końcu śmiercią! Ja myślę, że te trzy kobiety tak się mało znają i są od siebie daleko, jak rozproszone wysepki na oceanie, wskutek fałszywych zasad, które spaczyły i wynaturzyły umysł matki.

— Ach, to prawda — rzekła Emilka.—Mnie tak żal Joasi! Jest ona w równym ze mną wieku i zapewne cierpi bardzo w tem otoczeniu zimnem,

pozbawionem wszystkiego, co życie umila. Niedawno np. była tak słaba i blada, że okazałam jej mój niepokój. Stały jej łzy w oczach i przyznała się, że bardzo ją boli głowa i wszystkie członki. Chciałam ją położyć do łóżka, pielęgnować i zyskać tem jej przychylność, gdy matka temu przeszkodziła, mówiąc do niej tonem lodowatym i spokojnym: „Ależ to nie ważnego: trochę się przeziębilaś, Joanno. Idź do kuchni, naparz sobie ziółek, weź kąpiel na nogi przed spaniem, i wszystko minie.“ Chciałam pobiedz za biedaczką, aby się sama nie trudziła, ale, nie wiem dlaczego, zawsze się czuję onieśmieloną, gdy chcę ofiarować komu pomoc moję w tym domu osobliwym. Matka też odjęła mi odwagę spojrzeniem badawczem i słowami: „Ja nigdy, moja droga, nie wmawiam w ludzi choroby, kiedy się czują trochę słabi; dzieci moich nigdy nie rozpieszczałam, to też i dziś tego nie uczynię.

— Ależ to okropne, Emilko!

— Okropne, w samej rzeczy!

I westchnęła, jakby to wyznanie ulżyło jej ciężarowi. Smutnym bo zdawał się widok rodziny, której członkowie żyją jak obcy dla siebie, nie okazując sobie głębszego uczucia przyjaźni i braterskiej przychylności, a czując się niezdrowymi, szukają samotności i ciszy, jak to czynią ranne zwierzęta.

— Czy ty wiesz, braciszku, że ja nigdy tego nie zrozumieć; to też w tym wypadku przestąpiłam prawo: weszłam do pokoju Joasi, a okładając jej głowę wodą i otaczając ją staraniem, wszystko tak robiłam, jak nasza mama, chociaż widziałam, że jest tem bardzo zmieszana i zdziwiona. Kiedy ją całuję, to przypomina mi dzikiego kotka, który, niby kontent, a podnosi sierść i lada chwila skoczy na bok przestraszony; ale ona się przyzwyczai potrochu i z czasem przestanie uważać mnie za dziwaczkę. I na cóż się zda ich miłość przy takiej obojętności w postępowaniu? W razie niebezpiecznej choroby jednego z nich, niezawodnie pielęgowanoby go troskliwie. Gdyby nawet umarł, żalowanoby go bardzo, ale nie okazując nazewnątrż żalu; boleść nawet nie zbliżyłaby ich do siebie, bo stracili nazawsze umiejętność wynurzania się.

— Rzeczywiście—odrzekłem,—oni są jakby moralnie nieuleczalnymi kalekami; wychowano ich jak owych średniowiecznych rycerzy, którym już w dzieciństwie wkładano żelazną zbroję i co rok rozszerzano ją, a ciało w tem więzieniu zamknięte przybierało stopniowo jego kształty. Serce ich sparaliżowane i skamieniałe.

— Oh! Henryku, pomyśl tylko o Jerzym i jego dobroci.

— Dobry jest, to prawda, i dlatego więcej mnie to w nim gniewa. Będąc pełnym poświęce-

nia, serdecznych uczuć, sympatycznym, jest uważanym w świecie za egoistę i zimnego mizantropa. Gdyby twoja natura otwarta, kochająca, nie była znalazła, jakby cudem, tajemnicy poruszenia go, byłby nigdy nie zaznał miłości prawdziwej; chociaż i ty, biedaczko, nie zwalczyłaś jeszcze fatalizmu, który cięży nad nim. Ożywienie jego i czułość były tylko chwilowe, a teraz z każdym dniem zapada nanowo w tę otchłań jakiegoś prawdziwego przekleństwa!

— Oh! nie, nie, powiedz zaraz, że tak nie jest, że to nieprawda. Ja tego nie chcę! Ja widzę niebezpieczeństwo, czuję je, ale potrafię walczyć, wpłynąć na niego, na nich wszystkich. Zaczynają już kochać mnie, jako żonę Jerzego, a potem...

— Potem myślą otoczyć cię siecią niewidzialną i ścieśniać ją potrochu wkoło ciebie, abyś się stała do nich podobną. Przypominasz mi w tej chwili, biedaczko, owo małe kaczątko... czy pamiętasz je jeszcze?

— Pamiętam to nieszczęśliwe maleństwo! nie chciało opuścić stawu, który już od brzegów zamarzło; pływało ciągle, choć przestrzeń wody co chwila się zmniejszała, i z taką odwagą, że...

— Że zastaliśmy je pewnego ranka z jedną już zamarznąętą nóżką, gdy drugą jeszcze poruszało wodę.

— Ależ ja nie dam się zamrozić, nie!—zawołała Emilka z wybuchem śmiechu na zakończenie.

— Otóż w tem właśnie zachodzi kwestya, droga moja; twój charakter jest giętki, twoja natura stworzona do uległości, a nie do panowania i oporu. Taki mały ptaszek, jak ty, nie potrafi powstrzymać stawu od zamarznięcia całem gorącym młodej krwi. Jedyne ratunek tylko w tem, abyś, dopóki czas jeszcze, użyła całego wpływu na Jerzego i skłoniła go do opuszczenia dzisiejszego swego otoczenia.

— No, to niedługo będzie miało miejsce: wszakże nasz dom wykończają i wkrótce przeniesiemy się na swoje gospodarstwo.

— Kiedy? gdzie? obok rodziców, pod same armaty fortecy? Nie znajdziesz i tam ani swobody, ani szczęścia.

— Mylisz się, mój drogi; matka nigdy się nie miesza do spraw moich, nie narzuca mi swojej woli, a radzi tylko wtenczas, gdy sama o to proszę.

— Tak, ale jesteś pod codziennym jej wpływem. Dopóki tu się znajdujesz, fatalność ta okropna ciążyć będzie zawsze nad tobą, nad mężem i dziećmi!

— Jeżeli Bóg w dobroci swojej ześle mi dzieciątko, nie wychowam w takim duchu skarbu mego drogiego, nie! tysiąc razy nie!... anibym mogła, anibym chciała!

— Emilko droga, idziesz na walkę bez możności zwycięstwa; zużyjesz siły w ciągłym oporze woli i przekonaniu rodziców męża. A będzie to walka z nieprzyjacielem niewidocznym, milczącym, strasznym; nie na polu otwartem, lecz skrytem podstępnie, na każdym kroku, od rana do wieczora, że w końcu zmęczona, zwalczona, ulegniesz i ugniesz się przed ich cnotą, wzniosłym celem, zasadami prawem, i staniesz się pomimo woli prawdziwą panią Ewans, według ich staroświeckich poglądów. Ich natury są energiczniejsze, silniejsze niż twoja, uleż im musisz; będziesz się szamotać bezustanku, walcząc ze sprzecznymi przekonaniem, aż w końcu zmarnujesz życie swoje.

— Dosyć, dosyć, Henryku! Czy to mój brat tak mówi, tak mnie tyranizuje!

— Próbuje lekarstwa ostrego, lecz skutecznego. Wskazuje ci niebezpieczeństwo i błagam, abyś go uniknęła. Jerzy jest na drodze do zrobienia majątku, i nie rozumiem, dlaczego byście się tu na wieki zakopać mieli. Staraj się oswoić go z myślą opuszczenia tych miejsc. Nie cofaj się, nie ustępuj, ale przedewszystkiem zachowaj twój sposób postępowania: bądź wesołą, zawsze serdeczną i pociągającą. Używaj tej pewnej, nieomyłnej broni kobiecej, aby Jerzy nie wpadł znowu w sidła, z których go na chwilę wyzwoliłaś. Zbijaj z kolei przewrotne zasady matki, wpajaj w niego przeko-

nanie, że miłość tylko wtenczas jest pożyteczna, jeżeli ogrzewa życie codzienne; podtrzymuj go w myśli, że fakt związku małżeńskiego nie zaspakaja jeszcze wszystkich potrzeb serca i że czułe oświadczenia narzeczonego nie mogą rzucić światła na całe życie dalsze; powiedz mu, że uczucie powinno się odżywiać i odmładzać, jak cała natura, i stroić się na każdą porę w kwiaty i owoce, tak samo jak trawa łąk i drzewa lasów.

— Ja sądziłam, że żona nie powinna w niczem opierać się mężowi, że przez opór traci miłość jego—odrzekła Emilka.

— Jest to prawdą bezwątpienia, moja droga, to też ja nie radzę ci dąsów, wyrzutów, scen gwałtownych. Czybyś ty nawet umiała, skarbie mój drogi, użyć takiej broni? Mam na myśli tylko wypełnienie pierwszego obowiązku względem naszych ukochanych, obowiązku najświętszego: wywierania na nich dobrego wpływu. Kobiety wogóle doznają jakby pragnienia ofiary, ślepego poświęcenia się, choćby ono wcale nie podnosiło i nie uszlachetniało przedmiotu ich miłości. Jeżeli znośimy w milczeniu egoizm i zimno naszych ukochanych, to chyba sami nie kochamy ani prawdziwie, ani rozsądnie. Nie wyobrażajmy sobie, że człowiek serca da się długo oszukiwać okazywaniem sztucznej czułości; pozna się na tem prędko i zażęskni za głębokiem i prawdziwem uczuciem. Ni-

czem nie wykręcisz się od wzniosłego powołania, przez Boga ci wskazanego; jesteś przed Nim odpowiedzialna za swego męża! Idź więc naprzód, jak odważna chrześcianka, walczyć z tą raną domowego szczęścia, udrapowaną fałszywie płaszczem ofiary i świątobliwości; pamiętaj, że sam Stwórca zezwala na zewnętrzne objawy miłości i uznania.

— Oh, tak! dzięki ci za te dobre słowa!— zawołała z uniesieniem, przekonana już Emilka.— Więc mogę rzeczywiście i bez egoizmu wymagać tego, czego serce moje tak gorąco pragnie. Ta myśl czyni mnie silną i odważną. Będę walczyć i odniosę zwycięstwo.

Ten pogląd na obowiązek otworzył nowe horyzonty biednej mojej siostrze, a jednak cała moja wymowa, połączona z jej postanowieniem, nie przyniosła świetnych rezultatów. Nie można było odrazu usunąć młodego małżeństwa z pod zgubnych wpływów, które je otaczały. Wkrótce potem Emilka została matką dwóch ślicznych chłopczyków, po których urodzeniu zaczęła słabnąć i chudnąć widocznie. Jej energia moralna uchodziła wraz z siłami fizycznymi. Matka więc i siostry objęły nanowo cały zarząd domu, służby i wychowania dzieci; wzięły w ręce cały kierunek młodego gospodarstwa, którego pani walczyła ciągle ze śmiercią. Rozpacz nas ogarniała na taki stan rzeczy, aż w końcu oświadczyłem Jerzemu, że tylko

powietrze domowe, rodzinne, mogło żonę jego ocalić. Pomimo oporu Ewansów, szwagier mój osiedlił się z żoną i dziećmi w ślicznej willi blisko nas, a rezultaty przeszły najśmielsze nasze oczekiwania.

Niespełna w rok nasza dawna Emilka, żywa, świeża, wesola, zmartwychwstała zupełnie. Pełna energii i ochoty, doskonale umiała rządzić domem; dzieci miały w niej poświęconą matkę, a później przyjaciółkę, dzielącą ich radości i troski; stała się ukochaną towarzyszką męża, odzyskawszy nad nim wpływ i panowanie serdeczne z lat swojej pierwszej młodości. Mgła ponura rozwiała się bezpowrotnie; słońce przebijało chmury. Jerzy stał się innym człowiekiem, a my wszyscy byliśmy zachwyceni tą pomyślną zmianą. Historia moja skończona, a oto jej sens moralny:

Podzielmy życie nasze na dwie części: jedna niech będzie dla naszych przyjaciół, druga dla nas samych; jedna część zostawiona dla otaczających nas, ukochanych naszych, druga ukryta głęboko w naszej duszy. Uważajmy za świętą konieczność okazywanie naszej radości, przywiązania, przekonania naszych i dobrych uczynków. Skryjmy głęboko naszą zazdrość, złośliwość, cierpkość, egoizm i chęć zemsty.

Na nieszczęście, jest jeszcze jeden rodzaj ludzi, do którego może i my sami należymy, a którzy

mają wyraźny wstręt do okazania nazewnątrż tego, co jest prawdziwie piękne i godne pochwały w ich charakterze,—gdy tymczasem nie robią sobie najmniejszej ceremonii z rozpościeraniem wad swoich i złego humoru. Łatwiej im przychodzą szorstkie i gniewne uwagi, niż uprzejmość i pieszczota. Cierpkość ich i niechęć idą prosto przed nimi z głową podniesioną; miłość zaś bywa zawsze nieśmiała i bojaźliwa. Ranią oni bezkarnie swych przyjaciół, odtrącają ich uczucia serdeczne z zupełną swobodą; ale gdy lepsza strona ich duszy popycha ich do naprawienia winy, zagojenia rany zadanej, cofają się i jękają lękliwie. Ileż to egzystencyj, zmarnowanych napróżno, mogłoby się zamienić w pożyteczne i obfitujące we wszelkie moralne bogactwa, gdyby nie smutna wada ukrywania serdecznych porywów, brak zaufania i skrytość uczuć! Żyją pod jednym dachem, cenią się i kochają tkliwie, może nawet uwielbiają, ale nie umieją okazać sobie tego wzajemnie. Idą obok siebie, zajęci, niespokojni, zapracowani, myśląc, że kiedyś nadejdzie czas używania szczęścia w pełni, policzenia skarbów serdecznych; i tak upływają tygodnie, miesiące i lata; wreszcie nadchodzi śmierć! Nie bardziej gorzkiego, jak wspomnienie mnóstwa rzeczy, któreśmy mogli dopełnić, a nie dopełnili: „Ona nigdy nie wiedziała, jak ją kochałem!..“ „On się nie domyślał nawet, jakim dla mnie był skar-

bem!...“ „Nie korzystałam z jego przywiązania!...“ „Teraz dopiero czuję, jakie on miejsce zajmował w mojem sercu, gdy go już niema na świecie!...“ Oto strzały zatrute, które nam wysyła śmierć ze swego progu. Gdyby każda dobra myśl wywołała czyn dobry, życie nasze uległoby wielu zmianom. Nie mówię tu o pieśczętach, które niezawsze są najlepszym objawem przywiązania. Są usposobienia, nieznoszące wszelkich zewnętrznych objawów; pewna delikatność, nieśmiałość, wstręt fizyczny, wstrzymują ich porywy; ale nie nie powinno stanąć na przeszkodzie tysiącny objaw uprzejmości, dowodom przyjaźni zawsze na miejscu i nigdy nadto dla tych, co są ich przedmiotem. Ogólnie rozpowszechniony błąd każe nam mniemać, że krewni powinni się kochać przez to samo, że są członkami jednej rodziny, a tymczasem wspólne pożycie i związki krwi w niczem nie wyłączają sympatyj i antypatyj, i powinniśmy z większą bacnością czuwać nad naszymi uczuciami względem blizkich, ponieważ nie możemy już dowolnie zrywać naszych związków i stosunków z nimi.

Obawa posądzenia o pochlebstwo i nieśmiałość bywa także przeszkodą do objawienia tego, co czujemy:

— Byłabym wiele dała za to, aby móżdż okazać pannie R., jak ją uwielbiam—rzekła Marya.

— Ależ, na Boga, czemuś tego nie uczyniła?

— Bo mogłaby myśleć, że jej pochlebiam.

A czemże jest rzeczywiście pochlebstwo? Jest to fałszywa pochwała w celu osobistego interesu, a nie szlachetnego uznania i szczerego uczucia. Więc dlaczego pokrywać maską obojętności prawdziwe uznanie i popędy serca? Bywają ludzie, którzy tak się obawiają obudzić próżność, dumę i ambicję w swych dzieciach, że je przez to zniechęcają do wszystkiego i zachmurzają ich młodość, dopóki traf szczęśliwy nie odkryje im, jak są drodzy matce, jak ojciec pyszni się ich talentami i zdolnościami. Młody człowiek przechodzi w życiu takie trudności, że tylko pewność gorącego uznania i przywiązania może go podtrzymać w dobrym i zachęcić więcej, niż wszystkie morały i napomnienia. Nad wszelki wyraz winni są rodzice, którzy go tej podpory pozbawiają.

Niech więc obowiązkiem naszym stanie się nie tylko kochać, lecz i okazywać to kochanie; nie tylko czuć przyjaźń, lecz i dowody jej dawać. Powinniśmy się zmusić do wymówienia dobrych słów, które drżą na naszych ustach, a nieraz z różnych śmiesznych i drobnych powodów pozostają niewymówione; zadanie to stanie nam się coraz łatwiejszem, a im więcej dobrego damy z siebie drugim, tem więcej i dla siebie otrzymamy, a życie rodzinne odrodzi się przez miłość i pobożanie.

ROZDZIAŁ IV.

Upór.

Moje małe podjadki to rasa ciekawa i trudna do poznania; mam nadzieję, że jeszcze was nie znudziło badanie tej małej menażeryi. Chociaż poznałście dokładnie dopiero trzy gatunki tych wad, którym najczęściej podlegają ludzie, zresztą zacni i poczciwi, wypełniający wszystkie przykazania boskie i ludzkie, czyż rzeczywiście nie przypominają oni tych drobnych a szkodliwych owadów, których obecność wtenczas dopiero widoczna na roślinach, gdy już smutnie liście opuszczają i pączki nierozwinięte utracą? Otóż dziś przedstawię wam jednego, może najzłośliwszego z tych ukrytych nieprzyjaciół, zatruwających niejedno życie; nazywa się *uporem*, duchem opozycyi, a tym, który mu podlegają, nie pozwoli ani kroku ustąpić w przekonaniach, choćby je w głębi duszy już zmienili. Wada ta, jak wszystkie moje podjadki, może być cnotą, gdy jest kierowana rozsądkiem i umiarkowaniem, a dopiero podniesiona do przesady sta-

je się szkodliwą bardzo. Wszakże stałość charakteru wszędzie za wielki przymiot jest uważaną; ona jest jakby kamieniem węgielnym, podstawą, na której spoczywa budowa każdego naszego przedsięwzięcia—bez tego warunku budowalibyśmy na piasku albo w powietrzu. Każdy umysł ludzki, dobrze uorganizowany, powinien mieć za podstawę pewność w zdaniach i wytrwałość w działaniach; jest ona tak konieczną, że natura sama obdarzyła tym przymiotem nie tylko nas, ale i zwierzęta. Wytrwałość, z jaką buldog utrzymuje walkę zaciętą ze swoim przeciwnikiem—upór muła, którego nawet razy nie zmuszą do poruszenia się z miejsca, — są oznakami tej siły bezmyślnej i głupiej u zwierząt, która u ludzi, rozumnie użyta, staje się narzędziem wielkich czynów oraz zadziwiających odkryć i wynalazków. Na nieszczęście, często zaniedbujemy oddać tę siłę pod kierunek rozumu oraz sumienia, i stajemy się niewolnikami uporu, któremu pozwoliliśmy wziąć górę nad niemi; a smutnym wynikiem takiego stanu rzeczy jest postanowienie tem stalsze, im mniej uzasadnione, niezmienniania nigdy i dla nikogo naszych zdań, gustów i upodobań. Oto przykład na poparcie tego twierdzenia:

Na wzgórzu zielonem wznosi się prześliczna willa, otoczona kwiecistym gajem. Sprowadziło się do niej młode małżeństwo; kupecy i robotnicy wszelkiego rodzaju są na rozkazy Heleny i Artura,

i pozostaje im tylko łatwa i tak miła czynność: urządzenia swojego gniazdka, ustawienia swoich skarbów, swoich mebli, kwiatów, ozdób i gracyków. Napozór jest to para zupełnie dobrana. Dwa lata byli narzeczonymi; kochali się bardzo, nosili nawzajem pukle swoich włosów, zasuszone kwiatki, pamiątki chwil miłych, na sercu lub w medalionie. Zamieniali najczulsze listy i spojrzenia, przepędzali długie godziny na rozkosznych, poufnych rozmowach; a im lepiej się poznawali, tem więcej znajdowali podobieństwa w gustach, w charakterze, w zdaniach,—tem więcej powodów do wzajemnej sympatii, szacunku i uwielbienia.

Prawdą jest niezaprzeczoną, że dwie osoby mogą mieć równą inteligencyę, uwielbiać jednych autorów, lubić jedne poezye, podzielać jedne zasady, jedno wyznanie religijne, a jednak być w ciągłej walce w życiu codziennem, a to dlatego, że ich przyzwyczajenia, organizacya fizyczna, wychowanie wreszcie, dały każdej z nich inne potrzeby, inny kierunek, inny sposób widzenia rzeczy, jednym słowem odrębną indywidualność. Rozum i logika na nie się tu nie przydadzą, a powód wydaje się zadrobnym, ażeby się odwoływać aż do zasad religii. Tymczasem ona jedna tylko może doprowadzić do silnej spójni dwie takie natury, napozór odrębne, wygładzić małe nierówności, zaró-

wno jak wielkie zapory na drodze ich życia. Wyobraźmy sobie młodego dzieciola, któryby zapalał gorącą miłością do zgrabniutkiej makolągwy. Po wielu czułych rozmowach o czarach uroczej wiosny, o rozkoszach swobodnego szybowania w przestrzeni, po wielu komplementach i zachwytach kochanka nad świergotem jego rozkosznej towarzyszki, połączonych z naganą jego własnego głosu, tak ostrego i nieharmonijnego, postanowili nareszcie połączyć się.

Pan dziecko jest naturalnie przekonany, że wydrążone drzewo stanowi jedyne schronienie, jakie szanujący się ptak obrać sobie może. Podczas gdy pani makolągwa marzy tylko o uroczem gniazdku na giętkiej gałązce krzaku kaliny i przekonana jest, że za tydzień umrze z reumatyzmu lub melancholii w tej zimnej dziurze,—pan dziecko nie wątpi, że zwaryuje przed końcem lata z powodu ciągłego zawrotu głowy i bezustannej choroby morskiej. Ona widzi wyraźnie, że nigdy jej nie kochał, skoro chce ją skazać na zamknięcie w tem ciemnem więzieniu,—on dochodzi do tego samego przekonania: bo przecież, żeby go choć trochę kochała, nie skazywałaby go na ciągłe kołysanie, potrząsanie, podrzucanie, jak jakiego ptaka bez znaczenia i powagi. Każde z nich jest stałe w swym zdaniu, żadne ustąpić nie chce i, co więcej, oboje mają słuszość. To też natura, zawsze mądra

i przewidująca, nie pozwoliła, aby się dziecióły zakochiwały w makolągwach — i stadła powietrzne żyją w zgodzie.

Niestety! inaczej dzieje się u nas ludzi: małżeństwa kojarzą się codziennie, tworzą rodzinę, zamieszkują jeden dom, z tak sprzeczną naturą, gustami i instynktami, jak zamięłowanie jednego ptaka do dziupli w drzewie, drugiego do gniazdką zawieszonego na giętkiej gałęzce i poruszanego najlżejszym powiewem wiatru.

Helena i Artur należą, nieszczęściem, do tej liczby. Każde z nich było jedynem dzieckiem u kochających je nad wszystko rodziców; każde było uwielbiane i podziwiane w swoim kółku; zdanie ich w rzeczach gustu było wyrokiem; każde wreszcie w swoim otoczeniu uważane było za wzór i przyzwyczajone do przeprowadzenia we wszystkim swej woli, swojego zdania.

Pokochali się wzajemnie dla wielu ważnych i rozsądnych przyczyn: — oboje sympatyczni, szlachetni, tkliwi, inteligentni, pełni wdzięków i talentów, a nadewszystko szczerze religijni. A jednak ci kochankowie, pełni dla siebie miłości, poświęcenia, zapału i uniesienia, nie są w stanie przetrzymać próby codziennego życia; za najlżejszym powodem następuje wybuch, co chwila się powtarzający. Od pierwszych dni ich pożycia małżeńskiego powstaje między nimi walka bolesna i męczą-

ca, która się chyba z życiem zakończy. Nie można zdecydować, które z nich ma słuszość; oboje są tylko odmienni i uparci—oto wszystko; oboje z równą energią chcą swoje upodobania, gusta, swój sposób widzenia przeprowadzić; żadne z nich za nic w świecie nie ustąpi ani na linię, ani na jotę, w niczem i nigdy.

Posłuchajcie tylko:—Helena dziś zeszła na werendę świeża i ładna, w prześlicznym negligyku; jej drobne stopki szukają drogi pośród pak i paczek rozrzuconych. Artur, zachwycony jej widokiem, uszczęśliwiony, wita ją radośnie; usuwa kufry, paki, ażeby łatwo dostać się mogła do ślicznego salonu, gdzie już modne dywany pokrywają posadzkę i żywymi kolorami radują oczy. Pozostaje tylko poustawiać meble.

— Fortepian trzeba postawić przy tem oknie—mówi pani.

— Ależ nie tu, moja droga—mówi pan.

— Zagłębienie w oknie jakby naumyślnie na to przeznaczone. Gdzieżbyś chciał go postawić?... Nigdzie nie widziałam fortepianu w innem miejscu.

— Zastanów się, kochanko, przecież nie chcesz na seryo zastawić tego okna i pozbawić nas możliwości podziwiania ślicznego widoku; w tamtym kącie będzie mu daleko lepiej. Patrz tylko: to okropnie wygląda i szpeci cały pokój.

— Mnie się zdaje, że przeciwnie: pokój będzie zeszpecony, gdy go podług swego życzenia ustawisz; właśnie w tem zagłębieniu możnaby urządzić śliczne posiedzenie.

— Jeżeli będziesz miał ochotę, to i za fortepianem usiąść możesz. Salon bez porównania weselej wyglądać będzie, jeżeli to okno zostawimy wolne; ten rozległy widok na zatokę, na klomby drzew, dzwonnice kościelną, stworzony jest na to, aby go z tych fotelików podziwiać.

— Fortepian w tym kącie okropnie wygląda; chcę koniecznie, aby stał przy oknie, tak, jak mama, ciocia, Berta i wszyscy zresztą swoje fortepiany umieszczają.

— Jeżeli ty „chcesz koniecznie,” to i ja to samo powiem.

— Jakto, mój drogi, czyż kobieta nie jest panią choćby tylko w swoim salonie?

— Nie, kobieto zamężna; bo jeżeli ma ochotę widywać w swoim salonie swego męża, to powinna z nim prawa dzielić zarówno.

— Nie przypuszczałam, że będziesz się upierał w ustawieniu, które mi się nie podoba — odpowiedziała Helena.

— Ani ja tego nie przypuszczałem, że taką wagę przywiązywać będziesz do zrobienia tego, co mi się nie podoba—odrzekł Artur.

Helena pokraśniała z oburzenia i głosem drżącym od wzruszenia rzekła:

— Jeżeli to ma być rozkazem, to usłucham, ale zapowiadam ci także, że nigdy grać tu nie będę z przyjemnością.

I wybiegła z salonu, zostawiwszy męża zmieszanego swoim zwycięstwem.

Poszedł wkrótce za nią i zastał ją w swoim pokoju, płaczącą gorzko.

— To wszystko dzieciństwo, droga Helenko; rób, jak ci się podoba; zostawiam ci zupełną swobodę.

— Dlaczego się cofasz? Zapomniałam na chwilę o uległości żony, ale odtąd będę to miała ciągle na pamięci.

— Nie myślisz na seryo o tem, co mówisz... Bądź rozsądna i nie spierajmy się jak dzieci.

— A jednak ty jesteś winnym bez zaprzeczenia.

— Moja droga, gotów jestem ustąpić ci, ale nie mogę w żaden sposób przyznać, że ty masz słuszność.

— Ja też nie rozumiem zupełnie twego gustu, Arturze. Fortepian w tym kącie ciągleby mi zawadzał, nutbym nawet dobrze nie widziała.

— A ja się dziwię, że taka, jak ty, artystka może się upierać przy zeszpeceniu salonu, umieszczając fortepian przy najpiękniejszym oknie.

Im dłużej trwa ta rozprawa, tem więcej upór się zacina, a w zapale walki szermierze, ogłuszeni własnym zapalem, ranią się boleśnie i głębiej, niż sami myślą.

— Ty się tylko kierujesz tem, co ludzie powiedzą, i tem, co wypada; chcesz tylko błyszczeć; niema sensu w tem, co mówisz.

— Ty masz ducha przekory, despotyzmu; byłby z ciebie prawdziwy tyran-dyktator.

Te gorzkie słowa, usprawiedliwione chwilo-
wem uniesieniem, mogą być prędko zapomniane przez tego, co je wyrzekł, ale strasznie uderzają w tego, do kogo były zwrócone, i zostawiają zaród goryczy i cierpkości, który czyni następną sprzeczkę jeszcze ostrzejszą.

Jeżeli obok tego ducha opozycji istnieje mi-
łość głęboka i gorąca, to przyjemność pogodzenia się wynagrodzi gorycz walki. Ucałowanie, przeprosiny, zgoda, bywają jak słońce po deszczu; wszystko wydaje się ożywione oraz odnowione, i uwierzyć trudno, aby tak lekkie wstrząśnienia mogły na seryo zachwiać prawdziwe i głębokie uczucie, a jednak zbawienne przerwy i zgoda to tylko pozór, iluzya, jeżeli co chwila zniszczyć je mogą te fatalne, drażniące słowa: „przyznaj jednak, że ostatecznie ja tylko miałem słusność.“ Dopóki mi-
łość własna i upór górują nad wolą, dopóki jest

ona pod panowaniem tej siły, nie nie może zabezpieczyć spokoju i ciszy.

Ot i dziś naprzykład: w szczęśliwem usposobieniu i humorze Helena oczekuje męża z przygotowaną ucztą na zgodę. Z najlepszą chęcią i intencją własnymi rękami przyrządziła sałatę i ma nadzieję, że będzie mężowi smakowała, i że jej za to wdzięcznym będzie. Artur zasiada do stołu w dobrym także humorze, ale ani skosztował sałaty, odsuwa ją na bok w milczeniu.

— Czyż sałata nie jest wyborna? — woła Helena.

— Zapewne, nie wątpię, ale ja oliwy nie znoszę.

— Więc nigdy sałaty nie jadasz?

— Owszem; jest także doskonała z octem tylko i z cukrem.

— Co? z octem i z cukrem?... a to dziwne, pospolite! Mój drogi, spróbuj tylko mojej—mówi Helena pieszczotliwie.

— Po cóż mam łykać to, co mi jest wstrętne?

— To wcale nie uprzejmie z twojej strony.

— Nie widzę w tem nic, coby cię mogło obrazić.

— I owszem, bo nie chcesz zrobić tego, o co cię proszę, a wiem, żeby ci smakowało. Mój Arturku, przymuś się trochę, a ręczę, że łatwo się przyzwyczaisz i smakować ci będzie.

— To ty, Helenko, przymuś się do sałaty z cukrem.

— Ale czy taką widział kto kiedy na wykwintniejszym stole?

— Bywała taka zawsze u mojej matki, a przypuszczam, że uznasz jej stół za wykwintny. Uważam, że cię bardzo obchodzi to, co jest w wyższym tonie.

— Już mi to raz powiedział. Jesteś niesprawiedliwy i złośliwy bardzo.

— O! tak, jestem tyranem, upartym, samowolnym, i to nieraz słyszę od ciebie.

— Jeżeliś nie samowolny, to ja się chyba nie znam na tem.

— Zupełnie nie widzę, w czem moje samowolność upatrujesz.

— W tem, że upierasz się zawsze przy swoim, jakby świat cały od tego zależał.

— A czy ty, Helenko, nie więcej jeszcze?

— Gdybyż to ludzie umieli patrzeć na siebie sprawiedliwie! — mówi Helena, wznosząc oczy ku niebu.

— O! i ja pragnąłbym tego samego. Największą radość ci sprawia, jeżeli możesz mnie dreczyć! Skończmy już, moja droga; wszystko razem jest śmiesznem dzieciństwem.

— Sam przecie zacząłeś.

— Przepraszam, to ty!

— Ależ nie!

I tak dalej i dalej—mogłaby ta utarczka trwać całe godziny, bez odetchnienia, a w końcu każde miałoby głębokie przekonanie, że ma słuszość. Gdyby ona była rzekła: „Odtąd będziesz miał zawsze sałatę z cukrem,“ albo on skosztował sałaty z oliwą,—kwestya cała załatwiłaby się zgodnie; tymczasem wskutek nierozważnej stanowczości i głupiego uporu dwie istoty rozumne zniżyły się do takiej sprzeczki nierozsądnej i śmiesznej. Powody, wywołujące takie starcia różnorodne, nigdy się wy-czerpać nie mogą i nasza młoda para odkrywa co-raz to nowe.

— Trzeba się namyślić, gdzie powiesimy tę piękną kopię Turnera: w salonie, czy w bibliotece? Czy te dwa małe obrazki lepiej będą wyglądały na ścianie, czy na stalugach? Czy tę piękną Psyche ustawić na marmurowym stole, czy w tej niszy?

Wszystkie te drobnostki bronione są i przeczone z taką zaciętością i z taką obfitością argumentów, że może to w podziw wprowadzić każdego, kto nie rozumie, jak się w ten sposób śmieszny i uparty broni swego zdania wobec i przeciw wszystkiemu.

Cała starożytność, wieki średnie, zdania żywych i umarłych, artystów i profanów, religia, moralność, estetyka—wszystko to dostarcza broni i punktu oparcia dla przekonań oraz dowodzeń zacie-

kłych,—tak dalece prawdą jest, że najmniejsze rzeczy graniczą nieraz z największemi.

Sławny moralista Johnson mówi: „Jest mnóstwo sprzeczek i starć domowych, trudnych nieźmiernie do objaśnienia, tysiące kwestyj, niedających się rozbić, przeciwnych nieraz logice, tysiące wypadków, w których tylko czynu, a nie słów potrzeba.“

Ośmielam się jednak oświadczyć, przy całym uznaniu dla wielkiego moralisty, że zdanie jego zdradza brak znajomości i środków wymowy, które mają zawsze na zawołanie dwie osoby żyjące razem, a inteligentne, uparte i zacięte w zdaniu. Osoby w rodzaju Artura i Heleny nigdyby się nie znalazły w położeniu, w któremby wołały działać, a nie upierać się przy swoim zdaniu.

Ta nieustanna wojna domowa, te sprzeczki dla marnych powodów, bez nazwy i celu, niszczą potrochu stosunek serdeczny, łączący istoty ostatecznie natury dobrej i tkliwej, aż nareszcie czują, niestety, że barykada rozdzielenia zaczyna się nieznacznie wznosić pomiędzy nimi. Rozłączenie znowu, choćby na krótko, powraca i serdeczność i miłość. Artur nie spotyka nigdzie kobiety, którąby mógł porównać ze swoją Helenką; ona tęskni za mężem. Ale za powrotem do siebie szkodliwy *podjadek* uporu nurtować zaczyna nanowo.

„Nigdy nie umiałbym spokojnie znosić scen podobnych!—zawołał Don Positivo, dobry mój znajomy.—To też z pewnością nie wybiorę sobie za towarzyszkę przemądrzałej inteligentki, bo takie są zwykle pedantki i egoistki, a najbardziej uparte i stanowcze. Ożenię się z osóbką słodką, miłą, uległą, która się chętnie nagnie do moich opinij i woli.“

Wkrótce potem Don Positivo rzeczywiście wybrał sobie laleczkę różową, białą, delikatną, bez woli i rozumu; miała ona być w domu owym księzcem bladym, który winien światło swoje tylko słońcu, to jest mężowi. Ale miej się na baczności, przyjacielu drogi! chcesz bez walki uniknąć kaprysów, bez przeszkód dogodzić swoim fantazyom, i myślisz, żeś dobrze uczynił, łącząc się z zerem? A czy jesteś pewny, że opór istoty rozsądnej, choć upartej, jest trudniejszym do zwalczenia, niż ten, który wywoła głupota i niedorzeczność?

I oto siedzisz naprzeciw takiej ślicznej istotki, która się od ciebie napiera np. księżycą, a rozpacza, że nie możesz uczynić zadość jej żądaniu, i narzeka na twoję nieużytość. Naprózno będziesz jej przedstawiał, że to rzecz niemożliwa; wezwiesz na pomoc całą astronomię, aby jej tego dowieść. Ona, z główką opartą na ślicznej rączce, obojętnie cię słuchać będzie i znowu powtórzy tym samym głosem: „Ja chcę księżycą, lub gwiazdki z nieba!“

W dalszem pożyciu przyjdzie epoka, w której będzie chciała koniecznie odebrać syna swego z wybornej szkoły, z powodu zbyt trudnych dla niego przepisów i wymagań. Będiesz ją przekonawał, że najlepszą szkołą dla dzieci jest naginać się zawczasu do życia czynnego, regularnego; że dziecko zdrowe powinno pracować, być posłuszne, i że niepodobieństwem jest przerywać mu naukę bez ważnej przyczyny. Żona taka pozwoli ci mówić, ale w końcu znudzonym głosem odpowie: „To mi wszystko jedno, nie się na tem nie znam, ale jednego chcę tylko: aby moje biedne dziecko nie było dłużej w tej okropnej szkole.“ Ty się upierasz, ona płacze, nie sypia, dostaje spazmów, migreny, i zapóźno poznasz, że taka śliczna gąska jest równie strasznym, a może jeszcze straszniejszym antagonistą, niż najbardziej uparta, ale inteligentna kobieta.

Helena ulega też czasami, po zaszczytnej według niej walce, gdy rzeczywiście logika i słuszość są po stronie męża; wtenczas Artur pyszni się zwycięstwem, bo szanuje i uwielbia swego zwalczonego przeciwnika; a tymczasem ów nieszczęśliwy mąż, przekonujący napróżno istotę nierozsądną, nie ma nawet satysfakcyi w ustąpieniu, ani zaszczytu w przełamaniu uporu swego przeciwnika, bo walka między osobami, które się nawzajem szanują i uznają swoje wyższość, może

być przykrą, ale poniżającą jest tylko pomiędzy osobami, które się nie rozumieją i pogardzają sobą.

Pozostaje nam teraz rozwiązać owę kwestyę, o której mówi moralista, jak postępować w tych licznych okolicznościach, w których rozsądek i logika nie nie pomagają, w których trzeba milczeć i działać.

Przeczytawszy książkę pani Ellis p. t. *Kobiety angielskie*, znajdziecie rozwiązanie tej zagadki. Dowodzi ona, że w małżeństwie nie powinno być sprzeczek i upartych dowodzeń, bo jedna tylko wola powinna rządzić. Mąż i pan wydaje wyroki bez apelu; jego wyższe prawo rozciąga się do najmniejszych domowych szczegółów, a jedynem pragnieniem żony powinno być zrozumienie, na czem się zasadza ta wola najwyższa.

„*Rząd—to ja.*“ W owem znanem zdaniu znajduje się nauka moralna, którą każdy mąż wyciągnie z dziełka pani Ellis. Bohater znanej powieściopisarki Mis Edgeworth, wyniosły generał Clarendon, rozkazuje zawsze swej pięknej i miłutkiej małżonce. Spogląda on z takiej wysokości swego majestatu, cała jego osoba przedstawia taką konieczność władzy i panowania, że biedna Cecylia, olśniona tą potęgą, traci głowę i tak przed swoim okrutnym i marsowym małżonkiem niektóre tajemnice z lat swoich młodszych, gdy

była jeszcze narzeczoną. On, niby słodko, ale stanowczo i zawsze z właściwą sobie emfazą, oświadczył jej matce, iż nie zniósłby myśli, że jego narzeczoną kochała już kogoś przed nim. Cecylia wtenczas postępuje jak prawdziwe dziecko i milczeniem pokrywa przed mężem niewinną miłośćkę z lat jeszcze pensyonarskich. Ta niby czarna tajemnica daje powód w powieści do scen tragicznych, rozgrywających się pewnego poranku, w którym generał wpada do sypialni ze znalezionym starym listem i woła ponurym głosem: „Cecyliu! czy poznajesz to pismo?“

Ideał małżeńskiego pożycia, który sobie przedstawiają dawniejsze autorki, niewiele się różni od dzisiejszego w powieści bardzo słynnej p. t. *Mąż Agaty*. Młoda, piękna i bogata panna wychodzi za mąż; narzeczoną dowiaduje się, że brat jej rodzony, będąc opiekunem majątku, źle nim rządził, obdłużył powierzone sobie dobra, i że tylko długa i ścisła oszczędność może zapobiedz zupełnej ruinie. Naturalnie, że trzeba było koniecznie postawić bohaterkę powieści w położeniu, któreby uwydatniło sens moralny. Mąż czyni uroczystą obietnicę niewyjawienia nikomu, tem mniej żonie, niegodnego czynu brata, który ją pozbawił majątku. W dalszem opowiadaniu przedstawia nam się opłakane postępowanie żony, wprowadzonej przez męża do ciasnego i biednego mieszkania, gdzie jest pozba-

wiona komfortu, do którego nawykła, nie znając wcale przyczyny takiej dziwnej i bolesnej zmiany. Zamiast w ślepej zaufaniu przyjąć bez szemrania jego napozór surowe rozkazy i uwielbiać go jak uosobienie honoru i poświęcenia, Agata buntuje się, narzeka, znajduje nagannem postępowanie męża i daje mu to dotkliwie poznać. Mąż pozuje na męczennika, cierpi w milczeniu, a nieporozumienie to trwa ciągle, aż do końca tomu drugiego; wreszcie prawda się odkrywa, mąż tryumfuje, a żona skruszona przyznaje się na kolanach do niewdzięczności.

Kiedy Karolina Brante opisuje życie pary narzeczonych, możnaby przypuszczać, że się znajdujemy w manège, tak kochankowie jej dziwnie przypominają postępowanie poskromionych dzikich zwierząt. Shirley jest to dziewczę samowolne i uparte. Moore, jej pan ukochany, daje jej do przeczytania i nauczania się na pamięć ustęp p. t. *Koń poskromiony*. Ma to być słodka aluzja do jej charakteru; kiedy nareszcie, po długim wahaniu i oporze, przyjmuje jego miłość i poddaje się jego panowaniu, on porównywał ją do dzikiej pantery i mówi: „dzika, czy oswojona, wolna czy uwięziona, należysz już do mnie.“ Na co ona odpowiada: „szczęśliwą jestem; znam mego stróża i pana, będę szła jego drogą, będę jadła z jego ręki, u nóg jego tylko znajdę spokój.“

Utalentowana autorka „*Natalii*“ opisuje nam troski i udręczenia młodej dziewczyny, zaręczonej z człowiekiem znacznie od siebie starszym, charakteru posępnego i cierpkiego. Człowiek ten, przy wielkiej oryginalności i dziwacznym sposobie postępowania, wymaga od narzeczonej nieograniczonego zaufania i oświadcza jej w słowach ostrych i tajemniczych, że poróżniłby się na śmierć ze swoim najlepszym przyjacielem, gdyby zauważył w nim cień powątpiewania co do swojego postępowania i honoru. Nadręczwszy dosyć w ten sposób młodą dziewczynę, upewniwszy się o swoim panowaniu nad jej sercem i umysłem, zapowiada nareszcie w salonie, wobec wszystkich, że się oświadczy wkrótce o rękę Natalii; niech więc inni starający się o nią wiedzą o tem i wczas się usuną. Zaręczwszy się nakoniec, zaczyna od przedstawienia jej, czem w jego mniemaniu ma być niepodzielna władza i prawo męża nad żoną, a nie znalazłszy w niej dosyć pokory i biernego poddania się swej woli, oświadcza jej, że, pomimo całej miłości, widzi się zmuszonym zerwać słowo, aby nie narazić wspólnego szczęścia jej samowolnością. Teraz dopiero zaczynają się prawdziwe udręczenia tych dwóch istot; bohater powieści staje się coraz zimniejszym, dzikszym, dziwaczniejszym, a to wszystko z winy Natalii, która mogła była zrobić z niego uosobienie doskonałości, gdyby

była chciała znaleźć całe swoje szczęście w ślepem uleganiu jego fantazyom najdziwaczniejszym.

To też dręczą ją teraz wyrzuty sumienia, i nareszcie przekonana o ogromie swej winy, biedna dziewczyna wchodzi do gabinetu ex-narzeczonego, nie zważając na zimne i ostre przyjęcie, rzuca mu się do kolan, błaga o przebaczenie i prosi, aby ją zatrzymał w swoim domu jako sługę i niewolnicę. Taka pokora rozbraja go nareszcie; a kiedy zdecydowała się i chce zostać choćby jego niewolnicą, on decyduje się nadać jej tytuł małżonki. I tak kończy się powieść, zostawiając Natalię w położeniu, w którem autorka upatruje szczęście kobiety—to jest u nóg męża! Oto w jaki sposób kobiety angielskie rozwiązują wszelkie zagadnienia domowego pożycia za pośrednictwem najbardziej inteligentnych autorek.

Ich lew brytański, stojąc przed kominkiem, w całym majestacie spokoju i powagi, nie obawia się wcale tych nędznych rozpraw, pełnych uporu i zaciętości, o których mówiliśmy na początku rozdziału, bo wie, że towarzyszka jego przyjmie pokornie rolę swoją, każde jego skinienie i żądanie bez sprzeczki wypełni, z przyjemnością postawi fortepian na wskazanem miejscu i zawiesi obrazy według fantazyi pana i męża.

W Ameryce znowu powyższe zasady byłyby odtrącone przez obie połowy rodzaju ludzkiego.

Mężowie amerykańscy byliby sami mocno zaambasowani odpowiedzialnością, jakaby na siebie wzięli w roli tyrana i despoty w ognisku domowem. Nie dlatego bynajmniej, aby duch amerykański buntował się przeciwko zasadom władzy, ale my chcemy, aby się ta władza objawiała w cichości, bez wszelkich gwałtownych zewnętrznych demonstracyj.

Duch Ewangelii, który mówi, że mąż jest głową żony, tak jak Chrystus głową Kościoła, powinien się zawsze modyfikować do osobistości, do której się odnosi. Bez nadania mężowi wszechwładzy i wszechwiedzy, wskazuje mu tylko poprostu, że ma być naczelnym opiekunem rodziny, jak Chrystus mistrzem i władcą dla tych, co w Niego wierzą. Wypływa to z prawa naturalnego, które wszystkie narody i pokolenia uznały i przyjęły.

Śmieszna opozycja niektórych kobiet, nawet rozsądnych, przeciwko temu porządkowi rzeczy wypływa bez zaprzeczenia z egzaltacyi i z fałszywych pojęć. Byłoby tak samo niedorzecznością oburzać się żonie na wyraz *posłuszeństwo*, jak np. oficerowi przeciw przepisom wojskowego regulaminu, lub obywatelowi wolnemu przeciw przysiędze na wierność krajowi.

Ojciec rodziny obowiązany jest myśleć o utrzymaniu materyalnem domu; odpowiedzialnym jest za jego opinię i pomyślność, ale nie ma prawa władzy

despotycznej nad osobistemi upodobaniami żony, jej przekonaniem i zdaniem, a nawet i dzieci starszych.

Nazwa jego, naczelnika rodziny, nie upoważnia go żadną miarą do obracania wszystkiego ku swemu tylko zadowoleniu, z poświęceniem chęci i zwyczajów domowych. Przeciwnie, obowiązkiem jego jest ustępować rozsądnie, zrzec się często własnej woli, gdy chodzi o wygodę i przyjemność żony w różnych drobniejszych kwestyach, które powagi jego i godności nazwiska nie narażają, jeżeli pragnie, aby i żona ulegała mu z kolei.

Mam głębokie przekonanie, że książki w duchu tych, których treść przytoczyłem powyżej, są niedorzeczne i złe, bo pochlebiają instynktom despotycznym jednej połowy ludzkiego rodzaju z ujmą dla połowy drugiej,—bo pobudzają egoizm strony jednej, a chcą narzucić niebezpieczne, szkodliwe jarzmo drugiej. Bo, pytam was, może być dobrze, aby mężczyzna znajdował w towarzyszce swego życia bierne narzędzie swej woli, dobrowolną ofiarę tych drobnych, a bez liku powtarzających się tyranij? Czyż owa towarzyszka życia spełnia swój obowiązek, dogadzając złym skłonnościom męża? Czy wybiera najlepszy sposób uczyńnięcia go prawdziwym chrześcianinem, naginając cały dom do jego fantazyj?

Z jakiegokolwiek strony przedstawimy sobie trudności małżeńskiego pożycia, zawsze je pogorszymy zasadą ulegania despotycznej władzy. Odbiera ona życiu cały powab, całą jego poezję, piękność i wzniosłość. Jeżeli tylko zaczniemy badać się pilniej, spostrzeżemy w sobie wielką skłonność do uporu, wynikającego ze złych i źle kierowanych skłonności, a spostrzegłszy go, mamy moralny obowiązek walczyć z nim i zwyciężyć.

Zarówno kobiety, jak mężczyźni, powinni koniecznie uczyć się wzajemnych dla siebie ustępstw. Cały powab, cała przyjemność towarzysztwa zależy mniej lub więcej od umiejętnego stosowania się do wzajemnych upodobań. Rozmowa nie powinna w niczem przypominać biegu kolei żelaznej, która przewraca i niszczy wszelkie na drodze spotykane przeszkody, aby dojść najkrótszą drogą do zamierzonego celu,—ale być niby cichym, spokojnym strumykiem, naginającym się do wszelkich nierówności. Życie domowe mogłoby bardzo wpływać i oddziaływać na wszelkie przyjemności i wymagania ugrzecznionego towarzystwa, gdyby każdy z jego członków zwracał nieustannie uwagę i zastosował surową regułę do rządzenia swoim charakterem i usposobieniem. Natury stanowcze, pewne, systematyczne, więcej mają w tym kierunku do zwalczania, tembardziej, że Opatrzność obdarzyła je zdradliwą atrakcją i zdolnością przycią-

gania do siebie charakterów wprost przeciwnych.

O zakład, sto przeciw jednemu, że człowiek pedant, punktualny, metodyczny, odda serce jakiej młodej, żywej, wesołej, roztrzepanej, pustej dziewczynie, którą nie obchodzą wcale dni, daty, godziny, która drze dzienniki, gubi klucze i zawija papiloty we wczorajsze rachunki. Gdy tymczasem kobieta porządnicka i drobiazgowa zawróci głowę niedbającemu o nic chłopcu, który po polowaniu wpada do salonu w zabłoconem obuwiu i ubraniu, wszystko po drodze przewracając, bez uwagi na tysiące drobiazgów kosztownych, tak starannie przez żonę poustawianych i utrzymywanych. I coby się stało z tem dwojgiem ludzi, gdyby nie ustępowali sobie nawzajem i nie szanowali swoich drobnych słabostek i przyzwyczajzeń?

Ludzie serca nawet z takiego stanu rzeczy potrafią wyciągnąć dla siebie korzyść. Najwyższą ich filozofią będzie nie postawienie się na stopie wojennej, ale ciągle ustępstwa ze swoich zwyczajów i skłonności. Odwróć oczy od tego, co miłe dla jednego tylko, uczynią wspólne postanowienie dążenia nieustannego do zdobycia domowego spokoju i zupełnej harmonii.

Jeszcze słowo, odnoszące się do jednego, osobliwie nieprzyjemnego objawu uporu, a mianowicie

cie do zwyczaju protestacyi nieustannej i narzekania na najlżejszą uwagę.

Mąż zwraca uwagę żony, że śniadanie jest dziś później o całe pół godziny.

— Ależ wcale nie!

— Spójrzysz na zegarek.

— To niczego nie dowodzi.

— Uregulowałem go podług ratusza.

— To już piętnaście dni temu, a wiesz, że się znowu śpieszy.

— Mylisz się, moja droga.

— Jakto? Wszakżeś to sam mówił.

— Otóż coś nowego... to chyba już rok temu, a był odtąd zupełnie wyczyszczony.

— Rok temu!? Jak możesz to mówić?!... niema jeszcze miesiąca.

— Śni ci się, moja droga... i t. d.

I śniadanie się kończy, a sprzeczka nie ustaje. Czyż to nie smutne bardzo, aby tym sposobem tyle uczuć serdecznych marnowało się w rodzinie; gdyby trochę tylko dobrej woli, a przepadłyby nazawsze wszystkie sprzeczki, chwytane w lot z gorliwością godną lepszej sprawy!

Przypuśćmy nawet, że mąż zbłądził, narzekając na spóźnione śniadanie; przypuśćmy, że niezliczone nagany i krytyki ostre, których sobie wzajemnie małżonkowie udzielają, są mniej więcej sprawiedliwe, lub przeciwnie, ale czyż one powin-

ny sprowadzać zaraz sprzeczkę, zamącenie spokoju i przyjaźni? Czyż można dla tak marnych przyczyn poświęcać jedyny, prawdziwy ideał życia—zgodę i harmonię domowego ogniska?

Ach, lepiej tysiąc razy znosić w milczeniu niesprawiedliwe zarzuty, niż narażać spokój umysłu na bezcelowe dowodzenia. Zapalone argumenty czynią zawsze rozprawę każdą niemiłą i niebezpieczną; gwałtowne przeczenie, zamiast przekonywać, podnieca jeszcze bardziej upór i zaciętość, i tam, gdzie spokojne przedstawienie rzeczy z pomocą rozsądku i taktu zakończyłoby przychylnie niejednakowe poglądy, straci się dobry humor, spokój, harmonię, pozwalając przedewszystkiem kierować się i unieść próżności i miłości własnej.

ROZDZIAŁ V.

Brak pobłażania.

— A co tam dziś następuje, drogi ojezulku?

— Rozprawa w czterech punktach o *braku pobłażania*.

— Jakto? o braku pobłażania? To zapewne i o nietolerancyi religijnej?

— Wcale nie! Błędnem bardzo jest mniemanie, że wszelki brak pobłażania, czyli nietolerancya, odnosić się ma tylko do religii, gdy tymczasem ciasnota w pojęciach religijnych jest tylko jednym z licznych objawów tego błędu.

Nietolerancya lekarska również jest jak inne zapalczywa, i jeżeli dotąd na nikogo nie sprawdziła kary śmierci, to pewno nie z powodu zbytnej pobłażliwości swoich uczonych zapaśników. Filozofowie bywają także ze wszystkich ludzi najmniej pobłażliwymi, zwłaszcza jeżeli wyznają opinie liberalne. Wreszcie, aby skończyć z tem wyliczaniem, przejdźmy odrazu do naszych gospodyń i przyznajmy, że one posiadają swoją wyjątko-

wą nietolerancyę, bardziej od innych gorzką i zapalczywą, a którą najśluszniej umieścić możemy w piątym rzędzie naszych *podjadków*.

Pani Aleksandra (nazwijmy ją *pani Dokładność*) z wysokości swojej domowej katedry rzuca jadowite gromy na urządzenia w spiżarniach i szafach, jak najzapalczywszy kaznodzieja naprzykład o upadku wiary.

— Ja — mówi — nigdy inaczej nie reparauję pończoch, jak robiąc zupełnie nowe oczka. Nitki przeciągane są okropne! Za nic w świecie nie zgodziłabym się tak cerować moich.

— Ależ—odpowiada na to pewna młoda pani domu z przerażeniem (mająca na sumieniu kilka par zbyt pośpiesznie reparowanych),—czy pani mi nie przyzna, że nie można tak niewolniczo słuchać wykładu szycia naszej nauczycielki? Są rzeczy, którym nie warto poświęcać tyle czasu i akuracności. Jeżeli trzeba liczyć każdą nitkę, każdy ścieg, nic nie opuścić, to biedna matka rodziny przepędziłaby życie schylona nad robotą. Czyż ruch i odpoczynek nie konieczny także dla jej zdrowia?

— Już proszę mi nie mówić o ruchu i powietrzu. A co robiły nasze prababki? Doglądały wszystkiego, szyły wszystko same, nawet koszule męża z najwykwintniejszymi zabortami. A jak to wszystko było starannie odrobione! Obok tego

i ruchu miały dosyć. Ale dzisiejsze kobiety osłabły i wyrodziły się.

— Pani kochana, pomyśl tylko o biednej pani May z ośmiorgiem dzieci.

— Ona nie umie z niczem dać sobie rady— odpowiada pani Aleksandra.—Gdyby tak, jak ja, przez cały rok wstawiała o piątej, toby jej czasu na wszystko starczyło i byłaby zdrowsza.

— Ależ ona taka delikatna i nerwowa.

— Nerwowa? Otoż to! Tylko o ludziach nerwowych teraz mówią. Wszystkie kobiety są teraz nerwowe; z powodu nerwów nie mogą wstać rano, sporządzać bielizny domowej; dla nerwów nie mogą robić tego, co je nudzi. Ja sama wkrótce zrobiłabym się nerwowa, gdybym tylko zaczęła się rozpieszczać jak zepsute dziecko. Mój system jest inny: przed śniadaniem idę na spacer daleki i wracam do domu ożywiona świeżem powietrzem i prędkim ruchem. Szwaczce nie nie daję do szycia; przez moje ręce przechodzi każda robota. Dla chłopców moich szyję koszule według wymagań mody i tak samo obrębiam chustki, a jeszcze mi czasu zostaje na sprawunki, wizyty, listy i obowiązki towarzyskie. Na to trzeba tylko energii i dobrego obrotu.

— To wszystko, co słyszę, zachwyca mnie. Czy pani jednak nigdy nie czuje się zmęczoną?

— Nie, a przynajmniej bardzo rzadko. Poczekaj, kochanko, przypominam sobie... raz byłam

zmęczona straszliwie, na tydzień przed Bożem Narodzeniem; upiekłam też wtenczas raniutko ośmnastcie strucli i dziesięć placzków. I cóż powiesz na to? nie pozwoliłam sobie odetchnąć; poprosiłam tylko męża, aby mnie zawiózł do miasta, bo byłam pewna, że spacer mnie orzeźwi. Pani May, na mojem miejscu, byłaby albo umarła, albo miesiąc chorowała.

— Pomyśl jednak pani, że jeżeli kobieta nie śpi całe noce przy dzieciach płaczących...

— A czemu im pozwala płakać? Moje nie płakiwały nigdy. Budziły się regularnie o 10-tej, zjadały swoją zupkę, znowu je do łóżeczka ułożyłam i tak spały aż do rana, bo dzieci do wszystkiego przyzwyczaić można. Nigdy swego spoczynku dla nich nie poświęcałam.

— A jak ząbków dostawały?

— Nacinałam im dziąselka, a reszta szła już sama z siebie. Wszystko zależy od umiejętnego wzięcia się do rzeczy. Tak samo z odstawieniem od piersi; ktoby się z tem mordował! Nic przecież łatwiejszego.

— Nie wszystkie jednak dzieci zniosą taki system wychowania.

— Nigdy się na to nie zgodzę. Czyż nie pielęgnowałam i nie wychowałam ośmiorga?

— Faktem jest, że z ostatniem, najmłodszem, pani May ma więcej biedy, niż pani z ośmiorgiem.

Krzyczy bezustanku, żadna bona nie wytrzyma, a biedna matka traci głowę, siły i zdrowie.

— To nedorzecznosc! A tozbym dopiero dogodziła sobie, nosząc je całą noc na ręku. Ja w samym początku zaradziłam temu. Krzycz, płacz, jęcz, a ja nie słucham. Za nic na świecie nie byłabym zapaliła lampki, albo wstała; wkrótce też zrozumiały, że to na próżno, i ucichły. Dzieci mają swój rozumek; płaczą często tylko ze złości. Czasami też kilka mocnych klapsów doskonale mi przychodziło w pomoc.

— Pani była zawsze silną i zdrową, a i dzieci doskonale zbudowane i silne, jak matka.

— A to dobre! Czy dziecko pani May nie jest także zdrowe? Widziałam je przecież: jest tłuste i duże, tylko z natury już popędliwe i gwałtowne; oto cała przyczyna płaczu i krzyku.

Pani Aleksandra znana jest w całym sąsiedztwie jako kobieta obrotna i rozsądna, — to perła gospodyń, wzór dla żon i matek. Jej ciasto zawsze wyrośnięte, dywany niewyblakłe, a mole nigdy nie znajdują drogi do jej futer. U niej zawsze się udadzą kremy, galarety i konserwy; sługi się nie zaniedbują i sprawiają bez zarzutu; dzieci nie psują zabawek, chowają je same; nie rozstawiają mebli i nie robią w niczem nieporządku; młodsze nie hałasują, nie budzą matki, a mąż nigdy nie przypomina, że mu brakuje guziczka. W całym domu

niema much, ani pajaków; wszystko tam jaśniej e czystością i porządkiem, dzięki energii, czynności, rannemu wstawaniu tej wzorowej kobiety. Nie koniec na tem. Obok obowiązków domowych, nie ma stowarzyszenia dobroczynnego, którego by nie była czynnym członkiem. Wykończa różne śliczne drobnostki na korzyść biednych z nieporównaną zręcznością. Ażeby już raz skończyć, jest to kobieta tak użyteczna i usłużna, że może uszczęśliwić dom i towarzystwo, do którego należy.

A jednak, niestety! już wam nadmienilem, że jest tak niepobłażliwa, nietolerantka, jak Torquemada! Ma ona wytkniętą sobie drogę postępowania, prostą jak szyna kolei żelaznej. Jej sąd przebija wszystkie zapory; przecina zdania na lewo i prawo, nie uwzględniając wieku i słabości, co tem więcej przeraża, że we wszystkim daje przykład z siebie.

Nie przypuszcza w nikim innego, jak swoje, usposobienia, innej natury, mniejszych sił i nie rozumie, ażeby inne natury miały także inne właściwości, potrzeby, zdolności, a także i przymioty. Jest ona postrachem dla biednej swojej młodszej, ale i słabszej sąsiadki. Do jej newralgii, bólu krzyża, niespanych nocy, trosk macierzyństwa przyłącza się myśl bolesna, że pani Aleksandra widzi w tem wszystkim dowody nieudolności. To rozpaczliwe przekonanie odbiera jej odrobinę sił

fizycznych i odwagi moralnej, które jej jeszcze pozostają. Czyż naprawdę jej to wina, że niemowlę krzyczy i płacze, że jej dzieci delikatne nie mogą się nagiąć do surowej, spartańskiej reguły, tak znakomite oddającej usługi dzieciom pani Aleksandry? Wspomnienie tej sąsiadki, gospodyni zręcznej, obrotnej i szczęśliwej, prześladowe młodą kobietę na każdym kroku, jak wiadomo, i pod ciężarem opinii, że jest *nieudolną*, upada silniej i boleśniej, niż pod wszystkimi innymi ciężarami.

Całą zasługą pani Aleksandry jest, że pochodzi z rasy ludzi długowiecznych. Jej żołądek i głowa równie są mocne; członki jakby dębowe, nerwy stalowe. Nie zna, co migreny bez nazwy osłabienia, znużenia bez przyczyny, a jej sąd o pani May jest tak nietrafny, jakby np. sąd kochinchińskiej kury o kolibrze. Kury tego gatunku mają wysokie nogi, są praktyczne, użyteczne w gospodarstwie, a małe koliberki są śliczne, zgrabne i zachwycające. I coby się stało, pytam was, gdyby naopak rozrządzeniom Opatrzności pospolity mieszkaniowiec podwórzowy z fantazyjnym ulubieńcem kwiatów zapragnęli zamienić swoje role, obowiązki, zwyczaje i pożywienie? Ciasnota pojęć jest przyczyną nieobliczonych cierpień. Strzeżmy się zniżyć nasze poglądy do horyzontów tak niskich, że w tej ciasnej przestrzeni ledwo jeden rodzaj osobistości może znaleźć pomieszcze-

nie. Idealna gospodyni i pani domu winna zostawić każdemu swobodę dostateczną do rozwinięcia różnorodnych potrzeb i zdolności.

Brak pobłażania w kobietach tem jest naganiejszy, że jest przeciwny ich naturze. Miewają one zwykle takt wrodzony, zapomocą którego odgadną w mgnieniu oka każdy charakter i znajdą na niego sposób oddziaływania. Szczęściem jednak, jest wielu takich, którzy tej cennej zdolności nie tłumią w sobie, ale rozwijają na korzyść drugich i tym sposobem rozpościerają wokoło siebie atmosferę swobody i samodzielności; mają dla każdego miejsce właściwe i odpowiednie; nie żądają od nikogo więcej, niż może zrozumieć i ofiarować. Nie dręczą ani ludzi, ani zwierząt. Mają dla psa kość do ogryzienia, ości rybie dla kota, ziarno dla ptaków; ich przyjaciel, literat, uczony, wie dobrze, że znajdzie u nich na stole ulubione pismo, dziennik lub nową książkę. Młoda dziewczeczka liczy na pobłażliwe ucho dla swego naiwnego szczebiotu. Babunia znajdzie fotel przed kominkiem, młodzieniec roztrzepany—sieci, łódki i broń do polowania. Nikt w tym domu nie będzie sobie wbijał ćwieka z powodu, że kot nie chce jeść sałaty, a kanarek mleka. Nikt się nie będzie dziwił, że dziecko ucieka od rozpraw, ciekawych dla siwowłosych starców tylko, i że dziewczeczka nie ma ochoty wiązać siatki babuni.

Taki duch zbawienny powinien oddziaływać nie tylko na stosunki licznej rodziny, ale i na te, które tylko między dwoma osobami zachodzą.

Mąż i żona mogą posiadać, obok wielu wspólnych upodobań, mnóstwo sprzecznych i do siebie nienadających się gustów. Powinni wtenczas usilnie badać swoje natury, a potem ustępować sobie wzajemnie. Żona np. wychowaną była wśród ludzi praktycznych, dbających o sprawy materyjalne,—gdy mąż jest poetą, geologiem, naturalistą, wszytkiem, tylko nie przemysłowcem albo kupcem. Czyż wtenczas powinna narzekać i żałować, że nie poślubiła bogatego bankiera? czyż powinna dawać mu co chwila za przykład ojca i braci swóich? a czyż nie rozsądniej zrobi, pomyślawszy: Mąż mój nie zna się wprawdzie na obrotach pieniężnych—to jego słaba strona; ale ją wynagradza cenniejszemi przymiotami i talentami. Nie można być wszechstronnie doskonałym; postaram się zastąpić go, o ile będę mogła, w tem, co dla niego trudne. Jeżeli nieodrazu mi się powiedzie, to mam nadzieję, że wkrótce, z pomocą bożą, będzie lepiej.

Jeszcze częściej zdarza się przeciwnie:

Mąż poślubia młodą istotkę, która od czasu, jak przyszła na świat, była tylko jego ozdobą. Czyż postąpi szlachetnie, wymagając od niej takich wiadomości kulinarnych, jakie posiadają siostry jego, kobiety silne, pracowite, których myśli i zdol-

ności nigdy nie przekroczyły gospodarstwa i spiżarni; albo gdyby chciał czynić nieustanne porównania pomiędzy żoną a matką, która wstawiała przed światem, pilnowała służby, utrzymywała w porządku rachunki i najmniejszego nie miała pobbazania dla zboczeń w raz ustanowionych przepisach, regułach i porządku.

Postępowanie takie z jego strony byłoby poprostu dziwactwem. Kto potrzebuje gospodyni, szafarki, niech jej sobie wyszuka w wielkiej liczbie kobiet, znających się na praniu, prasowaniu, gotowaniu, ale niech nie bierze ślicznego ptaszka o słodkim głosie, lśniących piórkach, błyszczących oczach i wdzięku porywającym. Wziąwszy takiego na całe życie, niechże go nie zamyka w klatce, zapominając, że to klejnot cenny, organizm delikatny, potrzebujący względów i pieczy. Gdyby mąż i nadal zachował delikatność i czułość narzeczonego, gdyby umiał poczekać cierpliwie i z ufnością, przekonałby się, że miły jego ptaszek potrafi i usłać gniazdko i wychowywać małe, byle tylko zostawić go w spokoju i otaczać miłością.

Zgubne skutki braku pobbazania w stosunkach domowych zwiększają się jeszcze z przybyciem na świat dzieci. Te biorą czasem coś z charakteru obojga rodziców, czasem zaś mają zupełnie odrębne i osobiste skłonności; niektórzy znów rodzice uważają nowonarodzonego jako swoje własność,

jako kapitał, którym mają prawo obracać podług swojej woli. Biedny mały podróżny, wpłynąwszy na ten wielki ocean życia z zarodkami nieraz bardzo wybitnymi osobistych skłonności, spotyka się odrazu z obmyślaną już dla siebie przyszłością. Ojciec ma wielki pociąg do literatury, ale że jego własna edukacya mocno była zaniedbana, chce sobie ten brak wynagrodzić w dzieciach i dać im naukę wszechstronną. Nie mając syna, z całym zapalem zwraca się ku córce, z której chce zrobić co najmniej drugą panią Staël. Od lat najmłodszych zmusza ją do czytania arcydzieł i w ośmiu latach życia umie ona wyjątki z „Raju utraconego“ (choć swoją drogą rzuca ukośne i czułe spojrzenia na swoje lalki); nie żałuje on ani czasu, ani kosztu, ażeby z niej zrobić kobietę uczoną, literatkę—ale, niestety! wszystko to napróżno. Młoda dziewczeczka wyrasta na miluchną gospozię, z wielkiem upodobaniem do ogrodnictwa, i więcej ją zachwycają udane placki i konserwy, niż najwznioślejsze poezye. Wszystko to ją unieszczęśliwia, bo czuje dobrze, jaki zawód robi ojcu, i ubolewa gorzko, że jest tem, czem ją matka natura utworzyła! A jednak nie jej to wina, bo ojciec powinien był pilnie badać i rozpoznawać skłonności skarbu, który mu Bóg powierzył, i pokornie, a nawet radośnie, zgodzić się na to, co odkrył w tym skarbie. Jego córka, skromna, cicha, przyjemna i uległa, byłaby mu

rozweseliła starość i znalazła szczęście na drodze, którą jej Opatrzność wytknęła.

Inna znowu matka, praktyczna i wcale nie literatka, martwi się o córkę, która, zamiast szyć, marzy o podróży do Włoch, Grecyi, Niemiec; zamiast pilnie ścierać kurze, czyta książkę, ukrytą pod fartuszek, i z całem zamiłowaniem oddałaby się nauce. Ileż to łez wylanych, ile udręczeń pomiędzy temi dwiema kobietami, córką i matką, jeżeli ta ostatnia będzie usiłowała zrobić praktyczną gospodynię z tego *quasi* studenta w spódniczce! Przy innym kierunku, rozsądnym i wyrozumiałym, te dwie natury znalazłyby dla siebie wyborną równowagę i harmonię, dopełniającą się wzajem. Prozaiczna osóбка w swoim otoczeniu nie stałaby się zapewne nigdy geniuszem, ale dołączywszy do swoich praktycznych przymiotów potrzebne wiadomości naukowe, mogłaby znaleźć odpowiednie miejsce w towarzystwie, podczas gdy owa urodzona studentka nie byłaby się znowu czuła upokorzoną i nieszczęśliwą przy swoich pospolitych zajęciach; poznałaby życie w jego prawdziwym świetle, a poświęcałaby nauce tylko czas wolny od obowiązków córki, a potem żony. Takim istotom trzeba tylko było od początku rozsądnego kierunku, sympatyj, pobłażliwej swobody w rozwijaniu zdolności w kierunku, który im natura wskazała, a tym spo-

sobem wprowadzonoby ich na drogę praktyczną i użyteczną dla siebie i drugih.

Nigdy w pracy około wychowania nie trzeba wymagać rezultatów zaprędkich i zaświetnych, oraz niezastosowanych do charakteru i rodzaju zdolności dziecka.

Inny znowu ambitny ojciec przeznacza swego syna do wyższych powołań i chce go mieć wielkim człowiekiem. Organizm młodego człowieka silny i rozwinięty, umysł jasny i czynny, chwytą z łatwością i przyswaja sobie wiadomości praktyczne, podczas gdy nauki ścisłe są dla niego wprost niezrozumiałe. Rozpozna z łatwością z zatoki każdy okręt, każdą łódź rybacką, ich objętość, szybkość biegu, ich żagle; oswaja się prędko z każdą maszyną, siłą pary każdej lokomotywy; jej koła i kółka nie są mu obce. Jego inteligencya, szybka i lotna na polu doświadczeń dotykalnych, buntuje się na samą myśl o wszystkich subtelnościach i regułach gramatyki, stylu, retoryki. Pomimo tego wszystkiego, najpiękniejszą swoją młodość przepędzi schylony nad szkolnem biurkiem. Nagrodą pracy jego mozolnej i niewdzięcznej będą nieustanne kary, złe stopnie i ostatnie miejsce w klasie, a skutkiem tego wszystkiego — niezadowolenie ojca. Mógł być wybornym ziemianinem, rolnikiem, zdolnym inżynierem, śmiałym górnikiem, walecznym żołnierzem, niestrudzonym marynarzem, genial-

nym budowniczym, a zrobiono z niego lichego studenta i mniej niż półmędrka. Siły jego i zdolności buntują się przeciw swojemu przeznaczeniu, a w walce bez wyjścia nieszczęśliwy młodzieniec traci energię i wiarę w siebie. Jest to jednym słowem egzystencya chybiona. Nauki klasyczne są także ważną nieraz przeszkodą; przeznaczone są one dla jednego tylko rodzaju inteligencji, ale ileż razy przez tę ciężką próbę przechodzić muszą i tacy, którzy bynajmniej nie znajdują się w swoim żywiole. I nie tylko niezdolne umysły głupieją kompletnie, studyując Homera i Wirgiliusza.

Uczniowie, którzy z największą łatwością pojmują nauki przyrodnicze, mają upodobanie w historii, zdolności odznaczające do matematyki, nie są w stanie spamiętać niezliczonych reguł gramatyki łacińskiej z ich wyjątkami bez końca. Nie wnoście z tego, co mówię, że mam intencję zniechęcać do nauki języków umarłych, jak się to stało teraz modą. Trzebaby być dzikim, zaprzeczając, że nauka tych języków jest siłą potężną do rozwinięcia umysłu, zdrowem ćwiczeniem dla mózgu, źródłem nowych idei, niczem niezastąpionych.

Karol V mówił: „Z każdym nowo-nauczonym językiem staję się więcej razy człowiekiem.“ To też nie jestem wcale za usunięciem ze szkolnego programu języków starożytnych; pragnąłbym tyl-

ko, aby ograniczono ilość ich godzin i żeby nie były warunkiem *sine qua non* wykształcenia wyższego. Ileż to razy gramatyka z jej koniugacyami i deklinacyami zniechęca uczniów i doprowadza do celu przeciwnego temu, któryśmy zamierzeli. Poznanie reguł języka powinno służyć tylko za klucz, otwierający im skarby literatur tak bogatych i wzniosłych, a jak mało młodzieży z tych skarbów korzysta! Większość, znudzona i zmęczona twardą drogą, którą przebiecz musi, zatrzymuje się na progu tej świątyni, uszczęśliwiona, że może nareszcie zamknąć owe księgi, któreby teraz dopiero zrozumieć mogła i korzyść z nich odniosła. Nauka języków umarłych stała się pospolicie synonimem męczeństwa. Henryk Heine w gorzkich wspomnieniach lat swoich dziecinnych woła: „Rzymianie zdobyli świat dlatego tylko, że im nie kazano uczyć się po łacinie. Dlatego dokonywali wielkich czynów, że tylko instynktem znali imiona, zakończone w czwartym przypadku na *im*.“

Mój stary wuj zawsze litościwie ujmował się za malcami, gdy się czepiali na stopniach omnibusu, aby się trochę przejechać: „Nie spychajcie ich, może oni są godni pożałowania; kto wie, czy nie mają na dziś greckiego zadania do odrobienia?“

Młode dziewczęta, przeciwnie, chętnie się uczą po włosku i po niemiecku, w nadziei poznania nowych horyzontów, otwierających się przed nimi w obcych

literaturach, ale też w przystępniejszy sposób przyswajają sobie te języki.

Widzimy często uczniów, czytających z zapalem Eneidę i Platona, choć egzaminy ich z reguł gramatycznych i zakończeń nie będą nigdy świetne. Ileż to osób, które nigdy nie deklinowały wyrazu np. *rosa* i znają arcydzieła starożytnych pisarzy tylko z tłumaczenia, bardziej umiały wejść w ducha narodów starożytnych, niż uczniowie jakiego najpierwszego gimnazjum. I oto dla czego pragniemy uproszczenia tej męczącej nauki dla wielkiej liczby młodzieży. Niech dochodzą do celu mniej wyczerpującym sposobem—czytaniem klasycznych autorów, a wszystkie niezliczone techniczne trudności niech pozostaną dla tych, którzy w przyszłości mają być filologami. Jednem słowem pobłażania żądamy we wszelkich sposobach nauczania. Tylko w łagodnej atmosferze wyrozumiałości umysł dziecka może się rozwijać normalnie.

Strzeżmy się brać za jedno *nauczania* z *wychowaniem*. Pierwsze ma na celu rozwój umysłowy i nabycie wszelkich wiadomości, drugie rozciąga swój wpływ nad całem dzieckiem, nad jego ciałem, sercem, duszą, nad jego czasem i wiecznością.

Jeżeli pierwsze jest konieczne dla rozwijania zdolności, talentów i wybrania powołania na przy-

szłość, drugie tworzy prawdziwego człowieka. To też na żadnem polu, jak w *nauczaniu* i *wychowaniu*, rozum dojrzały a głęboki nie jest potrzebniejszym, a nigdzie może przesady i błędne systemy nie przynoszą większej szkody, niż na umysłach ludzi, którzy mają sobie powierzona tę misję poważną i trudną. Traktaty o wychowaniu przesadzają wiele, mówiąc o strasznej odpowiedzialności rodziców, przygniatają ich ciężarem nadludzkiej siły, dowodząc, że charakter przyszły dzieci tylko od ich usiłowań i pracy zależeć będzie, że dzieci w ich ręku to materyał, z którego ulepić, wyrzeźbić mogą to, co będzie ich wolą i celem, tak jak rzeźbiarz z kawałka gliny, stosownie do talentu artysty i doskonałości wzoru, ulepić może arcydzieła lub nędzoty. Ileż to słabych istot zatręło sobie życie tą właśnie odpowiedzialnością, a wszystko przez zbyteczną i niebaczną gorliwość kierowania się systemem, który sami sobie lub im despotycznie narzucono, a do którego tak byli zdolni, jak Dawid do dźwigania zbroi Saula.

Kobieta delikatna fizycznie, charakteru łagodnego, cichego, słodkiego, jest żoną człowieka pełnego energii, siły i prawości. Syn tych rodziców odziedziczy prawdopodobnie po ojcu siłę woli i energię, a wtenczas biedna matka uczuje się tak słabą w walce z tą rozwijającą się osobistością, jakby w walce z olbrzymem. Czyż natura odmó-

wiła jej możności spełnienia swego zadania, ponieważ nie dała jej dość siły do poskromienia tego charakteru? Nie, tysiąc razy nie!—bo ta matka ma w sobie inną, czarującą siłę, stokroć lepszą niż tyrania,—bo ona działać będzie siłą wpływu moralnego, a nie władzą arbitralną; unikając starannie wszelkich starć otwartych, będzie usiłowała pociągać miłością, wzbudzaniem zaufania i zamięłowania obowiązku; posłuszeństwo uczyni miłem, a uległość słodką.

Jej wpływ subtelny i dobroczynny oddziaływać będzie na umysł dziecka nieustannie, coraz silniej i zbawienniej. Niech się tylko zawsze kieruje macierzyńskim instynktem, a miłość i zaufanie syna z pewnością pozyska.

Prawdziwie pożałowania godną będzie matka, obok której osoba starsza, bliska jej sercu, w najlepszej intencji, ale z innym systemem, odzywać się będzie w te słowa:

„Radzę ci, przełam odrazu upór twego syna, opanuj charakter córki—to twój obowiązek; ja zawsze moje dzieci poskramiałam, i widzisz, jak mi się powiodło. Dopóki dzieci małe, niech i różga przychodzi w pomoc. Nie nie przebaczaj, ani na chwilę nie ustępuj, a tym tylko sposobem poddadzą się pod twój kierunek.“

Uwagi takie i rady są przewrotne, bo dla większej ilości kobiet tak niepodobne do zastoso-

wania, jak niepodobnem byłoby dla kury żywić pisklęta swoje mlekiem, lub dla sarny wyszukiwać ziarn i robaczków dla swego małego.

Bywają osoby, których charakter nadaje się zupełnie do tego rodzaju wychowania, a wtenczas ze skutkiem go używają, ponieważ postępują drogą, wytkniętą im przez naturę. Działają ze spokojem, nieustanną i zawsze jednakową energią, i dochodzą do szczęśliwych rezultatów. Cieszą się też otrzymanemi skutkami, ale niech nie narzucają drugim tego systemu jako nieomylnego wzoru dla wszystkich i we wszystkich położeniach i wypadkach. Jest wiele istot szlachetnych, miłych, bez zarzutu, pomimo że nie posiadają wcale daru rozkazywania. Obdarzone siłą charakteru, dostateczną dla wzbudzenia w sobie i dla siebie poszanowania, nie umieją jednak same oddziaływać na drugich. Wierne swoim zasadom i dążnościom, matki takie otrzymują nieraz świetne skutki na polu wychowania. Siła nieustannego i cichego wpływu jest często pewniejsza, niż władza surowa, niepołączona nigdy z serdecznem ciepłem. Matka religijna i pełna poświęcenia, dająca życiem swoim bez zarzutu ciągły przykład spokoju i nieograniczonej dobroci, może zawsze spodziewać się spełnienia swoich najdroższych nadziei, chociaż jej mała, ukochana, a tak krzykliwa gromadka nie

będzie znała ściśle, wojskowej karności, używanej z dobrym skutkiem przez inne kobiety.

Niech więc nie traci odwagi; trudy jej i gorliwe usiłowania nie zostaną bez nagrody, chociaż czasem zdawać jej się będzie, że niesłuchanie wolno postępuje w tem trudnem zadaniu formowania i rozwijania człowieka! W krytycznej epoce przechodzenia z dzieciństwa do dojrzałości najpotrzebniejszym jest system pobłażania i wyrozumiałości, bo wtenczas właśnie jest najtrudniejszym do zastosowania. Ten czas przejściowy, ten wiek tak krytyczny, ma swoje burze i silne wstrząśnienia. Dziecko staje się młodzieńcem, młodzieniec człowiekiem, mężem lub kobietą,—a te zaburzenia fizyczne wprowadzają zamieszania i nieporządek do jego duszy, serca i inteligencyi. Bywają chwile, że taka istota wydaje się już straconą i dla rodziców i dla siebie, że grunt jej dobry zmieniony niepowrotnie. Takie chorobliwe przejścia obfitują w niepojęte pragnienia, obawy nieuzasadnione, pomysły niedorzeczne, plany niewykonalne, najfatalniejsze przyzwyczajenia, zboczenia i wady bardzo zgubnej natury. Potrzeba środków podniecających moralnych i fizycznych często się rozwija w tej epoce niebezpiecznej, pozbawionej równowagi. Wtenczas cierpliwość nieograniczona i poświęcenie bez granic powinny na chwilę nie ustawać. Ta wstrząsana burzą istota potrzebuje ciszy i spokoju.

Ognisko domowe powinno znaleźć miejsce i dla syna marnotrawnego, i dla dziecka zbłąkanego, które szatan kusi, prowadzi do zguby i pochwyci niezawodnie z chwilą, gdy matka przestanie je kochać i przygarniać do serca.

Epoka dojrzałości objawia się zwykle gwałtownie, z siłą i pędem, jak kaskada, wpadając w morze. Młodzieniec staje się wtedy hałaśliwy i gwałtowny, czasami aż nieprzyzwoity; ma upodobanie skandalizować ludzi poważnych; pogardza zwyczajami, etykietą, opinią; nie cierpi licznych zebrań i towarzystwa kobiet; lubi pozostawać z ludźmi pospolitymi i odrzuca wszelki przymus.

Niech jednak wtenczas wasza cierpliwość nie ustaje, niech was nie nuży; te burze miną, a za lat kilka młody szaleniec, powód waszych niepokojów i nocy niespanych, stanie się prawdopodobnie człowiekiem porządnym, zacnym, przyjemnym, a nawet eleganckim. Przebaczając mu tymczasem wszystkie zboczenia i uchybienia, popełnione często z nieuwagi i zaniedbania, pocieszajcie się myślą, że wszystko, co czyni dom miłym waszemu synowi, jest kapitałem, który kiedyś da wam wielki procent. Jest to rzecz pewna zawsze, a za dni naszych więcej niż kiedykolwiek.

Faktem, na który nie zwraca się uwagi, jest zgubny zbieg lat, przeznaczonych na naukę, z latami rozwoju fizycznego. W epoce zdobywania dla

chłopców patentów uniwersyteckich, a dla dziewcząt ukończenia klas wyższych, sam rozwój fizyczny jest już dostatecznym dla wyczerpania sił żywotnych. Dziewczynka wtenczas zażywa żelazo, chininę i t. p. leki; matka ponosi wielkie koszta, aby jej zapewnić urodę, siły, zdrowie i wszelkie powaby; ale tymczasem i algebra, geometrya, muzyka i języki, przychodzą zabrać od niej swoje daninę. Biedny mózg ustaje w tych wysiłkach, połowa lekcyj źle odrobionych, nareszcie krzyż zgarbiony lub skrzywiony, albo choroba piersiowa, często dokonywa smutno tak świetnie zaczęte dzieło.

Pensjonaty męskie i żeńskie przepelnione są istotami w tej krytycznej epoce rozwoju cielesnego, umysłowego i moralnego. Profesorowie muszą w najkrótszym czasie dać im jaknajwięcej wiadomości. Na zajęcie się ich zdrowiem fizycznym jaknajmniej czasu pozostaje,—ale winą w tem tylko rodziców, którzy wymagają od uczących się rezultatów niemożliwych, niebezpiecznych, niepodobnych, bo tak każe zwyczaj, fałszywa ambicya i moda.

Na zakończenie tego, może zadługiego rozdziału jeszcze jedno słowo:

Dla każdego człowieka można i trzeba znaleźć sposób trafny i odpowiedni jego zdolnościom oraz usposobieniu, i wprowadzić go na bitą drogę, którą

mu sam Bóg wytknął. Największem zadaniem życia naszego—umieć wybrać powołanie dla istot nam powierzonych, bo to im jedynie zapewnić może szczęście prawdziwe i da sposobność uszczęśliwienia drugih.

ROZDZIAŁ VI.

Brak uprzejmości.

— Przekonana jestem głęboko—rzekła raz do mnie żona,—że skałą najniebezpieczniejszą, o którą się rozbija spokój domowy, jest brak uprzejmości, ten nieszczęsny zwyczaj lekceważenia sobie względem najbliższych naszych form grzeczności, niezaniebawianych nigdy względem obcych.

— Ja zupełnie przeciwnego jestem zdania—odrzekł przyjaciel naszego domu, Maurycy;—wszelka etykieta jest już dosyć nieznośną w świecie, aby nas jeszcze i w domu obowiązywała. Niech przynajmniej u siebie wolno nam będzie, w pantoflach i szlafroku, otwarcie mówić, co tylko przyjdzie do głowy, i nie myśleć co chwila, co wypada, a co nie wypada. Człowiek potrzebuje przecie mieć kąciec na odpoczynek, gdzieby mógł swobodnie zachmurzyć się, skrzywić i nie ciągle być przyjemnym, nie narażając się na utratę opinii grzecznego i nie zasługując na miano źle wychow-

wanego. Między najbliższą rodziną i prawdziwymi przyjaciółmi, znającymi się nawskróś, wystarczać powinno przekonanie o swej wartości wewnętrznej serca i umysłu. Nie widzę potrzeby zachowywania wszelkich form i przepisów światowych w kółku zażyłych przyjaciół; to dobre dla obcych; to tak, jakbyśmy, otwierając książkę, musieli za każdym razem powtarzać abecadło.

— A to wyborne!—zawołała oburzona Hela.— Podoba mi się takie rezonowanie! Więc kiedy młody człowiek stara się o pannę, to z wytworną grzecznością pomaga jej wysiąść z powozu, podtrzymuje jej suknię, aby się nie zabłociła; ale skoro się już pobiorą, spokojnie idzie sobie do koni, nie dbając o żonę, która niech sobie radzi, jak może. I cała ta zmiana w postępowaniu bynajmniej nie jest dlatego, że raptem stał się gburem, źle wychowanym, nie, o! nie! Gdyby tylko śliczna Mina przyjechała do nich w odwiedziny, odnalazłby całą swoją galanterię, rzuciłby się do drzwiczek powozu, pochwycił szal, podał rękę, i to jedynie dlatego, że są sobie zupełnie obojętni, a on chce uchodzić za ugrzecznionego. Jeżeli zdarzy ci się przyszyć guziczek do rękawiczki twego brata lub narzeczonego, niema granic objawom wdzięczności; ale niech to już będzie na gruncie małżeństwa, to słyszysz: „Proszę

cię, przejrzyj moje koszule, pozszywaj ubranie, bo zawsze o tem zapominasz, i t. p.“ I dlatego też — mówiła dalej Hela, potrząsając śliczną swoją główką — jeżeli wyjdę kiedy za męża, to im później, tem lepiej. Wolę bez porównania wielu przyjaciół ugrzeczniejszych i uprzejmych, niż jednego tylko, który, w dowód najwyższego przywiązania, zaniedbuje mnie na każdym kroku. Nie chcę takiego męża, który ziewa nad dziennikiem przy śniadaniu, zamiast ze mną rozmawiać; albo który wieczorem, otoczony chmurą dymu, pograży się znowu w czytaniu, nie zważając na mnie, gdy ja z utęsknieniem oczekiwałam jego przybycia, i który, w imię naszej wspólnej miłości, jest tak zachmurzonym i nieprzyjemnym, jak tylko być nim umie; a jeżeli jest miłym, dowcipnym, eleganckim, ujmującym, to tylko dla obcych. O! nie, na to nie przystaję; postaram się korzystać jaknajdłużej z tych przymiotów jego i nie zamienię obojętności dzisiejszej na bliższy stosunek względem żony.

— Czyż pani doprawdy sądzi — odrzekł Maurycy, — że wina jest tu tylko po naszej stronie, że kobiety pozostają po ślubie takie same zawsze? W cóż się nieraz zamienia owa eteryczna, uśmiechnięta istota, którą zachwycaliśmy się przed ślubem? Ten wyśmiany dowcipnie przez panią małżonek czyż nie dlatego zakrywa się dziennikiem, aby, udając, że czyta, nie widzieć swej ukochanej

połowicy zachmurzonej, zaspanej, roztarganej, w poplamionej sukni, bo na to pozwala dla nikogo nieprzystępne ognisko domowe? Może też i żona odsunęła bez ceremonii i zaniedbała wszystkie sposoby, któremi niegdyś ujmowała i chwytala wszystkich za serce. Naturalnie, że ja i moja Marynia stanowimy chwalebny wyjątek; jesteśmy wzorem wszystkich par małżeńskich i z wyżyny doskonałości naszej rzucamy pobłażliwe i pełne litości spojrzenie na zboczenia drugih.

— To są konieczne następstwa pańskich przekonań—odrzekła Hela.—Jeżeli ognisko domowe ma być schronieniem dla waszego złego humoru, zachmurzenia i mizantropii, to dlaczegoż miałoby być inaczej dla kobiet? Wszak samotność, nuda, zajęcia pospolite i wszystkie nieprzyjemności życia rodzinnego nam się dostały w udziale. Wszakże to my pielęgnujemy chore dzieci, my je karmimy; i nie mamy być wytłumaczone, gdy nie znajdziemy czasu, aby od samego rana zrobić toaletę gustowną i wykwinną, któraby zwróciła uwagę niewdzięcznych naszych mężów, lub gdy pozbędziemy się potrochu tych wdzięcznych i miłych pomysłów, które nam młodzieńcza fantazja z lat panieńskich podsuwała. Gospodyni i dozorczyńni dzieci nie może być taka zachwycająca i elegancka, jak rozpieszczona dziewczyna, która ma wszelki czas do zajmowania się swoją osobką pod okiem pobłażli-

wem rodziców. Ztąd nie wypływa bynajmniej usprawiedliwienie dla męża, zaniedbującego żonę. Jesteście, moi panowie, silni, zdrowi, swobodni i szczęśliwi w nieustannem zetknięciu ze światem zewnętrznym. Słyszycie i widzicie tysiące rzeczy, które odmładzają i odświeżają wasz umysł, obowiązkiem więc waszym jest uprzyjemniać i rozweselać życie kobiecie, czuwającej nad waszem ogniskiem domowem, wychowującej wasze dzieci. Tak rozumiem obowiązki męża, takiego tylko chcę mieć; inaczej obejdę się bez niego i z pewnością niewiele na tem stracę.

— A to dobrze, że wiem sposób myślenia pani—zawołał Maurycy;—postaram się objaśnić wcześniej Karola Sidney.

— Karola? — odrzekła zarumieniona Hela.— Nie rozumiem, dlaczego pan ustawicznie odgrzewa tę starą historję. Nudzi mnie to. Karol i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, ale...

— Dosyć, dosyć—przerwał Maurycy;—ja już wiem, co o tem myśleć; po co się pani tłumaczy?

— Pan to powiedziałeś tylko dlatego, żeś nie wiedział, co mi masz odpowiedzieć.

— Pani wie, że każda kwestya ma zawsze dwie strony, a przyznać należy, że broniłaś pani swego sposobu zapatrywania wymownie; chociaż i ja nie uznaję się za zwalczonego nawet w połowie i powtarzać nie przestanę, że miłość musi

mieć swoją swobodę, nieskrępowaną ceremoniami światowemi, i że prawdziwi przyjaciele mogą się bez nich obejść.

— Niemniej prawdą jest—rzekła teraz moja żona,—że uprzejmość nie tylko nie nigdy nie zepsuje, ale nowego wdzięku, nowej ozdoby dodaje naszym cnotom i zaletom wewnętrznym, pomaga nam do zdobycia serc ludzkich i do utrzymania już zdobytych.

— Już ja wam dziękuję za waszą uprzejmość w pożyciu małżeńskim — zawołał Maurycy;— przyjrzałem się jej, będąc we Francyi. Znałem w Paryżu niejaką panią Villiers. Zamieniła ona wielką swoją fortunę na hrabiowską koronę męża. Postępowanie pani było bez zarzutu pod względem wytwornych manier i uprzejmości. Prawda, że mąż żył z dochodów żony, uczęszczał do lasku Bulońskiego, do teatrów i teatryków, w towarzystwie przyjaciół trochę podejrzanych zasad, ale umiał się urządzać z takim taktem i delikatnością, a wzajemna ich swoboda była tak zręcznie określona, że nawet być oszukiwaną warto było w tak miły i grzeczny sposób. Wynajął dla pani małe mieszkanko obok mojego, gdyż tajemnicze okoliczności nie pozwalały mu umieścić jej wygodniej i odpowiedniej. Znosił po bohatersku różne prywacye, żeby tylko nie pozbawiać swej drogiej połowy komfortu, do którego jej śliczna osóbka miała prawo. Obcało-

wywał jej ręce, za każdą bytnością zachwycił się zdrowiem i urodą, znosił jej cukry i opowiadał tysiężne drobnostki widziane i słyszane, a tak zajmujące zawsze dla beczynnych Paryżan; im więcej potrzebował pieniędzy, tem bardziej był nadszkakującym i zręcznym. Pani go uwielbiała, wierzyła ze wszystkiem i mieszkała chętnie na czwartym piętrze, aby zostawić tak ujmującemu mężowi większą część dochodów swoich.

✂ Nie rozumiem, w jakim celu opowiadasz nam pan tę powiastkę—rzekła Hela,—ale ja z niej następujący wyciągnęłam wniosek: Jeżeli nicpoń obdłużony, bez zasad i serca, może zyskać przywiązanie żony, którą obdziera, dzięki tylko swojej grzeczności i uprzejmości, to człowiek uczciwy i dobry, używając tych samych sposobów, doszedłby do wszystkich wymarzonych rezultatów. Zresztą, zdaje mi się, że przytoczony przykład męża, który zwodzi żonę na wszystkie sposoby, a potrafi zamknąć jej oczy na wszystko jedynie swoim postępowaniem, nacechowanem względami jej należnemi i uprzejmością, jest najlepszą pochwałą tych właśnie względów i starań, które uważasz pan za zbyt skuteczne. Są to wyborne sposoby dla zjednania głupich gąsek.

— Może być, ale i rozsądnych kobiet także—odezwiała się wtenczas moja żona.—Dałeś nam przykład nicponia gładkiego, a czy myślisz, że

lepiejby postępował niepoń brutal? Znałam pewną nieszczęśliwą kobietę w okolicznościach prawie takich samych, ale jej mąż nie zadawał sobie bynajmniej pracy całowania jej rąk, ani znoszenia cukrów. Zabierał jej pieniądze, klnąc i złoszcząc się; poniewierał ją, nie oszczędzając ani jej przyzwyczajęń, ani uczuć. Młoda Francuzka pod tym względem wydaje mi się lepszą; i chociaż grzeczność niewiele znaczy, to jednak więcej zawsze, niż jej brak zupełny; gdybym miała się znaleźć w takim położeniu, wołałabym, aby ten, co mnie okrada, czynił to z wdziękiem i całując mi ręce i nogi, niż nadużywając nade mną siły brutalnej. *D ja Sophie*

— Otóż to, czem grzeszy i błądzi dowodzenie Maurycego i wielu innych — rzekłem, mieszając się nareszcie do tej dysputy; — bo czyż można nawet porównywać łotra ucywilizowanego z uczciwym gburem, kiedy należałoby tylko zestawić gładkiego łotra z dobrze wychowanym poczciwcem, i odwrotnie. Pewnem jest, że narody, najbardziej rozmiłowane w formach towarzyskich, posiadają zwykłe najmniej wartości moralnej. I tak: Uprzejmy Grek był zawsze oszustem; ugrzeczniiony Włoch podstępny; Francuz, wykwintny i elegancki, uchodził za lekkomyślnego i zdradliwego, i tylko połączenie tych wyrażęń błędne i nietrafne, jakby przez odbicie, zrobiło dla niektórych z grubiaństwa

i szorstkiej otwartości synonimy szczerości i prawości.

Wczytawszy się w literaturę francuską, spostrzeżemy, że nawet nic nieznaczące okoliczności poddane są tam etykietce, mniej więcej ścisłej; tam nawet służba w swoich klótniach zachowuje pewną powściągliwość; a jeżeli można wierzyć przedstawieniom teatralnym, to wymyślają sobie z odkrytą głową i w najwyszukańszych wyrazach; niepodobnaby nawet było przetłumaczyć niektórych wyrażen, tolerowanych u Anglików. Prawdziwy Paryżanin, gdy o swoim pomocniku lub komi-sancie dowie się czegoś tak niekorzystnego, że go chce oddalić, nawet mu na myśl nie przyjdzie otwarcie mu to i szorstko powiedzieć, ale woli napisać do niego grzecznie, że nieprzewidziane okoliczności zmuszają go do pewnych zmian i że dlatego musi z żalem pozbawić się towarzystwa tak miłego człowieka i t. d. Pani George Sand jeszcze wybitniej nam ten rodzaj przedstawia, gdy mówi o stosunkach, jakie łączyły jej ojca z babką. Ojciec pisze do matki listy pełne uszanowania i czułości, wydaje się być synem poświęcającym bez granic, gdy tymczasem robi wszystko, aby bez jej wiedzy poślubić nienawistną kobietę, wiedząc, że zrani tem najboleśniej serce macierzyńskie. Dalej, żeni się i jest ojcem dwojga dzieci, i wciąż nie może się zdecydować na wyznanie prawdy, która dla matki

stałaby się prawdziwym ciosem; lecz matka, mając już pewne podejrzenia, nie zapytuje wprost syna, lecz z całą delikatnością, sprytem i rozumem zwraca się do prefekta policyi, i od niego dowiaduje się o tym wstrętnym dla siebie związku; teraz nawet, mocno rozboleła, nie okazuje w listach swoich najmniejszej goryczy i nie zmniejsza pozorów wielkiej czułości, gdy syn odwiedza ją w wolnych chwilach od obowiązków domowych.

W Anglii lub w Ameryce, wszędzie ostatecznie, w takich okolicznościach nastąpiłyby wymówki gwałtowne, tłumaczenia, zerwanie otwarte; a te dwie istoty, syn i matka, lata całe odgrywają między sobą dramat ugrzecznoniony; matka, nie dając poznać, że wie prawdę, — on łudząc się, że dobrze ukrywa przed nią smutną rzeczywistość.

Przez jakąś źle zrozumianą reakcyę Anglo-Saksonowie z wysokości swej szczerości narodowej pogardzili wszelką grzecznością i elegancją, jakby ona była koniecznie przeciwieństwem, antytezą otwartości.

Chociaż nie wszystko jest złotem, co się świeci, ale nie idzie za tem, ażeby wszystko, co się świeci, nie miało żadnej wartości; a że często najwyszukańsze maniery są fałszem, nie można z tego robić zasady, że nigdy nie mogą iść w parze z sercem prawem. Zapewne, że każda kobieta da pierwszeństwo człowiekowi prawemu, chociaż szor-

stkiemu, nad łotrem eleganckim; ale też nadewszystko uszczęśliwi ją mąż szlachetny, prawy, a zarazem ugrzeczniony.

— A ja dodam tu jeszcze — zawołał Maurycey, — że w tych wszystkich małpiarstwach francuzkiej grzeczności jest tyle fałszu, nizkości, małostek i oszustwa, że nieraz szanującego się człowieka bierze ochota wpaść w drugą ostateczność. Miłość powinna być silną rośliną, która stawia czoło wszelkim zmianom powietrza i nie ucierpi ani od zbytku słońca, ani od mrozu.

Ludzie, którzy nie mówią wyraźnie tego, co myślą, muszą koniecznie zachować na dnie serca zarodek goryczy, grożącej w przyszłości nieuchronnem starciem i burzą. Treść moich osobistych zapatrywań pod tym względem jest następująca:

Wyrażaj się zawsze i w każdym zdarzeniu otwarcie, choćby z narażeniem się, bez obawy zranienia kogoś czasem, a ziryutowania często, a sam naucz się znosić chętnie otwartość drugich, choćby cię czasem boleśnie dotknąć miała. Mniej mnie kosztuje zrobić uwagę żonie co do śniadania lub obiadu, niż gdybym też samą uwagę miał zrobić dawnej mojej gospodyni, bo żona jest ściślej ze mną złączona, bo ona i ja — to jedno. Wiem zresztą, że nie dostanie ataku nerwowego, ani płaczu serdecznego, ale dopilnuje poprostu, aby kawa była smaczniejsza. Nie będę zginał kolana przed żoną,

jak przed narzeczoną, za przyszyty do rękawiczki guziczek, bo ona sama znalazłaby to śmiesznem i zbytecznem. Ona wie doskonale, co myślę o jej zręczności czarodziejskiej, cierpliwości anielskiej i pozwala mi zachwycać się w milczeniu jedną i drugą. Miewamy i my czasem nasze małe sprzeczki, ale po nich jesteśmy w sobie jeszcze bardziej rozkochani i zachwyceni wspólnie naszą energią i stanowczością. Szczerłość nasza i otwartość jest tyśiąc razy lepsza od tych trepauzowych przezorności.

— Zupełnie się z tobą zgadzam — odrzekłem. — Szczerłość przede wszystkim, zawsze i wszędzie. Prawda, czysta jak złoto z brylantowym połyskiem i ogniem, jest jedyną podstawą prawdziwej miłości.

Wspólne pożycie osób w pozornej przyjacielskiej zażyłości, a w gruncie oszukujących się nawzajem, to dla mnie tajemnica, nigdy niewyjaśniona. Mnieby gruntu pod nogami zabrakło, gdybym podejrzewał żonę, lub moich najbliższych, że ukrywają przede mną prawdę w celu oszczędzenia delikatności mych uczuć.

A jednak, przyznając ci to wszystko, nie wierzę, abyś chciał doprowadzić do wniosku, że pożycie domowe straciłoby na piękności, gdyby grzeczność i uprzejmość towarzyszyła zawsze naszej szorstkości. Abyś lepiej zrozumiał myśl moją, czytaj *Pamiętniki Tocquevilla*; znajdziesz w listach jego jeden charakter, przepyszenie zrówno-

ważony, i obraz życia rodzinnego, w którym najgruntowniejsze zasady potrafią się łączyć z wdziękiem pociągającym.

Nie łatwiejszego, jak skłonności nasze osobiste nazwać cnotą, a słabością te, które są udziałem drugich; postawić na piedestale zalety swoje, a cudzych nie uznawać; ale pewnikiem jest także, że nasze anglo-saksońskie pokolenie nigdy nie przesadzi grzeczności aż do hipokryzyi i nie posunie delikatności aż do fałszu; owszem, obawiać się zawsze należy, że nas wezmą za gburów, wskutek natury zbyt otwartej i szorstkiej.

Sprowadźmy teraz dysputę naszą na grunt praktyczny; przejdźmy z ogólników do szczegółów, i rozpatrzmy wypadki, w których względy, okazywane obcym, przydałyby się bardzo i dla swoich.

Zdajmy sobie naprzód rachunek z postępowania naszego z ludźmi, na których pragnęlibyśmy uczynić dobre wrażenie: Ubieramy się do nich starannie, wyszukujemy przyjemny temat do rozmowy; pomimo lenistwa, gotowi jesteśmy na tysiączne posługi, delikatne względy; podsuwamy wygodne siedzenia, poduszki, szukamy pilnie zagubionego dziennika, i to wszystko dla jakiejś znajomości jednodziennej, o której jednak zdanie i wrażenie mocno nam chodzi;—gdy obok najmilszych nam przyjaciół siedzimy sobie spokojnie w fotelu, patrząc obojętnie na ich kłopoty i na

to, że się muszą obywać bez naszych starań i zabiegów.

Ileż kobiet robi świetne tualety dla świata, a obywa się zniszczonem odzieniem w domu, dla którego wszystko aż nadto dobre, choć podarte i brudne! Znam takie, które z zasady i przez oszczędność porządnej sukni w domu nie noszą, i zawsze wtenczas mam ochotę powiedzieć tym oszczędnym elegantkom: „Kup sobie jedną suknię zbytkowną mniej, a na jej miejsce świeżą, skromną domową sukienkę.“

Mężczyźni, kierując się instynktem wrodzonym, lubują się każdym wdziękiem, nie dochodząc, w czem jego źródło. Utrzymujemy np., że nas kwiaty nie obchodzą, ale na widok rozkosznych klombów przed oknami, lub upajającej woni kwiatów, czujemy się pomimo wiedzy i woli zachwyceni i zadowoleni. Tak samo myślimy, że nas strój kobiecy nie obchodzi, a jednak jakże nam miło patrzeć na nasze żony i córki starannie i gustownie ubrane!

— Zgadza się na to, papo—odrzekła żywo Hela; — ale zdaje mi się, że zarówno i mężczyźni powinni się o to starać, i że wcale nie uprzyjemnia życia domowego zgnieciony kołnierz męża, włosy rozczochrane i nieczyste obuwie lub ręce.

— Zapewne—odrzekłem, — ale pamiętaj zawsze, że my mężczyźni jesteśmy zawsze trochę dzicy, a wy kobiety podobne do powabnych misyo-

narek, nawracających nas ku wszystkiemu, co dobre. My, to niby Wulkany mitologiczne, ciężkie i ślepe; wy, to Cytery z czarodziejską opaską, i do was tylko należy dziedzina sztuki, elegancyi i wdzięku.

I jeszcze na ten temat nie skończyłem. Idę dalej: Nie przestaję na porządku i staranności w ubraniu; wymagam nawet pewnej kokieteryi. Pragnę, aby kobiety w najściślejszem kółku rodzinnem dbały o to, aby być powabnemi,—nie tak, jak niektóre szanowne małżonki, co nie zaniedbując się zupełnie, uważają każdą elegancyę i wykwintność w tualecie jako niegodną ich powagi macierzyńskiej. Uważałyby one za ujmę dbać o rzecz tak małej wagi, jak zręczny i przypadający do figury krój sukni; w wyborze zaś kierują się nie modą i gustem, ale li tylko oszczędnością i trwałością wybranego koloru i materiału. To też skutkiem takiego zapatrywania się małżeństwo przemienia zgrabną i pełną wdzięku dziewczynę w niezgrabną i zaniedbaną matronę, uważającą suknię za rodzaj worka, którym się okrywa, ponieważ trzeba koniecznie coś na siebie włożyć. Nie sędzę, aby szczęście małżeńskie zyskać miało na usunięciu z niego wdzięku i powabu z chwilą przybycia na świat dziecka pierworodnego, bo ono jest właśnie uosobieniem tego powabu, wdzięku i szczęścia.

Niech więc kobiety, choćby najbardziej poważnego usposobienia, starają się uwydatnić dane im przez naturę powaby; niech to czynią dla swoich najdroższych, dla męża i dzieci,—a tylko zyskać na tem może i szczęście domowe.

Co się zaś tyczy moich kolegów, którzy bez ceremonii brudzą swoje mieszkanie zabłoconem obuwiem, rozczochraną czupryną i zachowaniem się pospolitem, oddaję ich na łaskę i niełaskę mojej panny córki.

Jedną jeszcze chcę zrobić uwagę: oto, aby unikać w rodzinie, równie starannie, jak to robimy w świecie, wszelkich w rozmowie drażliwych przedmiotów. Szczerość i otwartość bynajmniej nie upoważnia do ranienia na prawo i na lewo z upodobaniem.

— Żółta dziś jesteś jak cytryna; co ci się stało?

— Ach, jaką masz brzydką krostę na nosie!

— W tej sukni wyglądasz jak czarownica.

— Na Boga, nie wychodź-że do ludzi tak uczesana; wyglądasz, jakbyś miała perukę.

Takie uwagi to wcale nie dowód otwartości—i osoba, robiąca je głośno, bez ceremonii, przy drugich, zdolna jest tak samo do przewrotności i do fałszu, jak najbardziej ugrzecznioma Francuzka.

Są ludzie, biorący naiwnie za dowody naturalności i dobrego humoru swobodę, którą sobie

przywłaszczają, rzucania kolących i ośmieszających dowcipów lub żartów. Ośmieszyć swoich sąsiadów, przedrzeć czyjaś brzydotę, wyśmiać czyjaś naiwność lub niezgrabność,—to ich najmilsza rozrywka. A jeżeli w rodzinie znajdzie się nie-szczęśliwa kaleka, dopieroż przedmiot do przydomków i żartów bolących! To kaczką lub ślimakiem, to Argusem lub Belizaryuszem i t. p. Przyznajmy, że jeżeli swoboda na swoim miejscu jest rzeczą miłą i zachwycającą, to doprowadzona do tego stopnia nigdy nikogo naprawdę nie rozweseli, ani zachwyci. Ośmieszanie szczególnie kalectwa, czy to moralnego, czy fizycznego, robienie bolesnych uwag ni-by żartem, a które powiedziane na seryo byłyby szczytem gburowatości i niegrzeczności, musi koniecznie zachwiać spokój domowy i podkopać najgłębsze przywiązanie, tembardziej, że osoby, zranione w ten sposób, ukrywają pod przymusowym uśmiechem ból dotkliwy.

Trzeba mieć wzniosłą odwagę, aby powiedzieć gorzką prawdę osobie błędzącej, w celu jej poprawy,—ale rzucanie złośliwych uwag bolesnych o wadach i zboczeniach już nie do naprawienia psuje jeszcze więcej charakter i spokój.

Jest jeszcze jeden punkt ważny, odnoszący się wyłącznie do płci mojej; chcę mówić o krytyce w dziedzinie sztuki kulinarnej. W domowych wydatkach, a nawet we względzie zdrowia, punkt

to ważny, kosztowny i kłopotliwy. Można jednak oszczędzić przy stole pani domu nieprzyjemnych obserwacyj nad usługą, rodzajem potraw, ich przyrządzeniem i ceną. Jeżeli żona znosi to z całą filozofią, to niemniej zostanie pod nieprzyjemnem wrażeniem, jak i biesiadnicy, a dla dzieci zły przykład. Jeżeli mąż nie umie uszanować względów, jakie winien żonie, to powinien mieć na uwadze takt i przyzwoitość, i nie rozpościerać przed gośćmi i dziećmi swoich zawodów na polu gastronomicznem, lecz zachować rozmowę o nich na sam-na-sam z żoną.

Trzeba także umieć zachować pewne granice w gotowości swojej do przysług, choćby w najlepszym celu. Liczna rodzina składa się zazwyczaj z różnorodnych żywiołów. Każdy z członków ma swoje upodobania, potrzeby i dążenia, i tylko wszyscy razem zyskać na tem mogą, jeżeli pozostawiają sobie wzajemnie niezależność i wolność osobistą. Nawet siostry i bracia, kochający się bardzo, mogą mieć względem obcych inne sympatyje, inne nadzieje, innych przyjaciół, inne plany. Bywają także natury bojaźliwe, ciche, skryte, które nawet w otoczeniu serdecznem, ale bez taktu, czują się prawdziwie nieszczęśliwi, bo im nie pozwalają być samotnymi ani na chwilę, lub mieć jakąś tajemnicę; każdy ich krok, ruch, bywa badany, dochodzony, podglądany.

— Jakto? On pisze do ciebie?... Nie wiedziałam o tem. Co też ci pisać może?

— Gdzie wczoraj wychodziłeś?

— Na co to przeznaczasz?

— Ależ to niepraktyczne, wcale mi się nie podoba.

— Marynia kupuje sobie na lato suknię jedwabną... ależ to zbytek! i t. p.

Pisząc to, przypominam sobie wielce trafny opis, jakim być powinien człowiek, posiadający prawdziwie doskonały takt, prawdziwą szlachetność, jakiego Anglicy nazywają *gentleman*. Po między wieloma zaletami wymienione było także unikanie wszelkich niepotrzebnych zapytań; wielka ta zaleta, przeniesiona z salonów do domowego kółka, przyda się bardzo i będzie zawsze na miejscu. Zaufanie to rzecz dobrowolna, i wszelkim zwierzeniom trzeba zostawić swobodę, a nie wy ciągać słówko po słówku. Przyjaciół niezawodnie powie nam sam, co chce, abyśmy wiedzieli; a jeśli nie powie, to musi mieć do tego słuszną przyczynę.

Trzeba umieć szanować cudze tajemnice, a taka delikatność i oględność tylko umocnić może węzły przyjaźni.

Można także zmęczyć zbytnią i nie na swoim miejscu usługomością i troskliwością przesadzoną. Jakież to irytujące słyszeć co chwila:

— Czemu wziąłeś to okrycie?... czyż nie lepiej inne?... Czemu robisz to lub owo?... Radzę ci, zrób to, a nie tamto.

I te wszystkie obserwacye bywają zwykle tak natarczywe, że ich trudno uniknąć. Jeżeli nie zwrócimy wcześniej uwagi na wszystkie takie drobnostki, dojdziemy do smutnego rezultatu, że w końcu, dla swobody w działaniu, ci, których kochamy, będą naszego towarzystwa unikali, i że nasi bracia, siostry i dzieci poszukają sobie za domem powierników, którym przepisy grzeczności nie dozwalają na zbyt natarczywe pytania.

Rodzice nie powinni zapominać, że po latach dzieciństwa następują lata młodzieńcze i rozwój sił fizycznych i umysłowych, które winni w dzieciach swoich zrozumieć. W tej ich epoce drobiazgowsy kierunek i opieka nad każdym krokiem, dobre w pierwszych latach życia, stają się dla młodzieńca przykre i nieznośne. Ideałem rodziny, w mojem przekonaniu, jest połączenie różnych charakterów i usposobień, ożywionych wspólnem przywiązaniem i zaufaniem, tak dalece się rozumiejących, że każdy postępuje podług swoich upodobań, a inni pozostawiają mu z zupełną wiarą i spokojem swobodę działania, unikając nudnych zapytań i wyrzutów.

Jest to rodzina, ożywiona uczuciem pobłażliwym i sympatycznym, nieśledząca każdego kro-

ku, ale zostawiająca każdemu jego przekonania, jego nawet uprzedzenia,—gdzie wszyscy są swobodni, niezależni, niepodpatrywani, a jednak upewnieni o przywiązaniu głębokiem i ciągłej troskliwości serdecznej.

Mówiąc o niezachowaniu pewnych względów, omiñałem jeszcze te, które wypływają ze złego humoru, egoizmu i brutalstwa, i te są już nie wadą, ale grzechem. Osoba poirytowana będzie prawie zawsze niegrzeczna, a cierpkość jej i zła wola nie może nigdy iść w parze z uprzejmością.

Wadom, o których dotąd mówiłem, podlegają i osoby z innych względów doskonałe, jedynie z braku zastanowienia się głębszego. Dla takich przekonanie, że coś być powinno, jest dostateczne, aby było wykonane, i w tem uganianiu się za spełnieniem—według nich—obowiązku pomijają tysiące drobnostek, które życiu nadają słodycz i woń pociągającą.

Niech to zrozumie każdy, co się do winy poczuwa.

ROZDZIAŁ VII.

Zbytek wymagania.

Doszedłem wreszcie do siódmego z rzędu podjadka, ostatniego, a tak zajmującego swoją szkodliwością okazu w zbiorze, któryśmy dotąd szczegółowo badali.

Ale może czas już będzie porzucić metaforę, która nie powinna nigdy wychodzić z granic wytwornej retoryki; mówmy więc teraz zupełnie na seryo. Wszystkie wady, o których wam dotąd mówiłem w tym małym zbiorku, odnosiły się do mniej więcej rozumnego, mniej więcej przyjemnego sposobu, w jaki przechodzimy przez życie; wada, o której dziś mówić będę, dość jest nędznem i fałszywem pojęciem życia samego.

Przykład znowu lepiej to objaśni: Fortepian zupełnie dobry i nastrojony podług kamertonu może być zawysokim dla większej liczby głosów zwykłych, salonowych,—lecz można go cokolwiek zniżyć dla wygody zwykłych śmiertelników, nie szkodząc bynajmniej ogólnemu wrażeniu. Trzeba

być bardzo śmiesznym, upierając się koniecznie przy zbyt wysokim tonie, kosztem swoich piersi i uszu słuchaczy, zmęczonych uporczywem wyciąganiem ostrych i najwyższych tonów sopranu. Otóż bywają tak nierozsądni ludzie, że nie tylko swego Erarda lub Pleyela, ale życie swoje całe dociągają do niemożliwie wysokiego tonu. Trawią się i niszczą na wysiłkach próżnych, aby zaprowadzić koniecznie harmonię pomiędzy wysokimi swemi wymaganiami a rzeczywistością. Są na czaszce ludzkiej różne wypukłości, a uczeni frenologowie, zbadawszy je, utrzymują, że oznaczają one różne talenta i skłonności. Otóż jedna z nich nosi nazwę idealności, najbliższa zaś jej sąsiadka oznaczać ma zbyt wygórowane wymagania. Zdolność dążenia do doskonałości nie może być potępianą przez istotę rozsądną,—gdyż ona to właśnie podnosi nas i odróżnia od zwierząt. Zwierzę nie wzniesie się nigdy nad poziom własnego instynktu i nie też nie zapomni z tego, czego je natura nauczyła. Ono nic nowego nie wynajdzie, ani obmyśli, nie stanie się ani lepszem, ani gorszem, i będzie wiecznie tem, czem było od początku. Człowiek, przeciwnie, potrzebuje różnaitości, i w tej ciągłej zmianie goni za postępem, dąży do doskonałości we wszystkich możebnych granicach, a każdy nowy wynalazek jest stopniem, po którym może dojść do nowych, doskonalszych odkryć. Z tych to nieusta-

jących dążeń i poszukiwań powstały sztuki piękne, nauki i przemysł. W świecie moralnym idealność znajduje jeszcze obszerniejsze pole działania—popycha nas nieustannie w uszlachetnionym kierunku, odkrywa nam coraz rozleglejsze pole umoralnienia, poświęcenia, pozwala nam dążyć do istnienia wyższego, świętszego, czystszyego, do innego życia, innej powłoki cielesnej i duszy uświęconej doskonałością.

Wszystkie religijne wyznania pragną zadowolnić tę nienasyconą żądzę doskonałości, a tylko chrześcijaństwo tego dokazało. Ale tak samo, jak inne zdolności, idealność ma swoje instynktowne objawy, niedoskonałe, błędne, które powinny być niszczone, jak wilki na szlachetnym drzewie. Sprawiedliwość, nienależycie oświecona, ma za podstawę, za zasadę—zemstę. Uporem nazywamy ślepa stałość w postanowieniach—mówi Bacon; a my dodamy jeszcze, że drobiazgowość jest fałszywie pokierowaną idealnością. Wada ta, tak pokrewna najpiękniejszym darom Stwórcy, bywa źródłem wielkiej liczby cierpień i skałą, o którą się rozbija szczęście wielu istot. Potrzeba doskonałości, dla skutecznego i pewnego we wszystkim działania, powinna być kierowana sumieniem, cierpliwością, rozsądkiem, pod karą obrócenia się w wiekuiste niezadowolenie, drobiazgowo wymagania, niewdzięczność i cierpkość. Pisząc to, staję mi na myśli

dwie rodziny, dobrze mi znane, i o nich to pozwolę sobie tu mówić dla przykładu.

Państwo Dalton są natury wesołej, otwartej i żartobliwej; są to ludzie bardzo sympatyczni, gościnni, bez przesądów, i nie w domu ich nie wychodzi z granic mierności: Ogród nieszczególnie utrzymywany, służba dość niedbała, stół obfity, ale niewykwintny—i tak we wszystkim. Pani Dalton nie jest bynajmniej złą gospodynią; chleb u niej niespleśniały, masło świeże, nakrycie czyste, noże wyostrzone, firanki świeże; ale niewiele ją zajmują tysiączne wyszukane wymysły i subtelności różnych szczegółów, którym masa kobiet nadaje wielką wagę. Nie rozwijają w dzieciach nic więcej nad to, czem matka natura je obdarzyła; cieszą się dobrymi skutkami zdolności, starania, pracy, nie żądając, aby były piękniejsze, dowcipniejsze lub zdolniejsze. Na pierwszy rzut oka łatwo tam spostrzedz wiele rzeczy do poprawy, ale jednocześnie doznaje się jakiegoś uczucia spokoju i swobody, przez którą zapomina się o reszcie. Ci dobrzy ludzie tak są zadowoleni z życia i z tego, co ono im daje, że nawet nie pomyślą, aby jeszcze coś zmienić; kochają się tak serdecznie, tak się zachwycają sobą i swemi zaletami, że chcą takimi pozostać zawsze. Ich syn starszy nigdy nie odbiera pierwszych nagród, ale się liczy do uczni pilnych i chwalebnych sprawowania; a kiedy przyjeżdża

do domu, nikt go się nie pyta o laury i wieńce, a rodzice witają go z radością i uniesieniem, jakby bohatera i zwycięzcę. Panny Dalton także nie uchodzą za artystki, ale wielkie mają upodobanie w swoich talentach amatorskich i wiele pilności. Grają na fortepianie kawałki łatwe a melodyjne, dla przyjemności rodziny, słuchającej z zadowoleniem; a wieczorem wszystkie głosy łączą się dla odśpiewania pieśni narodowej lub pięknego hymnu. Ten naprędce zaimprovizowany koncert więcej ich zachwyca, niż słynne pasáže wielkich artystek. Jednem słowem, niepodobna jest, będąc u Daltonów, nie uleść wpływowi ich doskonałego i porywającego humoru, naprzekór temu brakowi pretensyi i nawet pewnemu cechującemu ich zaniedbania.

Naprzeciwnie ich domu mieszka rodzina Bertrandów, zupełnie innych dążeń, innego sposobu postępowania. Zdaleka już poznać można, że wszyscy mieszkańcy domu tego są przepelnieni uczuciem idealności. Od najmniejszych drobiazgów aż do powozów świetnych, błyszczących, wszystko świadczy o tem upodobaniu w odznaczeniu się. Trawniki są aksamitne, klomby kwieciste, drzewa owocowe utrzymane podług wskazówek najslynniejszych pomologów. Wnętrze domu przedstawia tę samą dążność, ma tę samą cechę. Czystość i porządek panuje tu wszechwładnie; w pokojach,

wyfroterowanych jak lustro, wszystko doskonale wykonane i wykończone. Dzieci nawet zdają się rozwijać bez swobody, pod pilnym i nużącym dozorem, jak drzewo owocowe przywiązane do słupka. Tyle starań nie daje im jednak ani części tego szczęścia, którego używają Daltonowie w swoim życiu prostem i swobodnem, bez wysiłków i nadzwyczajnych starań. Cóрки Bertrandów mają śliczne głosy, i od rana do wieczora, począwszy od dzieciństwa, śpiewały jak ptaszki na wiosnę; panny brały lekcye od słynnych artystów,—aż wreszcie fortepian został zamknięty. Prosisz o zaśpiewanie czegokolwiek, odpowiedzą, że już śpiewać przestały, bo ojciec jest zawiłkim znawcą, aby mógł znieść ich niedołężne próbki. Jako zwolenniczki idealności, posłyszawszy Jenny Lind, Grizzi, Alboni i inne sławy, postanowiły zamilknąć zupełnie, ponieważ dorównać tym wielkim talentom nie mogą. Dla tych samych przyczyn, popracowały kilka tygodni w pracowni słynnego malarza, odrzuciły ołówki, pędzle i farby, podały szkice, które już dość poprawnie robiły z natury, ponieważ, nie mogąc dorównać artyście Scrotchallinemu, doszły do przekonania, że życie całe im nie wystarczy, aby się stać prawdziwymi artystkami; a że nie mogą poświęcić życia na ten cel jedynie, więc lepiej nic nie robić. Tą samą zasadą kierują się w pisaniu listów. Gdyby styl ich można

porównać do stylu pani de Sévigné, gdyby mogły poznać wszystkie finezyje języka, gdyby umiały pisać z niezrównaną imaginacją i dowcipem, chętnieby udzielały wiadomości o sobie; ale że są dalekie od wymarzonego ideału, więc tylko nadzwyczajne okoliczności życia lub śmierci wkładają im pióro do ręki. Chociaż listy ich bywają jasne, pełne wdzięku kobiecego, i tylko trochę wprawy, a znalazłyby prawdziwą przyjemność w tym rodzaju pisania.

Pani Bertrand jest ciągle zamartwiona troskami domowemi, i czoło jej, wiecznie pochmurne, nigdy się nie rozjaśnia na widok wszystkich doskonałości domowych. W rozmowie z nią zadziwisz się bardzo, że pod pozornym—według niej—porządkiem znajduje ona jeszcze okropne niedbalstwo i niesłychane nadużycia. Prosisz o dowody tego i dowiadujesz się, że, aby wszystko szło po jej myśli, każdy szczegół powinien być doskonały: herbata tak dobra jak w Chinach, meble takie modne jak w Paryżu, szyby ze szkła czeskiego, porcelana japońska i t. p. Pochwalisz kuchnię, odpowie ci żalosnym tonem: „Kucharka gotuje nieźle pospolite potrawy, ale zaledwo jest mierzalna...” Przeczysz temu energicznie, chwalisz wyborną kawę, chleb, ciastka,—słucha tego, wzdychając głęboko; wszystko jest zaledwo znośne, i mówi: „Ale pan może nie jadłeś ciasteczek pewnego

francuzkiego restauratora, ani chleba pewnego angielskiego lorda, mającego swoją własną piekarnię *ad hoc*."

Te porównania odbierają jej gust do rzeczy, podawanych we własnym domu, i we wszystkich oddziałach gospodarstwa kobiecego nie może zadowolnić tej osoby wymagającej i uzyskać jej pochwały i zadowolenia. Rozpaczliwe wysiłki służby i córek otrzymują tylko w nagrodę słowa: „Dobrze, dajcie już temu pokój, bo przecież nie lepszego od was spodziewać się nie mogłam."

Biedna ta kobieta jest ciągle niezadowolona i niespokojna wśród zbytku i wygody, które ją otaczają. Cierpi nad nieudolnością swoją i drugich, nie mogąc dojść do niedoścignętego a wymarzonego przez siebie ideału. Spokój, swobodę umysłu, najlepszą część swego życia trawi i niszczy w tej nieustannej walce; ani ona, ani jej najbliżsi nie mają pojęcia o słodkiej przyjemności i radości, wynikającej ze wspólnego zadowolenia i pewności, że się jest kochaną i uznawaną.

Poziom ich wymagań estetycznych i moralnych tak jest podniecony, wszystkie struny tak wyciągnięte (mówiąc językiem muzykalnym), że obawiają się jakiegokolwiek próby wykonania, aby te przeciągnięte struny nie popękały. Nie śmia ani śpiewać, ani rysować, ani czytać, ani nawet mówić—boją się srogiego sądu swoich najbliższych.

Dla Daltonów uczuwają rodzaj pogardy z powodu ich zaniedbania i łatwości zadowolenia się we wszystkim. Pomimo to, elegancki Eugeniusz Bernard często wieczorem wysuwa się cichaczem z zimnego salonu matki, aby przepędzić kilka miłych godzin przy staroświeckim fortepianie Daltonów; łączy swój głos ze świeżym sopranem Łucyi Dalton, nie zważając na małe usterki w śpiewie swej ładnej partnerki. Śmieje się serdecznie z dowcipów bez końca, ożywia się wesołością tego domowego kółka, bawi się jak dziecko, odgaduje szarady, nie troszcząc się bynajmniej o wszelkie zasady i prawa, daje się wciągnąć do tańca bez rękawiczek i orkiestry, i wraca do siebie rozgrzany, rozweselony i z dziwnie miłym uczuciem w sercu. Porównywając ten wesoły nieład z ceremonialnym porządkiem rodzinnego domu, pyta siebie: czy nie lepiej być mniej wykształconym niż pedantem, trochę szaleńcem niż zanadto rozsądnym? Joanna i Marya Bertrand podzielają w głębi serca uznanie dla Daltonów, pomimo docinków, dawanych bratu, albowiem tam przynajmniej podniesione są we własnych oczach, tam przynajmniej są za coś uważane; tam mają ich za bohaterki, za feniksy! unoszą się nad każdym ich pociągnięciem pędzla; a już co do śpiewu, to pochwały tchną taką szczerością i zachwytem, że ich to czasem zachęca do przejrzenia całego zaniedbanego repertuaru. Bądź-

co-bądź, Joasia jest wzruszona myślą o uwielbieniu Samuela Daltona, i pomimowoli pochlebia jej, że jest ideałem dla tego człowieka o sercu szlachetnem, otwartem i prawem. Prawda, że Samuel w niczem niepodobny do Filipa Sydney i do innych powabnych, eleganckich i pełnych dystynkeyi młodzieńców, o których marzą matka i córki w snach swoich złotych, zdobiąc ich we wszystkie doskonałości i dając im wtedy tytuł narzeczonych. Samuel nie jest wykwintnym salonowcem, niczem się nie wyróżnia od ogółu, chyba sercem szlachetnem, energią i prawością postępowania, siłą żywotną i moralną, która mu już odkryła niejedną tajemnicę życia i która mu w przyszłości otworzy wiele serc i drzwi, zamkniętych dla bohaterów mody. Jego inteligencya jasna i lotna w kilka minut rozwiązała trudności, dla Bertrandów niezdo-byte, i wprowadziła je w czyn wszechwładną przewagą praktyki nad teorią i spokojnego rezonowania nad fantazyą.

A jednak doskonałość nie znajduje się ani po jednej, ani po drugiej stronie tej ulicy. Jeżeli weźmiemy jako cel życia zabawy i przyjemności, to go znajdziemy u Daltonów; jeżeli będziemy szukali doskonałości, to mamy większe szanse spotkania się z niemi u Bertrandów; ale szczęście prawdziwe znajdziemy pośrodku. Bywają uprzywilejowane osoby, które umieją połączyć praktyczność z ide-

alnością. Takt i rozsądek utrzymania równowagi są owem pomagającym im narzędziem.

Są to wyborne narzędzia, wskazujące nam ściśle granicę pomiędzy tem, co możliwe, a tem, co niemożliwe,—pomiędzy słusznymi wymaganiami a pragnieniami, którym materyalne warunki często stają na przeszkodzie. Każda umiejętność ludzka przedstawia jeszcze obszerne pole do dalszych poszukiwań. Nauka, wyczerpująca choćby tylko jedną rodzinę wodnych porostów, mogłaby zapełnić życie człowieka; nauka muzyki nie ma granic. O żadnej nauce lub sztuce nie wypowiedziano jeszcze ostatniego słowa. Doskonałość jest celem, który, gdy go już osiągamy, ucieka przed naszymi usiłowaniami,—czy to poety, czy rzeźbiarza, czy nawet popolitej praczki. Co więcej, bywają okoliczności, niedozwalające nam nawet pogoni za tym nieuchwytnym celem i najwyższą mądrością; w takim razie pozostaje tylko skłonić głowę bez szemrania. Różnica między idealistami a realistami spoczywa nie tyle na sposobie zrozumienia rzeczy, ile na przyjęciu i zgodzeniu się na rzeczywistość. Jedni używają tego, co mają, podczas gdy drudzy jęczą nad tem, czego im brakuje. Gdy winszowano pewnemu dyrektorowi obszernego zakładu jego pogody umysłu i spokoju przy tak trudnych i rozlicznych zajęciach, odpowiedział: — „Zasadą mego postępowania jest być zadowolonym z tego, co jest

w połowie tak dobrze zrobionem, jakbym pragnął.“ Słowa te zawierają cały traktat praktycznej moralności. Co chwila słyszeć się daje o osobach, które pragną, aby wszystko szło według ich idealnego pojęcia i wygórowanych wymagań. Jeżeli to są kobiety i do zarządu swego domu stosują takie wymagania, to, niestety, mogą doznawać na każdym kroku bolesnego zawodu. Rodzina daje najobszerniejsze pole zapomnienia o sobie, do wyrzeczenia się swego *ja* i słusznym nieraz planów i zamiarów. Możemy studyować wyborne rozprawy o edukacyi, możemy czytać prześliczne opowiadania o dzieciach i służbie, posłusznych bez oporu, z pilnością i zręcznością wypełniających żądania autora; w rzeczywistości jednak tak nie jest. Każda istota żyjąca stanowi odrębną osobistość, której wpływu nie można napróżd przewidzieć, a która najniespodziewaniej pokrzyżuje nasze plany w chwili, gdy się tego najmniej spodziewamy. Mąż szczególnie jest faktem niezawodnym, z którym się liczyć trzeba, którego roli w naszych marzeniach nigdy napróżd przewidzieć nie możemy—i dlatego mnóstwo kobiet, przesiąkniętych wybornymi teoryjami o małżeństwie, edukacyi i życiu rodzinnem, widzi swoje mrzonki upadające pod ciężarem codziennej rzeczywistości.

Czyż może być coś miłszego, jak robić plan ogrodu: tam zasadzimy róże, tam będzie altana

z klematysu i jaśminu, — i już w imaginacyi zbieramy śliwki, jabłka i winogrona; wszystko udaje się wybornie, zielenieje i rośnie w oczach; z razem ziemskim można porównać nasz ukochany zakątek. Niestety! Oto nadeszła chwila wprowadzenia w życie naszych marzeń i planów. Drzewa owocowe zjedzone przez gąsienice, róże przez mszyce, kwiaty więdną od upału, brzoskwinie opadają od zimna; szron, grad i deszcz dokonywa reszty zniszczenia.

Rodzinę najlepiej porównać można do ogrodu. I jedno i drugie prześliczne w opisach. Czyż można mieć zawody wśród tylu rad trafnych, ostrzeżeń, przepisów?... a jednak gdzie znaleźć doskonałych rodziców, doskonałe dzieci, doskonałych nauczycieli i doskonałe urządzenie gospodarstwa? Och, gdybyż to ludzie, rozpoczynając życie, nie rządzili się tak wygórowanemi wymaganiami, ale, przeciwnie — zaczęli je ze skromnością i pokorą, — o ileż prędzej znaleźliby szczęście, — bo pamiętajmy, że najczęściej znajdujemy je wtedy, kiedy przestaniemy się za niem uganiać. Pogoń za ideałem—to choroba moralna niebezpieczniejsza niż inne, dlatego, że ją bierzemy za jedno z najszlachetniejszym dążeniem naszym—z pragnieniem dobra i piękna.

Nie możemy, nie powinniśmy tłumić w sobie tych popędów, ale sposób ich używania może nam

niekiedy przynieść tylko znużenie, niepokój, podrażnienie i łzy. Istota sama nieszczęśliwa nie może dać szczęścia swemu otoczeniu i rozlać wkoło siebie spokoju i harmonii, dopóki jej własne serce niepokoi się i cierpi, I to jest właśnie przyczyna, dla której wiele osób najzacniejszych i przepełnionych dobrymi zamiarami smutny i szkodliwy wpływ na swoje otoczenie wywiera.

Zawsze w niezgodzie z sobą—ich talenta, postać cała, wykształcenie, nie zadawalnia ich nigdy; a nic więcej nie usposabia do sprzeczki z drugimi, jak chroniczne i chorobliwe niezadowolenie z siebie!

Natury niemogące znieść cierpliwie własnych swoich niedostatków nie mają także pobłażania dla bliźnich; a jeżeli jesteśmy sami z siebie zawsze niezadowoleni, jakże będziemy kochać bliźniego swego jak siebie samego?

Jest jeszcze pewniejsze lekarstwo, niż rozum ludzki, na tę gorączkę doskonałości, a tem jest ufność nieograniczona w Jezusa i Jego naukę.

Religia źle pojęta (niedająca nam dogmatu pewnego na życie) pogorsza często złe i czyni nas niewyrozumialszymi na błędy nasze i bliźnich, a odkrywa nam takie przepaście nędzy ludzkiej, że przeklinamy dzień, który nas do życia powołał. Wszakże Bóg, dając nam za ostateczny cel doskonałość, woła i wzywa nas temi pocieszającymi słowami:

„Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i cierpicie!“ Dalej dodaje: „Weźcie krzyż mój i uczcie się ode mnie, żem jest cichy i pokornego serca, a znajdziecie pokój dla dusz waszych.“

Te słowa zamykają treść zagadki, której ludzkość zrozumieć nie mogła, to jest nieustannej pracy nad sobą i niczem niezakłóconego spokoju, bo tylko u stóp Stwórcy nauczymy się znosić pokornie największe trudy i znoje. Doskonałość taka nie może być w tem życiu w zupełności osiągnięta; mądrość ludzka prawdziwa rozumie to dobrze i dlatego śmieje się z wszelkich ideałów. Prawdziwy tylko chrześcianin wie, że go czeka inne życie i że w niem najzuchwalsze marzenia o szczęściu będą urzeczywistnione, a do tej chwili Bóg chce, abyśmy nasze krzyże przyjęli jako próbę. Dopóki żyjemy, nie ustanie walka ze złem, którego siedlisko w sercu naszym, a może równą zasługę mieć będziemy, znosząc z pokorą i rezygnacją liczne upadki nasze, jak odnosząc świetne nad niemi zwycięztwa.

Znałem kobietę piękną, bogatą, utalentowaną, prawdziwą ozdobę salonów. Jako pani domu, przez swoje wykwintną gościnność i szlachetną przyjaźń, miała powszechnie uznanie. Nagła strata majątku rozwiała jej pomyślność, jak mgłę poranną, i zmusiła ją do zamiany świetnych salonów na schronienie wlichej chatynce pionierów. Widzieliśmy ją wtenczas siedzącą na progu wiejskiego domku, którego

jedyny pokój służył zarówno za jadalnię, sypialnię, pokój do pracy i ubierania się. Umywała zawalane buziaki swoich dzieci na miedzianej miednicy, w miejsce marmurowych umywalni z lat lepszych; a gdy przesuwała palce w ich miękkich włosach; z uśmiechem na ustach, wesola zawsze i przyjemna dla wszystkich, nie przyszło nikomu na myśl, że życie jej dawniej inaczej upływało. Pnące rośliny u drzwi ich domu zajmowały ją narówni z dawnymi egzotycznymi kwiatami cieplarni, a sprzęty kuchenne i szczątki biblioteki utrzymywała z takim staraniem, jakby nigdy nic lepszego nie знаła i nie pamiętała. Charakter szczęśliwy, humor łatwy, temperament wesoly i ufny wielką być może pomocą we wszystkich wstrząśnieniach losu; ale w życiu tej kobiety tylko jedna religia zdziałała ten cud miłości i zrzeczenia się. Ta kobieta, dziś tak silna, była niedołężną na łonie pomyślności. Dziś, przyjąwszy z poddaniem i mężstwem walkę życia, umie używać małych przyjemności, które jak polne kwiatki kryją się na skałach przydrożnych; a gdy ciało jej ustaje od znoju, a serce od bólu, spogląda z nadzieją na koniec istnienia, na wieczność. Kobieta ta miała talenta artystki i poetki, ale dziś praktykuje je tylko na reparowaniu podartego odzienia dzieci. O muzyce niema już mowy dla tej, która dawniej zachwycała grą świetną, pełną wyrazu; jej śpiew sympatyczny i melo-

dyjny służy dziś tylko do uśpienia najmłodszego pieszczocha. Czuje to doskonale, że cały świat talentów w sercu jej jest pochowany; czuje, że cała jej inteligencya zasypia potrochu, ale chętnie wypełnia niewdzięczne obowiązki bony i sługi. Wiedząc, że Bóg dobry przyjął za nas na Siebie wszystkie nędze świata, wierzy mocno, że dary, których teraz używać nie może, przyniosą jej obfite owoce w życiu przyszłym. Nie tęskni za tem, co było, nie boi się przyszłości, nie szemrze na życie i jego ciężary, jest w zupełnej harmonii z tem, co ją otacza, i miejscem, które zajmuje; jest czczona przez męża jak święta, a dzieci nazywają ją błogosławioną. Wiara w życie przyszłe jest jedyną gruntowną i pewną siłą, nadającą spokój wewnętrzny naszej ziemskiej pielgrzymce. Na tej niewzruszonej opoce wznosimy całą budowę życia, dzień po dniu, wytrwale.

Nie usiłujmy nawet doścignąć ideału na tym zmateryalizowanym świecie. Osoba otoczona liczną służbą może sobie pozwolić odpowiednich zbytków w urządzeniu mieszkania i domu całego, ale słaba i zmęczona matka licznej rodziny, mająca do pomocy jedną tylko sługę, powinna zamknąć oczy na tysiące drobiazgów i niedokładności w utrzymaniu wykwintnej czystości i ozdobnych urządzeń w domu i otoczeniu. Dojść do tego mogłaby tylko kosztem sił i zdrowia, a lepiej je zachować na niezbędniejsze potrzeby, na ważniejsze obowiązki.

Odmówmy sobie z odwagą niektórych przywyknień które nam się wydają konieczne—unikniemy tym sposobem wielu trosk i przykrości. Badajmy uważnie życie nasze—a szukając dobrze, znajdziemy niemało takich wymarzonych obowiązków i trudności, które możemy bez szkody zupełnie wykreślić z programu naszego.

Czyż byłoby tak bardzo trudno zapracowanej i oszczędnej gospodyni usunąć z wydatków domowych kosztowne łakocie, które nie dodają zdrowia, jak np. konserwy, ciasta, pasztety i t. p.? Czyż dzieci jój byłyby mniej ciepło ubrane, gdyby ich matka nie psuła sobie oczu i nie traciła czasu nad haftami, zbytecznymi dla nich? Zdawało się, że wynalezienie maszyny do szycia będzie wielką oszczędnością czasu, którego biedne kobiety tyle trawiły nad igłą; przekonano się jednak, że to próżne marzenie; kółko obraca się prędko, ścięgi następują po sobie szybko i równo, ale gdzieś dawniej był jeden szew, teraz dają cztery lub pięć; kto się dawniej kontentował jednym obszyciem, potrzebuje teraz dwóch—i tak we wszystkim; kobiety w dalszym ciągu dnie całe przepędzają nad igłą, jak za szczęśliwych czasów Penelopy.

Należałoby, szczególnie w kwestyach tualetowych, mieć odwagę poświęcenia wszystkiego, co pociąga za sobą wydatki, niezasosowane do dochodów, albo wymagające zbyt wiele czasu i sta-

rania. Dykeyonarz mody zawiera jedno wyrażenie, którebym chciał raz na zawsze wykreślić z użytku ludzi niebogaty. Jest to *garnirunek*. Wszystkie ozdoby i garnirunki doszły do takich bajecznych zbytków, że podwajają cenę ubrania, nie mówiąc już o czasie, straconym na upięcie owych wstążek, guzików, frendzli i t. p.

Wyprawa nowonarodzonego i wyprawa ślubna bywają przeciążone koronkami, gipiurami— a to wszystko pochłania połowę życia i dochodów kobiet, chcących koniecznie iść za modą.

Pani Kirkdale w humorystycznym opisie swoich przygód podróży opowiada kłopot, jaki raz miała z umieszczeniem w maleńkiej chatce na stepach maszyny do prania bielizny, wygodnej i praktycznej, ale bardzo dużej. Nie mogąc sobie z nią poradzić, wezwała do pomocy pewną miejscową dziewczynę. Ta, niewiele myśląc, maszynę ustawiła przed domem, mówiąc poważnie: „Jeżeli na co miejsca niema, to znaczy, że go niema.“ Taka prosta i mądra logika pomogłaby nieraz do usunięcia wielu przykrości, możeby nawet uratowała życie istotom słabym i chorowitym, które postawiły sobie zadanie nad siły i mają więcej wymagań, niż środków do ich wykonania. Naturalnie, że trzeba bardzo trafnego i zdrowego sądu, aby wyróżnić rzeczy prawdziwie potrzebne od zbytkowych, ale nadewszystko trzeba odwagi i stałości w zrzecze-

niu się przywyknień i przyjemności, dzielanych z przyjaciółmi, którzy dziwić się będą, gdy się bez nich obchodzić zaczniemy. Spokój duszy jest nagrodą takiego zrzeczenia się i postępowania—i prędko złagodzi rany, zadane miłości własnej.

Jeżeli matka rodziny napróżno usiłuje pogodzić swoje obowiązki względem dzieci z życiem w świecie, niech sobie powie: „ponieważ wychowanie dzieci zabiera mi cały czas, więc reszty zrzec się muszę,“ a odzyska spokój odrazu. Niech się nie spodziewa, że uda jej się to w zupełności, ale o ile można zbliży się do tego idealnego celu i ściągnie nań błogosławieństwa nieba.

Dodajmy na zakończenie, że bardzo jest niebezpiecznie żałować po niewczasie niespełnionych marzeń, zawiedzionych ideałów. Jeżeliśmy postępowali według naszych przekonań i pod okiem Boga, nie mamy prawa robić sobie niepokojących wyrzutów. Rozsądek sam powinien nas nauczyć, że to, co przeszło i co już spełnione, nie powróci, jak nie wróci na powierzchnię kamień, rzucony w wodę. Ale to nie wystarcza naszej chorobliwej imaginacyi i owo nieszczęśliwe „gdyby to, gdyby owo“ tkwi zawsze w myśli, otoczone całym szeregiem smutków, wyrzutów, żalów, a dni i noce upływają bez ulgi i bez odpowiedzi na te żale spóźnione i zbyteczne. W takich razach trzeba postępować według słów apostoła:

„Zapomnieć rzeczy minione, spoglądać z ufnością na przyszłe i mieć przekonanie głębokie, że Bóg, gdyby był chciał, mógł nami inaczej pokierować. Niech Mu będzie chwała we wszystkim.“

Na tem skończyłem czytanie.

Żona moja i Jenny słuchały z zajęciem i wiele pochwał oddawały trafności tych uwag. Kiedy, zamykając książkę, podniosłem oczy, zobaczyłem moją córkę zajętą zwijaniem około sześćdziesięciu łokci koronki, przeznaczonej do ozdoby sukni, a żonę haftującą z zapalem sukienki dla naszej wnuczki — i mimowoli przyszło mi na myśl kazanie św. Antoniego do ryb:

„Skończył nareszcie wymowne kazanie.
Lecz ledwie zeszedł ze swojej mównicy,
Ryby już pędzą po wódnej ulicy.
Szczupaki poczną żwawe uwijanie—
Łupu, kradzieży też nie pomijają;
Węgorze, rade, figle wyprawiają;
Raki poważne tyłem sobie kroczą;
Karpie ziewają, z innemi się droczą;
Słowem, że wszystkie te zacne stworzenia,
Niby uważne i pełne skupienia,
Niby wzruszone pięknością wymowy,
Wpadły powoli w dawne swe narowy.“

F1082
DODATEK DO „GŁOSU“.

ŁUŻYCE.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY,

poprzedzone krótkim opisem kraju i jego dziejów.

skreślił

Wilhelm Jelski.

WARSZAWA.

Drukiem A. Pajewskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.

—
1891.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, Сентября 19 дня 1891 года.

I.

Przeszłość Łużyc i ich stan obecny.

Istnieje w państwie niemieckiem słowiańska wyspa etnograficzna, o której ogół nasz bardzo mało ma wiadomości. Mieszkańcami jej są Serbowie łużyccy. Wobec tego, że piśmiennictwo nasze posiada niewiele prac, omawiających dzieje i stan obecny Łużyc, myślę, iż nie będzie rzeczą zbyteczną, gdy opowiadanie o mojej wycieczce do Łużyc, poprzedzę krótkim rysem dziejów tego małego, lecz ze wszech miar ciekawego narodu.

Stopień pokrewieństwa Łużyczan z innymi Słowianami, a nami w szczególności jest dotychczas kwestyją sporną. Według mniemania większości uczonych, serbsko-łużyckie narzecza uważane są za najbardziej spokrewnione z czesko-słowackimi, gdy tymczasem taki znawca na polu lingwistyki, jak J. Baudouin de Courtenay, robi przypuszczenie, iż łużyckie narzecza najbliżiej są spowinowaczone nie z czesko-słowackimi, lecz przeciwnie z polsko-połabskimi. Powiada on przy tem (w książce pamiątkowej „Maciey serbskiej“), iż potrzeba ścisłych i gruntownych badań

narzeczy łużyckich, by to pytanie, dotychczas nierozstrzygnięte, rozwiązać.

Nadzwyczaj zajmującemi są dzieje Łużyczan; ze względu jednak na zakres pracy podać tu mogę zaledwie króciutkie ich streszczenie.

Jak wiadomo, dzisiejsi Łużyczanie są resztką niegdyś wielkiego Łużycko-serbskiego narodu, który w walce z germanizmem został przezeń pożarty. Słowiański żywioł zamieszkały w prastare czasy nad brzegami Łaby (Elby), Solawy (Saali), którego siola sięgały nawet za Mohan (Main), dzisiaj zeszczuplał do małej garstki Serbów-łużyckich, zaludniających okolicę rzeki Sprewi (Spree). W walce z germanizmem Słowianie, odpychani na wschód, ustępowali Niemcom ziemię kawał po kawale. Już w 531 r. po Chrystusie kraj Duryneków, położony pomiędzy Włtawą a Solawą, dostał się łakomym jego zdobywcom, Frankom i Saksom.

Doszedłszy do Solawy, Niemcy coraz bardziej niepokoiłi mieszkających na wschodzie Słowian. Nastąpiła długa i straszna walka. W ciężkich chwilach rozpaczliwej obrony Słowianom serbskim zaświtała lepsza dola, gdy dzielny król Samo, zjednoczywszy naddunajskich Słowian, Morawian i Czechów, rozciągnął swą władzę również nad łużyckimi Serbami. Po śmierci wszakże tego dzielnego króla (662 r.), Niemcy znowu zaczęli napadać na Serbów i zdobywając potrochu szmaty ich ziemi, stali się wkrótce właścicielami całego Serbsko-łużyckiego kraju. W roku 963 margrabia Gero zawładnął serbską ziemią aż do

Odry; pobił on wtedy pomagającego Łużyczanom Mieczysława I, króla polskiego i zmusił go do hołdu cesarzowi niemieckiemu. Wprawdzie niedługo potem Niemcy znowu zostali odsunięci aż do Solawy, wkrótce jednak, korzystając z niezgody między Mieczysławem I i Bolesławem czeskim, na nowo wzięli się do Serbów. Dopiero syn Mieczysława I, Bolesław Chrobry, po długich, krwawych wojnach, zdobył Łużycką ziemię do Czarnego Halsztrowa, tworząc w 1013 r. wielkie zachodnie państwo słowiańskie. Łużyczanie w osobie Bolesława znaleźli mściciela swych krzywd i obrońcę od germańskiej nawały. Za to też Chrobry obdarzony był wielką miłością poddanych, o czem świadczy do dziś dnia zachowana piosenka ludowa, niewątpliwie poświęcona pamięci tego wielkiego króla. Podaję ją tu w całości:

Serbja so do Niemcow hotowachu,
Słowczka pak niemski szcie njemóžachu.

Swoje sej koniki sedłowachu,
Swoje sej wotroki przipinachu,

Swoje sej mjecziki przypasachu,
Do pola runeho zjeżdżowachu.

Preni króć na wójnu wuciahnychu,
Wulke tam dobycie wudobychu.

Hdyż bie to zhonił tam kral tón ich wjer'ch,
Dał je jich wszitkich wón przed sebje przinć.

Wszitkich wón jara je wukhwalował,
Do swoich wojakow wszitkich je wzał.

Druhi króć na wójnu wuciahnychu,
Wulke tam dobycie wudobychu.

Hdyż bie to zhonił tam kral tón jich wjer'ch,
Dał je jich wszitkich wón przed sebje przinć.

Dał je jich wszitkich wón zwoblekać
Do samoh' czorlacha czerwjeneho.

Trzeci króć na wójnu wuciahnychu,
Wulke tam dobycie wudobychu.

Hdyż bie to zhonił tam kral tón jich wjer'ch,
Dał je jich wszitkich przed sebje przinć.

Dał je wón kóždyemu ryzy konja
Hiszcie tón swietły mjecz k zejhrawanju.

Następcy Chrobrego nie umieli utrzymać w rękę tego, co zjednoczył ich wielki poprzednik, i znowu zmuszeni byli oddać łużycką ziemię na pastwę germanizacyi. Już w roku 1032 Łużyce dostały się w niemieckie dłonie: południową jej część, zamieszkaną przez Milezan, otrzymał miśnieński margrabia Ekhard II, północną zaś—margrabia Ditrich. Od tej chwili Łużyce stały się łupem, z rąk do rąk przechodzącym. Położenie ich było opłakane. Byt Górnych Łużyc poprawił się pozornie, gdy w 1136 r. przeszły pod panowanie czeskie. Czescy jednak królowie nie użyli swej władzy dla podźwignięcia słowiańskiego żywiołu i nie myśleli o obronie jego przed germanizmem; zanadto ulegając niemieckim wpływom nie spełnili swego obowiązku.

Po śmierci Wacława I, króla czeskiego, Górne Łużyce dostały się pod brandeburskie panowanie (1254 r.) i znowu nastał smutny dla nich okres. Germanizowani i uciemnieni przez najeźdźców Serbowie długo cierpieć musieli, aż dopiero w 1319 roku król Czeski Jan I wydobył ich z pod niemieckiego ucisku.

Dolne Łużyce tymczasem, od chwili oderwania ich od państwa polskiego, przez lat 340 były widownią ciągłych walk i zniszczeń. Przez ten czas przechodziły one z jednych rąk do drugich, aż wreszcie w 1373 r. złączone zostały z Górnemi Łużycami pod panowaniem czeskiem.

Źle się działo w Łużycach przez cały czas rządów niemieckich. Polityka germańska, dążąca do zniszczenia słowiańskiego żywiołu, porobiła tu niemałe szczyrby.

W XIII wieku z najeźdźców i częściowo zniemczonych Serbów wytworzyła się klasa szlachecka, która, zasiadłszy w swych zamkach rycerskich, pomалу rozciągała władzę nad okolicznym ludem rolniczym, zmuszała go do podlegania jej sądom patrymonijalnemu, a w końcu robiła z nich poddanych roboczych. W tym czasie niemieccy koloniści zaludniali czeskie podgórze, tak, iż wkrótce Łużyczanie zostali oddzieleni od Czechów pasem osad niemieckich.

Jeśli w Łużycach, kraju na wschód od Łaby leżącym, było źle, to położenie Serbów między Solawą i Łabą było iście opłakanem. Już w drugiej połowie XII stulecia koloniści niemieccy, poczuwszy w sobie więcej sił, poczęli jawnie i bez wyboru środków dążyć

do zagłady żywiołu słowiańskiego. Niemieccy lub
zniemczeni panowie odbierali wieśniakom ziemię, wy-
pędzając ich z wiosek, lub zmuszając do poddaństwa.
Wygnani z własnych domów Serbowie szukać mu-
sieli nowych miejsc i tam zakładać nowe sioła. Nie
na tem kończyło się jednak prześladowanie Słowian.
Już w 1293 r. Bernhard II wydał rozkaz, by sądy nie
odbywały się nadal w serbskim języku. Wprawdzie
później (w 1356 r.) cesarz Karol IV w sławnej „Zło-
tej bulli“ polecał margrabiom i książętom serbską mo-
wę szanować; jednak Niemcy, nie zwracając uwagi
na rozkaz, usuwali w dalszym ciągu język serbski
z sądów. Sprawie wynaradawiania Słowian pomagali
niemieccy duchowni, czyniąc z kościoła przybytek
germanizmu. Prześladowanie Serbów nie miało gra-
nic. Włościanie, wypędzeni ze swych rodzinnych sie-
dzib, starali się częściowo dostać do miast, lecz i tu
trafili na opór Niemców. Już w 1419 r. zaczęli za-
braniać Serbom kupowania domów; w Dreźnie zaś
w 1472 r. zakazaniem zostało przyjmowanie do ce-
chów tych, którzy nie byli niemieckiego pochodzenia.
Germanizowani Słowianie coraz bardziej ulegali
Niemcom, tak, iż w końcu cała kraina od brzegów
Solawy do Łaby zginęła dla Słowiańszczyzny, wyna-
rodowiona i opanowana przez nienasyconych na-
jeźdźców.

Od 1319 r., jak już powiedziałem, Górne Łuży-
ce weszły w skład państwa Czeskiego. Od tej chwili
historyja ich łączy się z czeską aż do 1635 r.

Panowanie króla Jana z domu Luksemburskiego nie przyniosło wiele zmian w Łużycach. Z urodzenia i wychowania Niemiec nie myślał o podniesieniu serbskiego żywiołu. Dopiero po wstąpieniu na tron czeski jego syna, cesarza Karola IV (1346—1376), dola Łużyczan znacznie się poprawiła. Jego sławna „Złota bulla“, technąca przychylnością dla słowiańskiego żywiołu, jak również wiele jego rozporządzeń zmierzały do usunięcia ucisku Słowian przez Niemców.

Podzieliwszy państwo pomiędzy trzech synów, Karol IV oddał Łużyce najmłodszemu z nich, Janowi. Gdy jednak w 1396 r. król Jan umarł; Łużyce znowu przyłączone zostały do Czech pod berłem Wacława IV. Ciągłe wojny i niepokoje w czasie jego panowania nie pozwoliły mu uczynić wiele dla Łużyczan. Umarł w przededniu wielkich wojen husyckich.

Nie mogę tu dla braku miejsca opisywać szczegółów tych wojen, nadmienić jednak muszę, iż Łużyczanie zachowywali się biernie podczas walk husyckich. Bierność owa nie wpłynęła dodatnio na położenie kraju; być może, stała się przeciwnie przyczyną późniejszej niedoli i wynarodowienia. Kto wie, czy czynna i otwarta walka przeciw Niemcom po stronie husyckiej nie wpłynęłaby pomyślniej na rezultat wojen i po złamaniu germańskiej przewagi nie zapewniła by na przyszłość wszystkim Słowianom, a więc i Łużyckim Serbom, swobodniejszego rozwoju. Stało się, niestety, inaczej. Po zakończeniu wojen husyckich położenie Serbów w niczem się nie poprawiło. Pod rządami cesarza Zygmunta i jego następców Łużyce by-

ły niszczone przez ciągłe wojny. Władcy ci dawali przytem żywiołowi niemieckiemu przewagę, pozwalając na ucisk Słowian.

Dopiero, gdy w r. 1458 został wybrany na króla czeskiego Jerzy z Podiebradu, położenie Serbów zmieniło się ku lepszemu. Walki jednak z papieżami Piussem IV i Pawłem II i ciągłe wojny, które zmuszony był prowadzić, niepozwołyły królowi demokracji poczynić tych reform, które zamierzał, a które miały na celu podniesienie uciśnionego ludu. Jego następcy, Maciej Korwin (Król Węgierski i Czeski) i Władysław II (syn Kazimierza Jagiellończyka), podnosząc samowolę rycerstwa i przywileje miast, nie uczynili nic we względzie politycznym i ekonomicznym dla serbskiej ludności rolniczej. Podobnymi były krótkie rządysyna Władysława II, Ludwika, który panował od 1516 do 1526 jako król węgierski i czeski. Po śmierci jego ludność łużycka doczekała się powołania na tron czeski Niemca Ferdynanda (z rakuskiego domu). Od tej chwili ginie nadzieja odrodzenia narodu serbskiego przez związek z Czechami.

Od czasu wprowadzania do Łużyc reformacji, wpływ niemieczyzny zwiększył się jeszcze bardziej, przez co germanizacyja kraju tym szybszym dążyła krokiem. Niemcy, choć jednego z Serbami wyznania, nie przestali ich uciskać wszelkimi sposobami; kto chciał np. uczyć się rzemiosła, musiał przedstawić dowody, że jest niemieckiego, a nie serbskiego pochodzenia: „dass er guten deutschen Geblüts und nicht Wendischer Nation sei.“

W roku 1635 skończyła się zależność Dolnych i Górnych Łużyc od Czeskiego państwa. Zjednoczenie Łużyc z czeską koroną zostało rozerwane; na podstawie Praskiego pokoju dostały się one pod panowanie Sasów (z wyjątkiem miast Chociebuża i Picnia, które od lat 1445 i 1448 znajdowały się pod brandenburskim panowaniem).

Nie wesołe było położenie serbskiego ludu pod saskimi rządami. Łużyczanie byli na każdym kroku prześladowani, nękani i upokorzani nieustannymi prawami wyjątkowymi. W 1651 r. na sejmie w Budy-szynie zakazano serbskim wieśniakom chodzić z kijem, na sejmie zaś w roku następnym zabroniono Serbom nosić długie włosy. Szlachta, duchowieństwo i miasta korzystały z różnych przywilejów, a lud, po większej części serbski, znosił ucisk i poniżenie. Nic dziwnego, że wobec takich stosunków mogło się wyrobić w nim pojęcie (przytoczone przez Frenela), że „knieźstwo wobkradnyć njeje hriech, przetoż za knieźstwo wszitko dziełamy“ (Panów okraść nie jest grzechem, ponieważ dla panów wszystko robimy).

Ciągłe niepokoje nie przynosiły Łużyczanom nic dobrego. Trzydziestoletnia wojna (1618—1648) sprowadziła na kraj tylko głód i zniszczenie. Zgnębiony lud porzucał swą ojczyznę i uciekał masami przeważnie do Polski, gdzie tworzył nowe osady. Dotychczas w naszym kraju istnieje wieś Chwalim, gdzie lud do dziś dnia protestancki, wszakże oddawna spolszczony, swym typem przypomina pochodzenie łужицкие.

Nad Sprewią tymczasem germanizacyja robiła spore postępy; w XVIII wieku odpadło od serbskiej narodowości około 50 osad parafijalnych. W tym tak smutnym dla Łużyczan czasie znaleźli się wszakże ludzie, którzy pomyśleli o szerzeniu wśród ludu oświaty za pomocą serbskich książek. Byli nimi Michał Frenzel, jezuita Jakób Tician i Jerzy Swietlik. Po nich znaleźli się i inni, którzy podobnie dla serbskiego ludu pracowali.

Jeśli Łużyczanom było źle pod rządem saskim, to w części Łużyc, zostającej pod panowaniem brandenburskiem, było jeszcze gorzej; prześladowanie dosięgło tu ostatecznych granic. Najbardziej gorliwym w gnębieniu Łużyczan był Fryderyk Wilhelm I. Ten już w następnym roku po wstąpieniu na tron wydał rozporządzenie, usuwające zupełnie język serbski ze szkół, zaś w 1731 r. barbarzyńskie prawo, zakazujące księżom spełniać religijne obowiązki względem tych, którzy nie umieli po niemiecku.

Tak więc źle było na Górnych i na Dolnych Łużyczach. Serbowie jednak, bardziej już świadomi swego położenia, nie ulegali tak prędko germanizacyi; na Górnych szczególnie Łużyczach począł się budzić ruch, zmierzający ku utrzymaniu ojczystego języka. W 1728 roku otworzone zostało w Pradze katolickie seminarjum serbskie, ewangelicka zaś młodzież łużycka w Lipsku założyła w 1716 r. „Hornjołużiske serbske priedar'skie towar'stvo.“ Na polu literackiem powstał też ruch większy: zaczęto drukować książki religijne w serbskim języku, a nawet probowano wydawać gazety.

Na mocy pokoju w Tylży okręg Chociebuski został oddany Sasom, przez co obie Łużyce zjednoczone zostały pod jednym panowaniem. Zdawało się, iż nadeszła lepsza chwila dla Serbów. Na Wiedeńskim jednak kongresie 1815 r. znowu nastąpił podział. Prusy dostały całe Dolne Łużyce i połowę Górnych i tylko południowa część Górnych Łużyc pozostała przy Saksonii. Prusy nie złączyły przytem obu Łużyc w jedną prowincyję, lecz Dolne przyłączyły do prowincyi Brandenburskiej, Górne zaś do Szląskiej. Poćwiartowana Serbija jeszcze lepszem stała się polem dla germanizacyi.

Tak rozpoczął się wiek dziewiętnasty. Wśród ciężkich dla Serbów czasów zbudził się w nich duch narodowy. Szczególnie młodzież wzięła się z zapałem do oświaty i duchowego podniesienia narodu serbskiego. Poeta H. Zejler (urodz. 1804 r.) jako student jeszcze zaczął pisać poezyje, budzące narodową świadomość. Zaś w 1832 r. Jan Ernest Smoler zgromadzał w gimnazyjum budyszyńskim kolegów dla wspólnej pracy nad językiem ojczystym i literaturą. Zebrania te były podstawą zatwierdzonego w 1839 r. przez władzę towarzystwa gimnazyjalnego pod mianem: „Societas Slavica Budissina.“ Za inicjatywą tegoż wielkiego patrijoty serbskiego powstało również we Wrocławiu towarzystwo łużyckie.

To był początek odrodzenia Łużyc.

Tymczasem zmieniły się polityczne i społeczne warunki bytu. Od czasu zniesienia poddaństwa (w Prusiech 1820 r.) i wprowadzenia konstytucyi

w Saksonii 1831 r., oświata prędszej mogła się rozszerzać pomiędzy wolnymi obywatelami serbskimi. Jednocześnie i obrona praw narodowych stała się skuteczniejszą. Poseł budyszyński Adolf Klin dzielnie walczył o prawa narodowe Łużyczan i nie bez skutku, bo już na sejmie w 1835 r. postanowiono, by nauka religii i czytania w wioskach serbskich odbywała się w rodzinnej mowie. Korzystając z większej swobody, urządzono w 1845 r. w Budyszynie pierwszy koncert serbski, na którym deklamowano poezyje Zejlera i śpiewano utwory serbskiego kompozytora Kocora. Ale najważniejszym faktem w historii odrodzenia Serbów Łużyckich było utworzenie w Budyszynie w 1847 r. „Macicy Serbskiej“. Towarzystwo to stało się odtąd ogniskiem ruchu umysłowego Serbów; zaczęła ona wydawać książki dla ludu, jak również pismo naukowe p. t. *Czasopis Macicy Serbskeje*.

Po stłumieniu rewolucyi 1848 r., podczas której Serbi zajęli stanowisko obrońców tronu, nadano Łużyczanom w Saksonii pewne prawa. Pozwolono uczyć języka rodzinnego w szkołach ludowych; w 1851 r. zaczęto nawet wykładać język serbski jako przedmiot w gimnazyjum budyszyńskim. Nastąpiły swobodniejsze nieco czasy; to też życie Serbów poczęło szybszym tętnić ruchem: powstawały nowe towarzystwa po wsiach i miastach, zjawiały się nowe pisma.

W sprawie odrodzenia młodzież zajęła pierwsze miejsce. Ruch między młodzieżą rozpoczął się od zakładania towarzystw, które miały za zadanie wspólną pracę nad nauką języka serbskiego, a także pozna-

niem kraju i ojczystych dziejów. Najstarszem z tych stowarzyszeń było „Sorabicum“, założone w Lipsku jeszcze w 1716 r. Towarzystwo to wydało z siebie utalentowanego narodowego piewcę, Zejlera, i innych serbskich działaczy. Towarzystwo budyszyńskie, o którym wspominałem, założonem zostało w 1839 r. i wydało między innymi znanego patryjotę i działacza wśród ewangelickich Serbów, H. Imisza. W Pradze znowuż w r. 1846, młodzież, kształcąca się w tutejszem serbskiem seminarjum, założyła towarzystwo „Serbowka“. Tu uczył się między innymi dzisiejszy prezes „Macicy serbskiej“, Michał Hornik, który tak dzielnie prowadzi sprawę odrodzenia Serbów, zaczęłą przez Smolera.

Duszą jednak wszystkich tych towarzystw młodzieży stały się zjazdy, odbywające się rok rocznie. Młodzież do dziś dnia zbiera się co roku w innej wsi, gdzie rozprawia o kwestyjach, dotyczących swego kraju i narodu. Schadzki owe dały impuls do założenia beletrystycznego pisma serbskiego p. t. *Lipa Serbska* (1876 r.) jak również do wydawania zbioru pism Zejlera. W ten sposób serbska młodzież dźwignęła literaturę ojczystą i rozbudziła ducha wśród śpiących.

Najwięksi uczeni i pisarze serbscy, jak Zejler i Smoler, rozpoczęli swą pracę jako studenci. Smoler, ten najdzielniejszy serbski patryjota, będąc jeszcze słuchaczem uniwersytetu wrocławskiego, pracował nad rozbudzeniem ducha między młodzieżą i ludem; w tym też czasie zrodziła się w nim myśl założenia

Macicy, tej głównej dzisiaj narodowej instytucji Łużyckiej.

W ten sposób ruch odrodzenia, począwszy się w gronie młodzieży, rozszerzał się dalej i dalej i niecałe światło w ojczyściej mowie, budzi w chatach włościańskich ducha narodowego.

Podaliśmy w skróceniu dzieje niegdyś wielkiego Serbsko-Łużyckiego narodu. Dziś resztką jego mieszka w Dolnych i Górnych Łużycach, nad brzegami Sprewii (Spree), na przestrzeni zaledwie kilkudziesięciu kwadratowych mil geograficznych. Narodek ten dzielnie dotychczas broni się przeciw germanizacyi, a swoją literaturą i całym życiem duchowym, zadaje kłam tym wszystkim, co jak puszczyki głoszą od wieków rychły jego koniec.

Granice zamieszkiwanej przez Łużyczan przestrzeni można zgrubsza w następujący sposób określić: gdy od Biskopie (Bischofswerda) przeprowadzimy prostą linię do Kamieńca (Kamenz), stąd do punktu, o milę geograficzną oddalonego na zachód od Komorowa (Seufteberg), następnie gdy nakreślimy prostą linię do punktu także o milę na zachód od Drjowka (Trepkau), w końcu prosto podążymy do Lubniowa (Lübbenau), to będziemy mieli ogólnie nakreśloną zachodnią granicę etnograficzną Serbów Łużyckich. Gdy następnie z Lubniowa pójdziemy do punktu, gdzie stykają się granice trzech okręgów (Chociebuskiego, Gubińskiego i Lubińskiego) i pójdziemy nie

w prostej linii, lecz na pół drogi złamanej i o milę na północ w miejscu złamania odległej od linii łączącej dwa wspomniane punkty, to będziemy mieli północną granicę. Ztąd, idąc w prostym kierunku na Barszcz, Mużaków (Muskau), o pół mili na wschód za Mużakowem są jeszcze wsie serbskie), dalej milę geograficzną w górę po Nisie, a wreszcie do Lubija (Löbau) otrzymamy granicę wschodnią. Linija: Lubij — Biskopice stanowi etnograficzną miedzę od południa.

Ta wyspa etnograficzna, objęta powyższemi linijami, pomimo swej niewielkiej przestrzeni, nie jest jednolitą pod względem narzeczy mieszkańców; przeciwnie każdego zadziwić musi różnaitość gwar, dość znacznie różniących się od siebie *). Głównymi odłamami łużyckiego języka są narzecza górno i dolno-łużyckie. Granica polityczna pomiędzy brandeburską i szląską prowincyją dzieli mniej więcej etnograficznie łużycką ludność na północną dolno-serbską i południową górno-serbską. Mowy obu tych głównych etnograficznych odłamów łużyckiej ludności, choć mają wiele ze sobą wspólnego, do tyła jednak się różnią od siebie, iż lud górno i dolno-łużycki nie bez pewnej trudno-

*) Dr. K. E. Muka redaktor czasopisma *Łužica*, autor *Statystyki Serbów* oraz zbieracz pieśni łużyckich, wydał świeżo dzieło, uwieńczone w 1887 r. na konkursie Towarzystwa księcia Jabłonowskiego w Lipsku, p. n. „Historische und vergleichende Laut- und Formenlehre der Niedersorbischen (Niederlausitzisch-wendischen) Sprache“, w którym wylicza szesnaście dyjalektów języka łużyckiego. — *Red.*

ści wzajemnie zrozumieć się może, to też pisma i książki dla ludu muszą być oddzielnie dla każdej z tych grup drukowane.

Przyczyna wielkiej różnorodności gwar na małej ziemi serbsko-łużyckiej leży po części w dziejach tego kraju, a mianowicie w wielokrotnych rozbiorach politycznych. Daleko ważniejszą jednak przyczyną jest, mojem zdaniem, sam charakter ludności: cichy, spokojny Łużyczanin, przywiązany mocno do swej ojcowizny, obyczajów i mowy nie wyglądał po za najbliższą sobie okolicę, a odznaczając się wrodzonym konserwatyzmem, nie ulegał tak łatwo obcym wpływom. Cechy te charakteru Łużyczanina nie zostały bez wpływu na różniczkowanie się serbskiej ludności z biegiem czasu pod względem etnograficznym. Kto wie jednak, czy ów konserwatyzm, ta pewnego rodzaju zaściankowość Serbów nie były zarazem główną siłą, dzięki której Łużyczanie oparli się germanizacyi, gdy naokół zamieszkujący Serbowie ulegli wynarodowieniu.

Pomimo pewnych różnic w narzeczach łużyckich wszystkie one, w odróżnieniu od innych żyjących słowiańskich języków, posiadają wspólne sobie cechy. Jedną z najbardziej może wybitnych cech językowych jest posiadanie liczby podwójnej w odmianach rzeczownika i czasownika: wogóle w łużyckich narzeczach wiele jest form wspólnych z formami języka starosłowiańskiego.

Łużyczanie mieszkają przeważnie po wsiach, miasta bowiem z dawien dawna są niemieckie. Bardzo to

smutny fakt, gdyż miasta, wewnątrz kraju położone, są ogniskami germanizacyjnymi dla ludu serbskiego, dążącego tu ze wsi do fabryk. Wiadomem jest, iż ludność miejska i wogóle przemysłowa szybciej wzrasta, niż ludność wiejska, przez co stosunek procentowy, gdy tak dalej pójdzie, zmieniać się musi coraz bardziej na niekorzyść Serbów. Głównem miastem w Dolnych Łużycach jest Chociebuż (Kuttbus), liczący 40,000 mieszkańców, w Górnych Łużycach — Budyshyn (Bautzen), posiadający około 20,000 mieszkańców. Oba miasta są prawie całkowicie niemieckie, oba stanowią ogniska germanizacji na okolice. Ilość Serbów jest bardzo niewielka, wynosi bowiem ogółem, według obliczenia d-ra Muki, podanego w *Czasopiści Macey Serbskiej* (r. 1886), 166,067 osób. W tej liczbie Górno-Łużyczan jest 93,657, Dolnych zaś 72,410. Cyfry te, szczególnie co do Dolnych Serbów, uważam za przesadzone i mniemam, iż tych ostatnich nie ma więcej nad 50,000. Mniemanie to wypowiadam na podstawie własnych spostrzeżeń, wiele wsi bowiem, przezemnie poznanych, oznaczonych w pracy d-ra Muki za czysto serbskie lub przeważnie serbskie, są dziś już zupełnie, albo prawie zupełnie zgermanizowane.

Zważywszy, iż po za krajem jest (według d-ra Muki) przeszło 10,000 Serbów, za ogólną cyfrę Łużyckich Serbów przyjąć możemy 150 tysięcy. Znaczna większość Serbów jest wyznania ewangelickiego (luterńskiego); część tylko Górnych Łużyczan (około 10,000) jest katolicka.

Pod względem politycznym, jak i administracyjnym podzieleni na małe grupy, Serbi nie stanowią dziś w żadnej z prowincyj takiej siły, z którą by potrzeba było się liczyć; to też władze rządowe z całą zaciekłością pracują nad wytępieniem żywiołu serbskiego. Pod względem społecznym jest nie lepiej; szkoły (szczególnie w Dolnych Łużycach) przeważnie obsadzone są przez germanizatorów i ludzi wrogich dla Łużyczan. Kościół także w wielu parafjach służy dla celów germanizacyjnych, prawie wszyscy pastorzy bowiem w Dolnych Łużycach są germanizatorami.

Lud serbski przeważnie oddaje się rolnictwu; do niego jednak należy tylko drobna i średnia własność ziemska, większa bowiem prawie wyłącznie jest w rękach Niemców. Charakterystycznym jest to, że tam, gdzie są wielkie dwory, lud okoliczny bywa przeważnie biedny, mniej inteligentny i posiada przytem mniejszą oporność przeciw germanizacji; przeciwnie, gdzie dworów niema, widnieją bogate wioski łużyckich „burów“ (gospodarzy); tam też do wsi germanizacja dostać się nie może.

Inteligencja łużycka składa się, z małymi wyjątkami, z duchowieństwa i nauczycieli ludowych. Ludzie ci, zależni od władz wyższych, nie mogą działać zupełnie swobodnie i niezawisłe. Przy tem, pomimo ciągłego ucisku ze strony władz, między tą inteligencją przeważa wiernopoddanie, nie zawsze w tym stopniu spotykana u Niemców, i klerykalizm, tamujący przystęp nowym ideom. Te charakterystyczne cechy

z małymi wyjątkami przebijają się w całym piśmiennictwie serbskiem.

Obecnie na Łużycach wychodzi dziewięć pism peryjodycznych. Najdzielniej redagowaną jest *Czasopis Macicy Serbskeje*, wychodząca w półrocznych zeszytach. Pismo to poświęcone jest badaniom statystycznym, etnograficznym i lingwistycznym, odnoszącym się do Łużyc. Wogóle treść *Czasopisi* swoją gruntownością może tylko zaszczyt przynieść małemu serbskiemu narodowi; zasługa to przedewszystkiem redaktora pisma; ks. Michała Hornika, obecnego prezesa „Macicy“.

Niewątpliwie bardzo dobrem pismem jest belletrystyczny miesięcznik *Lužica*, poświęcony inteligencji serbskiej. Daje on wiele rzeczy oryginalnych, a także tłumaczeń z czeskiego i polskiego. Oba wyżej wymienione pisma drukowane są łacińskim alfabetem, czeską pisownią. Inne, ze względu na małą znajomość łacińskiego pisma u ludu, drukowane są czcionkami niemieckimi.

Do nich należą: *Bramborski Czasnik* (jedyne pismo w dolno-łużyckiem narzeczu); *Serbskie nowiny* (najwięcej rozpowszechnione); oba pisma są tygodnikami politycznymi. Prócz tego dla ludu wychodzą: *Serbski Hospodar*, *Pomhaj Boh*, *Katholski posoł*, *Misionski posoł* i *Misionski przeciěl*. Ogółem więc istnieje dziewięć pism na 150 tysięcy Łużyczan, a z tego ośm na sto tysięcy Górnych Serbów; jest to cyfra zdumiewająca, nadzwyczajna. Piśmiennictwo tak małego narodu, przez 1000 lat prawie germanizowane-

go i prześladowanego, złożonego z samych prawie włościan, tak rozwinięte — to rzecz niesłychana! Fakt ten służyć jednak może za dowód, że rozwój i byt narodów nie da się, jak to wielu uczynić próbuje, objaśnić jedynie za pomocą szablonowej formułki, opartej na liczebności narodu.

Nie zaprzeczając wielu dobrych stron pismom Łużyckim, muszę tu wykazać, moim zdaniem, bardzo wielką ich wadę, a mianowicie, iż we wszystkich prawie ludowych pismach serbskich nie widać konsekwentnie i otwarcie prowadzonej walki z germanizacyjnym systemem rządowym, nie spotyka się śmieiej wypowiedzianego oburzenia na nadużycia, popełniane przez powołanych i niepowołanych germanizatorów; przeciwnie, każdy numer pisma przepelniony jest wiadomościami dworskimi z Berlina, opowiadaniem o Moltkem, nieustannemi powtarzaniem o wiernopoddańczości Serbów i t. d. Za temi sprawami idą kwestyje kościelne, misyj afrykańskich, w końcu najszezupełniejsze miejsce zajmują wiadomości z kraju, a i te przepelnione są sporą ilością tendencyjnych wykrzykników przeciwko demokratom, burzycielom porządku społecznego. Walka z socyzalizmem jest może najważniejszą jeśli nie wyłączną pobudką do wydawania niektórych z tych pism. Przedstawienie socyzalistów jako najgorszych potworów, przekręcanie ich programów — oto zadanie takiego pisma, jak „Pomhaj Boh“. Na sprawy krajowe, na krzywdy, doznawane od Niemców, niema tam miejsca. Kiedy inne pisma serbskie jakie słóweczko o krzywdach powiedzą, to

tak łagodnie, iż nie może ono uczynić na czytelniku głębszego wrażenia.

W tem stanowisku pism łużyckich szukać trzeba przyczyny, iż rozbudzenie narodowe dzisiaj nie postępuje z taką szybkością, jakby powinno, nie przenika ono do biednego wyrobnika, do chat chałupnika nędznego i nie ochrania od germanizacyi robotnika fabrycznego. Ruch narodowy zatrzymał się w zamożniejszej klasie serbskich „burów“ (gospodarzy). Proletaryjat fabryczny i rolny musi widzieć w pismach łużyckich, jeśli nie wprost wrogie, to przynajmniej obojętne dla niego organy. To też oddaje się na usługi niemieckich partyj, które, w imię wspólnych interesów, przygarniają go ku sobie. Źle robi inteligencyja serbska, że na obecnem stanowisku ignoruje interesy ludu roboczego. Zamożna ludność rolnicza (włościańska), mało dzieląc swoją ziemię, powoli zwiększa się liczebnie. Przyrost ludności dąży głównie do miast; tu zajmuje się handlem lub rzemiosłem, głównie jednak dostaje się do fabryk i tam wynaradawia się wkrótce. Część, godząca się za robotników we dworach, również narażoną jest na germanizacyję. Ratować jak jednych, tak i drugich od wynarodowienia przez zajęcie się szczerze ich interesami za pomocą pism i słowa, to pierwszorzędne zadanie inteligencyi serbskiej, którego, niestety, dotychczas ona nie zrozumiała. Nie pochlebstwem, lecz otwartą walką z germanizmem i podniesieniem na swym sztandarze prawdziwych interesów nie tylko rolnego, lecz i bez rolnego ludu, Łużyce mogą uratować się od osta-

tecznego zgermanizowania i zapewnić sobie rozwój na przyszłość. Materyjał w tym małym narodzie jest znakomity; trzeba tylko umieć wydobyć z niego te skarby duchowe, które on posiada.

Z pism serbskich jedynie *Czasopis Macicy* i *Lužica* tętną szczerym patryotyzmem. Pierwsze szczególnie (jak np. w artykułach statystycznych dr. Muki) wykazuje nieraz nadużycia Niemców i na niejedną krzywdę się powołuje, ale pismo to nie dochodzi w znaczniejszej ilości do ludu, nie wpływa więc bezpośrednio na świadomość jego.

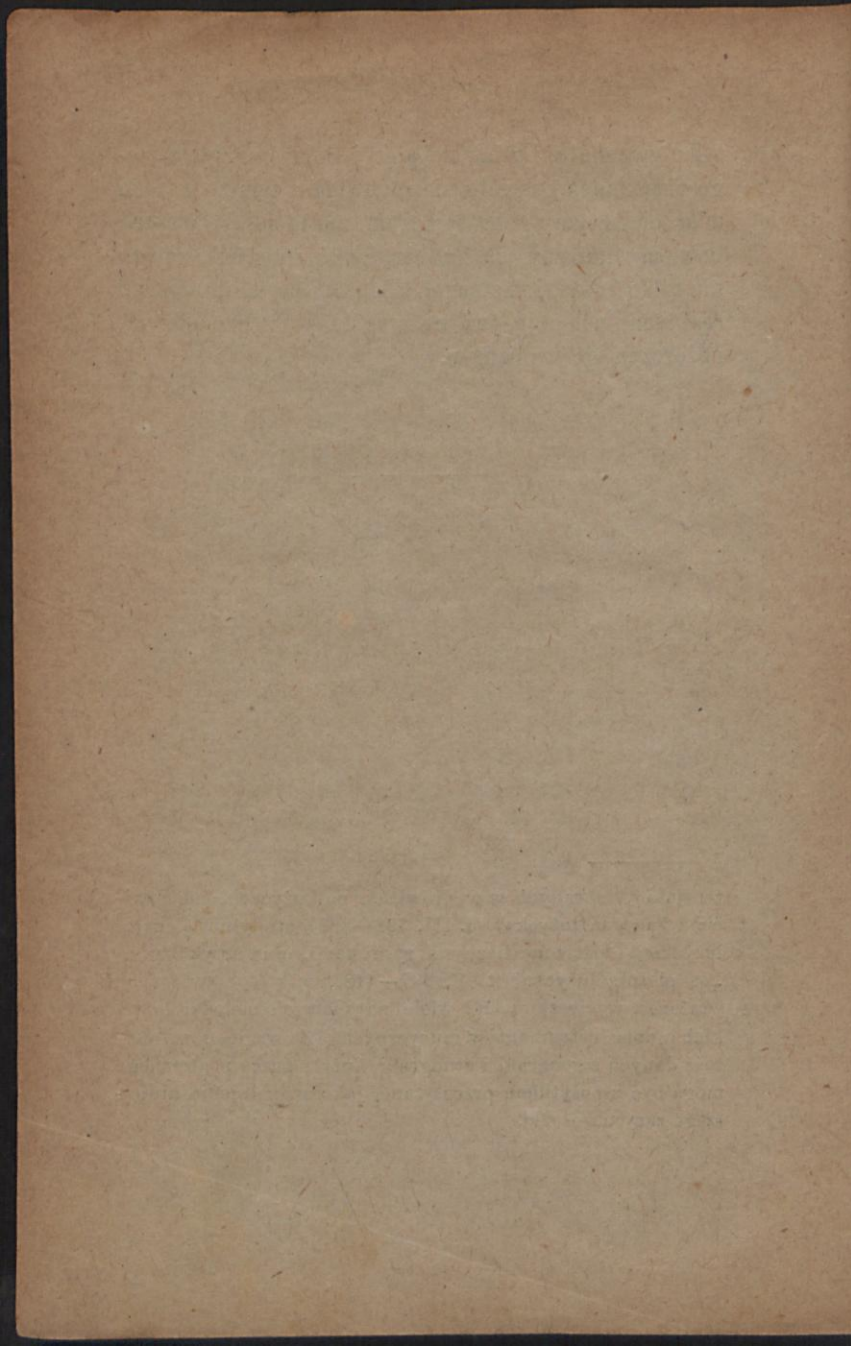
Mojem zdaniem, tylko otwarta i śmiała walka z żywiołem niemieckim, jaką prowadzą Czesi, a przytem obrona interesów ludu miejskiego i klasy robotniczej mogą jeszcze uratować tę garstkę Łużyczan.

W walce tej słowianie powinni wspierać, swych braci z nad Sprewy, wspomagając ich materyjalnie i duchowo. Obowiązek ten pojął nasz Kraszewski, zakładając stypendyjum dla uczącej się serbskiej młodzieży. Po jego śmierci z Polaków p. Alfons Parczewski i zaledwie paru innych zajmowali się gorliwie Łużyczanami, przychodząc im z materyjalną i duchową pomocą. Czesi pod tym względem niewątpliwie nas wyprzedzili. Szczególnie p. Czerny szczerze pomaga Serbom, pisząc do gazet łużyckich zbierając materyjały etnograficzne, oznajmiając wreszcie innych słowian z ruchem na Łużycach *). Życzyć by

*) P. Adolf Czerny, młody literat i etnograf czeski, napisał po polsku i umieścił w *Wiśle* dwie prace, ułożone z ma-

tylko wypadało, by jak najwięcej Polaków, idąc za jego przykładem, starało się zapoznać z tym ze wszechmiar ciekawym, pobratymczym narodem. Pamiętać bowiem wiśniemy, iż lud ten związanym jest z nami nie tylko krwią i historją, ale i obecnymi interesami realnymi, polegającymi na wspólnej walce ze słowia-nożerczym germanizmem.

teryjałów, zebranych w wędrówkach po Łużycach, mianowicie: „Zagroda łużycka“ (t. III, 338—369), studyjum o chacie łużyckiej, opatrzone licznymi rysunkami, oraz artykuł p. n. „Za pieśnią łużycką“ (t. V, 397—418), w którym w formie wrażeń z wycieczki podał wiele narodowych melodj łużyckich i opis instrumentów muzycznych. Ze względu na obfitość danych z geografii i etnografii Łużyc, prace p. Czernego mogą być z pożytkiem przeczytane, jako uzupełnienie niniejszego zarysu. — *Red.*



II.

WRAŻENIA

Z Dolnych Łużyc.

1. *W Chociebużu.*

W Chociebużu koło ewangelickiego kościołka, zwanego serbskim, ponieważ w tym języku nabożeństwo tam się odprawia, mieszka proboszcz parafii. Idę do niego. Wita mię uprzejmie i zaprasza siedzieć. Z powierzchowności jego sądzić można, że najmniej szósty krzyżyk liczy. Wyraz jego twarzy pocziwy i łagodny. Dowiedziawszy się, że wędruję po ziemi łużyckiej, żeby poznać kraj i ludzi, zawołał syna, bawiącego tu podczas feryj wielkanocnych.

Niebawem wszedł młodzieniec. Jest to piękny typ serbski: średniego wzrostu, o ciemnych włosach i oczach, energicznym wyrazie twarzy, lekko zgarbionym nosie i śmiałym spojrzeniu. Dowiedziałem się od niego, że studjuje literaturę słowiańską w uniwersytecie lipskim, że zna język polski i naszą literaturę.

Obydwaj, ojciec i syn, opowiadali mi o Dolnych Łużyczach i informowali w sprawach, o które się pytałem. Proboszcz ma się za Serba, Dolno-łużyżczanina, z większą jednak łatwością włada w rozmowie mową niemiecką. Jego syn—to gorący patryjota serbski, to dzielny syn narodu.

Wyszliśmy na spacer. Mijamy ulice miasta o czterdziesto-tysięcznej ludności. Wszędzie słyhać mowę niemiecką, niekiedy tylko serbską. Wtem na jednej z głównych ulic zaroilo się od serbskich narodowych ubiorów. Dziewczyny w różnobarwnych strojach napelniają ulicę i tłumnie idą, gwarząc między sobą w ojczystym języku. Ich krótkie spódniczki czerwone lub zielone, czarne lub kolorowe kaftaniki, barwny zawój na głowie z szeroko wystającymi z boków końcami, nogi odziane w różnokolorowe pończochy, wszystko to pociąga oko przechodnia. Czy śnisz, czy marzysz?.. Ulica, przed chwilą niemiecka, napelniła się Serbkami, gwarem słowiańskiego języka i klekotem trepek po miejskim bruku. Pytam się mych towarzyszy, co to znaczy?

— Zaraz, „kneź“, zobaczysz — odpowiedział mi młodzieniec.

Podeszliśmy jeszcze kilkadziesiąt kroków do jednego z domów, dokąd płynęła fala kraśnych dziewczyn serbskich. Fala ta rozplywała się na wszystkie strony, dążąc śpiesznie na prawo i na lewo. Nie na jednej twarzyczce widzieć można było uśmiech figlarny, wiele jednak nosiło wyraz smutku i zmęczenia.

Towarzysze objaśnili mi, że w domu, przed którym staliśmy, mieści się ogromna fabryka dywanów perskich; dziewczęta serbskie do tej fabrykacyi najlepiej się nadają, odznaczają się bowiem wielką pracowitością, dokładnością w robocie i poczuciem piękna. Tak więc i te dziewczęta serbskie od lat młodzieńczych pracują dla niemieckich kapitalistów, szyjąc im od rana do wieczora zbyt kowne dywany. Kapitalizm germański potrafił i tu wyzyskać dla siebie pracę i zdolności biednych dziewcząt słowiańskich.

Ruszyliśmy dalej po ulicach miasta; w końcu wstąpiliśmy na piwo do jednej z restauracyj. Zastaliśmy tu kilku jegomościów, którym mnie pastor przedstawił. Jeden z nich, staruszek siwiuchny, był to dawny gimnazjalny profesor serbskiego języka z tych czasów, kiedy język ten wykładano tutaj. Starowina poprzestaje dziś z Niemcami i dla tego rozmawiać w ich języku łatwiej mu, niż we własnym.

Pastor opuścił nas wkrótce. Pożegnałem się z nim serdecznie. Niebawem i reszta towarzystwa wyszła z restauracyi. Zostałem sam na sam z młodym Serbem. Pijąc piwo, rozprawialiśmy o rozmaitych kwestyjach; mówiliśmy o właściwościach mowy serbskiej i stosunku jej do innych słowiańskich języków, wreszcie o literaturach słowiańskich. Widać było, jak wielce interesuje się towarzysz słowiańszczyzną, jak chciałby poznać każdą z jej literatur.

— Sława naszemu Mickiewiczowi — zawołał mój towarzysz z zapalem. Trąciliśmy się kufłami i uściskaliśmy swe dłonie, poczem ja wzniosłem zdro-

wie Łużyckich Serbów w słowach ich narodowej pieśni: „Hiszcie Serbstwo nie zgubjene!“

Tręciliśmy się znowu, ale dotychczas ożywione oblicze mego towarzysza pokryło się smutkiem i boleścią. Nastąpiła cisza. Nie chciałem jej przerywać pytaniami, patrząc na zamyśloną twarz młodzieńca. Snadź nie błaha myśl gościła w jego głowie i bardzo go pochłaniać musiała, kiedy dopiero po paru minutach westchnął i począł mówić z żalem w głosie:

— Zgubjene, zgubjene. Nas taka garstka mała w tem wielkiem morzu germańskiem. Czyż podobna mu się oprzeć. Ja też myślałem dawniej, że to się da uratować jeszcze, ałem się łudził.

Pocieszałem go, wskazując na wspaniałą rozwój literatury i odrodzenie Górnych Łużyc.

— Górne Łużycy — co innego, te może ocaleją, ale nasze Dolne?.. Nie, wszystko zginęło! Wszystko stracone!

Mówił to z tak głębokim uczuciem, że widziałeś w nim całą rozpacz patryjoty, stojącego nad grobem swej ojczyzny.

— Nasz lud — ciągnął dalej — nie ma takiego zamiłowania do książek i gazet, jak górno-łużycki; on nie czyta, nie stoi o to, co jest u nas serbskiego i przez to łatwiej daje się wynarodowić. Nie mamy zresztą pism odpowiednich, język zaś górno-serbski od dolnego zbyt się różni, by książki i gazety, w nim pisane, mogły zyskać czytelników w Dolnych Łużycach. Mężczyźni nasi, mówił, nie są patryjotami nie kochają swego języka, zwyczajów i łatwo przy-

wykają do niemieczyzny. Tylko kobiety nasze są prawdziwemi patryjotkami, te kochają mowę ojczystą, ubiór, zwyczaje, one jedne jeszcze podtrzymują narodowość.

Po chwili dodał:

— Gdybyśmy mieli w Dolnych Łużycach takich patryotów, jakich miały Górne, gdyby tu był taki działacz, jak Smoler, może byśmy jeszcze odżyli. Potrzeba nam takich ludzi, którzy by się całkowicie poświęcili sprawie narodowej, potrzeba nam przytem — pieniędzy. Bez tych, naturalnie, nic się nie zrobi.

Oczy młodego Serba zajaśniały weselej; mówił on dalej, że gdyby był kapitał na założenie serbskiego dziennika politycznego i gdyby ten był odpowiednio redagowany, może dało by się za jego pomocą z rąk serbskich wytrącić tak chętnie czytane pisma niemieckie. Cóż, kiedy ludzi i środków nie mamy. I znowu posmutniało oblicze mego towarzysza, znowu pokryło się zadumą.

By go pocieszyć, mówiłem mu o odrodzeniu się Słowaków, zupełnie już na pozór wynarodowionych, ale to wszystko nie trafiało mu do przekonania.

— Słowacy — mówił on — przypierając do pozostałej Słowiańszczyzny, nie byli tak osamotnieni, my zaś tworzymy wysepkę etnograficzną wśród ogromnego germańskiego morza i do tego wewnątrz mamy miasta niemieckie. Z zewnątrz więc i z wewnątrz jesteśmy germanizowani! Jakiej siły i żywotności potrzeba, by się oprzeć wynarodowieniu?!

Godzina była późna. Wyszliśmy na miasto. Ja miałem odprowadzić mego towarzysza kawalek drogi, poczem wrócić do hotelu. Idąc jednak, takeśmy się zagawędzili, że dla dokończenia rozmowy umyślnie zboczyliśmy z drogi. Wreszcie doszliśmy do Sprewy. Tu stanęliśmy na środku mostka i słuchaliśmy szmeru jej wód. Noc była śliczna; księżyc odbijał smugę światła w falach rzeki; nikt nie przerywał ciszy. Byliśmy na moście sami; myśl moja unosiła mnie po Sprewie i ogarniała mały kraik serbski, badając jego przeszłość. Gdym wsłuchiwał się w szmer rzeki, ulegałem złudzeniu, że to płyną fale germańskie bezustannie, w jednym kierunku, zalewając słowiańską wysepkę. Doznawałem ulgi, gdym spojrział w pałające oczy mego towarzysza, z których biła duma i zaciętość bojowa...

2. *S z k o ł a.*

W Chociebużu, na Klasztornej ulicy jest piekarnia, w której zawsze można dostać filiżankę dobrej kawy. Właścicielką tej piekarni jest Serbka, to też Serbi chętnie zechodzą się tu na kawę, przy której prowadzą ożywioną rozmowę. Bywa to szczególnie w dni świąteczne, po skończonem nabożeństwie. Dziś dzień pracy, więc pusto w piekarni; od czasu do czasu zaledwie drzwi się otwierają i wchodzi ktoś, prosząc o chleb i bułki. Weszła też dziewczyna w serbskim stroju, od stóp do głowy czarno odziana i przywitała nas zwykłym łużyckiem pozdrowieniem „pomhaj Bogu”.

Czarny jej kaftanik i krótką, nieco za kolana sięgającą, spódnica tegoż koloru pięknie harmonizowały z rumianą twarzyczką ich właścicielki. Pończoszki miała też czarne, na głowie czarny zawój morowy. Świeżutki ubiór robił bardzo przyjemne wrażenie; pozbawiony jaskrawych kolorów dawał możność porównania z innymi strojami. Każdy, kto nie ma gustu spaczonego dzisiejszą cywilizacją, przyznać musi, że narodowy strój serbski o wiele przewyższa swą pięknością dzisiejsze modne ubiory kobiece.

Właścicielka stroju dumną była też z niego. Gdy bowiem sklepiczarka, z którą byłem już zawiązał rozmowę, oznajmiła dziewczynie, że jestem Polakiem i że mi się bardzo serbski kraj podoba, uśmiechnęła się i poczęła z nami rozmowę. Opowiadała ona, że widziała nieraz Polki, przychodzące w te strony na robotę.

— Jak one śmiesznie się ubierają! — zawołała. — Nie mają one wcale takiej pięknej „drasty” (ubioru), jak nasza. Tu zaczęła opowiadać o wyższości stroju serbskiego nad ubiorem polskich dziewczyn. Polki na przykład kładą byle jak chustkę na głowę, doprawdy to tak zabawnie! Tu poczęła się śmiać serdecznie swym srebrnym dźwięcznym głosem.

Z opowiadania dziewczyny można było wnosić, jak kochała ona tę swoją „drastę”, jak przywiązaną była do swego narodowego ubioru. Nie mogła np. pojąć nawet, jak można inaczej ubierać się niż ona, inaczej zawiązywać chustkę na głowie!

I cóż w tem dziwnego, że to dziewczę z ludu uważa strój swój za piękny, kiedy człowiek obcy nie może mu odmówić prawdziwego wdzięku. Strój jej to wytwór ludowego przemysłu łużyckiego.

Wyszła dziewczyna, szeleszcząc świeżutkimi szatami i klekocąc trepkami, a ja, dopiwszy kawy i pożegnawszy sklepiczarkę, puściłem się w drogę.

Szedłem do Popoje. Droga prowadziła przez dużą wieś Gołkojce. Czulem, że jestem w rdzeniu Dolnych Łużyc. Po drodze spotykam prawie wyłącznie Serbów i barwnie ubrane Serbki.

Piękna to okolica. Na około widzę ślicznie uprawione pola, zielone łąki, wreszcie świecące czerwonymi dachami wioski. Po godzinie drogi wchodzę do Gołkojce. Tu na wstępie spotykam dzieci, wracające ze szkoły i gwarzące między sobą w rodzinnym języku. Hurma dziewczątek w prześlicznych narodowych strojach i małych chłopców biegnie wesoło. Jedne uciekają, drugie ich doganiają. Nie jedna dziewczynka gubi w podskokach swą trepkę i biegnie po piasku w barwnej pończoszcze, zanim, opatrzywszy się, wróci po zgubę i resztę dzieci dopędzi.

Gołkojce należą do najpiękniejszych wsi, jakie nie tylko w Łużycach, ale wogóle w mem życiu widziałem. Przez wieś ciągnie się szeroka droga, po bokach której stoją duże murowane zabudowania gospodarskie. Domki mieszkalne wyglądają pręcej na wille lub pałacyki, z których niejednen mógł by stanąć w Warszawie w Alejach Ujazdowskich i nie być tam ostatnim.

Nie mam czasu długo tu bawić, oglądam więc pobieżnie zabudowania i zmierzam do Popoje.

Jużem pół drogi uszedł do celu, gdy za sobą ujrzałem Serbkę, idącą z wielkim koszem na plecach. Zwolniłem kroku tak, iż wkrótce mię dogoniła.

— Pomhaj Bog — rzekłem.

— Bog dziękuj — odpowiedziała dziewczyna na moje pozdrowienie.

— A dokąd to idziecie? — spytała.

Powiedziałem jej, dokąd zmierzam i prosiłem o wskazanie drogi. Okazało się, że moja Serbka rodem jest z Popoje i wraca do domu z miasta, sprzedawszy tam wiejskie produkty. Skorzystałem z tej sposobności i poszedłem z nią razem.

Serbka szła prędko, tak, iż musiałem nogi dobrze wyciągać, by nadszyc jej kroku.

Serbki odznaczają się w ruchach pewną giętkością i delikatnem bujaniem przy stapaniu. Idąc, wysuwają nogi więcej naprzód, a nie podrzucają w tył, jak to bywa zwykle. Pochodzi to zapewne z przyzwyczajenia, nabytego wskutek noszenia trepek. Trepki owe okrywają tylko palce małymi noskami, cała zaś stopa spoczywa swobodnie na podeszwie, niczem nie oblamowanej. Ztąd pochodzi ów klekot, niby klaskanie przy stapaniu, ztąd charakterystyczny ruch nóg i do pewnego stopnia przechylenie całego ciała naprzód. Lekki chód Serbski potęguje wrażenie kołysania przy odpowiednim ruchu szeroko nastroszonej spódniczki i długo wystających końców zawoju. Obserwującemu ten ruch oryginalny zdaje się, że dziew-

czę nie chodzi, lecz podlatuje, ledwo dotykając stopami ziemi.

Tak też szła towarzysząca mi dziewczyna.

Zbliżaliśmy się do Popoje. Towarzyszka opowiadała mi o wsi, kościele i szkole. Szczególnie zaś wychwalała p. Jordana, nauczyciela wiejskiego, do którego właśnie zmierzałem. Powiedziała, że w całej okolicy niema lepszego człowieka nad niego, ale też i dzieci popojskie nie zapominają języka ojczystego, lecz każde potrafi dobrze czytać i pisać po łużycku.

— We wsi „wszychno Serskie; niemskie nic“ — mówiła, uśmiechając się tryumfująco.

Gawędząc tak, doszliśmy do wsi. Pożegnałem tu moją towarzyszkę i poszedłem według jej wskazówki do szkoły.

W tej chwili odbywała się lekcycja, a raczej egzamin w niższej klasie. Z izby szkolnej dolatywały mię dziecięce odpowiedzi i od czasu do czasu głos pana Jordana, nauczyciela tutejszego, a zarazem łużyckiego pisarza.

Oznajmiony o mojem przybyciu wyszedł i serdecznie mię przywitał. Jest to mężczyzna średniego wzrostu, w pełni sił. Brodę i wąsy ma wygolone na wzór naszych włościan ze Szląska austriackiego, do których i z rysów twarzy Serbi łużyccy wiele mają podobieństwa. Na twarzy jego maluje się spokój i energija. Przeczuwając, jaką tem zrobi mi przyjemność, wprowadził mię do szkoły.

Egzamin właśnie miał się ku końcowi. W ławkach siedziało do stu małych dzieciaków: drobniejsze

na przedzie, większe po za niemi. Dziewczęta w jaszkrawych strojach narodowych i czerwonych zawojach wyglądały w ławkach jak makówki. Każde najmniejsze wstrząśnienie główką odbijało się na szeroko wystających końcach zawoju. Nie widziałem ładniejszego ubioru dla dzieci nad dolno-łużycki; a jednak, jak pisze dr. Muka, na ten strój narodowy dziewczynekstawali nieraz germanizatorscy nauczyciele i niejeden z nich „kapicę” z głowy im zrywał.

Egzamin miał się ku końcowi.

— Pokażcie prawą rękę! — zawołał nauczyciel.

I wnet kilka rzędów dziecięcych rączek ukazało się nad ich główkami.

— Co to jest? — pyta nauczyciel, pokazując tablicę.

— „Krooowa” — odpowiadają przeciągle dzieci.

— A to co? — pyta nauczyciel, pokazując dzieciom rysunek wielbłąda.

— „Kameel” — brzmiała śpiewnie gromadna odpowiedź.

Dzieci poznawały potem konia, psa i inne zwierzęta, w końcu mówiły, do czego każde z nich służy.

Lekeyja skończona.

Dzieci powstały i popłynęła w dzieciennym szczeniobocię łużyckim modlitwa:

— Wosze nasz, kenż sy na niebju, huświecione buzi Twojo mie, przyż k nam Twojo kralejstwo, Twoja wola se stań, ako na niebju, tak też na zemi; nasz szedny klieb daj nam zins, wodaj nam nasze winy,

ako my wodawamy naszym winikom, a nie wieź nas do spytowania, ale humoż nas wot tego złogo. Amen.

Kiedy umilkła dziecinna modlitwa, nauczyciel zakomenderował zbieranie książek. Dzieci w jednej chwili były gotowe. Nastala cisza. Wszystkie oczy zwrócone były ku profesorowi w oczekiwaniu sygnału.

— Do domu! — wymówił nauczyciel.

Dzieci drgnęły. Widać, z jaką niecierpliwością oczekiwały tych słów, tej chwili, w której będą mogły dostać się na dwór. Jednak nie wyszły razem, lecz po jednym, w porządku następujących po sobie ławek.

Kiedy wyszły, głucho zrobiło się w sali. Nie widać naiwnych dziecięcych twarzyczek, nie słychać zbiorowej, jak błyskawica prędkiej odpowiedzi... Zostały tylko puste ławki i mileżące na ścianach cesarskie portrety.

3. Błota.

Po gościnnem, prawdziwie słowiańskiem przyjęciu, p. Jordan zapronował mi wspólną wycieczkę do Borkowej, gdzie się zaczyna okolica, zwana „Błotami“ (po niemiecku „Spreewald“). Jest to przestrzeń ziemi, okryta siatką dopływów Sprewy, połączonych ze sobą kanałami. Z wdzięcznością przystałem na propozycję, gdyż wiedziałem, że wycieczka w towarzystwie p. Jordana będzie podwójnie korzystną. Nie czekając długo, wyruszyliśmy w drogę.

Szliśmy dobrym krokiem. Pan Jordan opowiadał mi po drodze o Łużycach, jej narzeczach, literaturze i dziejach. W jego spokojnej twarzy widziałem przywiązanie do rodzinnej mowy i wypływające ztąd poczucie opowiazku pracy dla serbskiego ludu.

Zna on swój kraj i lud doskonale, to też jego literacka praca tak na naukowo-etnograficznem polu, jak też i praktycznem jest bardzo użyteczna. Trzeba podziwiać ten dar popularyzowania wiedzy i szerzenia światła, z jaką on to czyni za pomocą swych ludowych książeczek. Nie dziw, że z pod jego pióra mogła wyjść tak dobra pod względem pedagogicznym rzecz, jak *Cytańka*. Na ośmdziesięciu kilku stronicach znajdziesz tam i elementarz, wykazujący różnicę pisowni serbskiej przy alfabecie niemieckim a łacińskim; jest tam następnie kilkadziesiąt bajek i opowiadań, krótki rys dziejów Serbów-Łużyckich, wreszcie kilka śpiewów narodowych.

Szliśmy wśród pól, na których gdzieniegdzie widniały, jak polne kwiaty, różnobarwnie odziane Serbki.

Prowadziliśmy rozmowę o świeżo przeze mnie przeczytanej statystycznej pracy d-ra Muki, umieszczonej w „Ozasopisi Macicy serbskiej“. Cyfry w niej podane wydały mi się niezupełnie dokładnemi, przynajmniej co do pewnych, lepiej poznanych przezemnie okolic. Moje wątpliwości potwierdził p. Jordan, zapewniając, iż Górnych i Dolnych Serbów nie ma więcej nad 150 tysięcy; cyfrę zaś Dolnych Łużyczan pan J. oblicza na pięćdziesiąt kilka tysięcy. Głównie

więc, cyfra dolno-serbskiej ludności jest u d-ra Muki wygórowaną.

Gwarząc w ten sposób, szliśmy rażno i sporo.

Towarzysz opowiadał mi wiele bardzo ciekawych szczegółów, dotyczących się stosunków miejscowych. Nie przypuszczałem jednak, by on, ten człowiek czynu, ten Serb duszą i ciałem, zapatrywał się tak czarno na przyszłość Łużyc. Na moje wszakże zapytanie w tej kwestyi roześmiał się, ale śmiechem nie wesołym, lecz tym, co gardło dławi, co pierś rozdziera.

— Cóż, zgermanizują nas pomału, — odpowiedział po krótkim milczeniu. — Pastorowie, nauczyciele wiejscy, dwory, miasta, wszystko, co nas otacza wynaradawia ten lud; z góry płyną nagrody za zasługi położone na polu germanizacyi. Górne Łużycy więcej jeszcze się opierają, ale Dolne ulegną w końcu.

Czyż i ten mężny człowiek nie ma nadziei? — pomyślałem — i ten pracownik idzie bez wiary w przyszłość, przekonany o konieczności zniknięcia ludu, dla którego pracuje? Nie pytałem go więcej. Szliśmy długi czas w milczeniu. Pewnego rodzaju uczucie niechęci do towarzysza mieszało się we mnie z uwielbieniem dla jego zasług. Chciałem widzieć w tym człowieku istotę, która wśród najgorszych okoliczności nie wątpi w zwycięstwo sprawy, dla której pracuje; teraz, gdy się rozczarowałem, tembardziej musiałem podziwiać w nim siłę woli, która w imię poczucia obowiązku, pomimo zwątpienia, pchała go do pracy dla małej ojczyzny.

Mileczenie nasze przerwał w końcu p. Jordan, opowiadając mi w dalszym ciągu o germanizatorach, o rozmaitych rozporządzeniach rządowych, mających na celu wynaradawianie Łużyczan, o małej ilości szczyrych Serbów między księżmi i nauczycielami, wreszcie o braku koniecznych środków do stawienia Niemcom skutecznego odporu. Serce mi się ścisnęło, gdy słuchałem tego opowiadania; każdy fakt przytoczony z historii krzywd bezustannych okrywał w moich oczach ziemię serbską mrokiem i czynił z niej jedną bolesną ranę Słowiańszczyzny.

Tymczasem zbliżaliśmy się do celu.

Towarzysz wskazał mi w oddali długi łańcuch chat rozmaitej wielkości.

— To Borkowy — rzekł — wieś, licząca blisko pięć tysięcy mieszkańców.

Osada, do której zbliżaliśmy się, ciągnęła się na przestrzeni kilku wiorst, tak, iż końca jej nie było widać. Dowiedziałem się od mego towarzysza, że dolno-łużycka gazeta *Bramborski casnik* przychodzi do tej jednej wsi przeszło w stu egzemplarzach, a każdy numer tego pisma czytany bywa nie tylko przez prenumeratora, lecz często obiega sąsiadów. Wiadomość ta rozweseliła mnie trochę. Ten lud, tak szczerze garnący się do pism serbskich, przecie potrafi się oprzeć germanizmowi; samowiedza i poczucie narodowej odrębności zwycięży w końcu brutalną siłę germańskich najeźdźców.

Weszliśmy do wsi. Zabudowania jej prędkiej przypominają miasteczko, niż wiejską osadę. Cztery

szkoły ludowe, agentury różnych towarzystw, sklepy, fotograf, wszystko to daje do zrozumienia, iż Borkowy to nie mała wioska, lecz ogromna osada rolnicza.

Gwarząc doszliśmy do Sprewy. Tu, koło młyna siedliśmy w czołno i popłynęliśmy w dół rzeki.

Wieczór był spokojny. Małe chmurki na niebie zdawały się być przykutymi na miejscu, tak trudno było ich ruch zauważyć. Miły chłodek orzeźwiał i czynił zdolnym do zachwytów na widok cudownej przyrody. Bo też prawdziwie śliczną była ta przejażdżka w łódce: co chwila mijaliśmy zielone pola i łąki nadbrzeżne, to znów znikaliśmy w długim, z wyniosłych olech utworzonym tunelu. W oddali widniały chaty i zabudowania włościańskie. Czasami mijaliśmy chatę, tuż nad brzegiem stojącą i jednym bokiem kąpiącą się w wodzie; uwiązane przy nich czołna świadczą, że woda gra tu rolę zwykłego traktu. Przekonywamy się wkrótce, iż tak jest w rzeczywistości: wypływamy co chwila na rozstajne drogi, w szersze lub węższe kanały, przecinające rozgałęzione koryto rzeki. Tu spotykamy łodzie, wiozące powracających z pola włościan i włościanki, tam gospodarza na czołnie pełnem nawozu, wywożonego na pole. Cisza dookoła: tylko lekki plusk wody przypomina, że te prześliczne widoki, przesuwane się przed oczyma, to nie ułudą, lecz rzeczywistość, że te prawdziwe cuda natury, ten kraj piękny, to kęsy ziemi słowiańskiej. Smutek przejmuje duszę, na myśl, że ta kraina stać się może pastwą germanizmu; pociesza jednak tylekroć w dziejach jednostek, jak i narodów, sprawdzone zda-

nie, które lud serbski ujął w formę przysłowia: „Chtoż jan to cuze poxeda, ton swoje lażko przidawa,“ co na polski da się przetłómaczyć: „Kto cudzego pragnie, ten łatwo swoim przepłaci“.

Czas już wielki, by się przysłowie to i na Niemcach sprawdziło.

4. *Do Wietuszowa.*

W Borkowej zmuszony byłem przenocować.

Gospoda „Zum schwarzen Adler“ należy do Niemca, gorliwego, ma się rozumieć, germanizatora, nie z nakazu, lecz z własnych popędów. Tacy ludzie nie są tu wyjątkami, przeciwnie każdy prawie Niemiec, osiadły wśród Łużyczan, gorliwie pracuje nad wynarodowieniem tubylczej ludności serbskiej.

Zjadłszy podwieczorek w gospodzie, pożegnałem towarzyszącego mi dotychczas p. Jordana. Musiał wracać do domu, ponieważ nazajutrz czekała go w szkole zwykła praca.

Czułem się porządnie znużony długą całodzienną podróżą, to też wcześniej niż zwykle udałem się na spoczynek. Zabawny sen miałem tej nocy, który do dziś dnia tkwi mi mocno w pamięci. Dziwnie fantastyczne kojarzą się we śnie wyobrażenia. Najsprzeczniejsze i najniemożliwsze fakty i pojęcia łączą się ze sobą, tworząc najczęściej dziwaczne obrazy. Tak było i ze mną tą razą. Treść snu została mi dotychczas w pamięci, a ponieważ pozostaje ona w pewnym związku z moją podróżą, przeto ją opowiem.

Złożyły się na nią świeże wrażenia z jednej, a pamięć biblijnego snu Józefa z drugiej strony.

Śniło mi się mianowicie, że siedm krów chudych przywędrowało z pod samego Renu aż nad brzegi Elby, Warty i Wisły. Tu spotkały się z całym stadkiem tłustych krów tubylezych, z dziada pradziada pasących się tutaj na żyznych i pięknych łąkach. Tymczasem nienasycone krowy chude zjadały tłuste. Patrzyłem na to pożeranie tubylezych krówek przez obce i za każdą nowo połknietą ofiarą byłem przekonany, że żarłoczne zwierzęta pękną; jadły jednak dalej z coraz bardziej wzrastającym apetytem. Podczas gdy te stały się bardzo tłustemi, wiele z pozostałych krów tubylezych pochudło znacznie. Jedna szczególnie, pochodząca z nad Wisły, drobna, chuda, jak nieprzymierzając nasza chłopska krowina z okolic Łagowa lub Staszowa, wpadła bardzo w oko żarłocznym nadreńskim krowom. Patrzyłem z obawą, czekając, co z tego wyniknie, gdy wtem usłyszałem pukanie i niemieckie słowa. Nie mogłem zrozumieć na razie treści wyrazów. Byłem z początku pewien, że to tłusta krowa pyta chudą w rodzinnej mowie, czy pozwała się pożreć. Tymczasem stukanie się powtórzyło. Ocknąłem się. Dobijała się do drzwi mej izby właścicielka gospody, pytając, czy może przynieść mi wody do mycia.

Nie wiem, czy zły byłem na hotelową, że mi mój sen przerwała, czy na siebie samego, że mię ten sen tak mocno zainteresował, dość że byłem w złym humorze. Zły na świat cały, a na siebie najbardziej

ubrałem się prędko, wypilem kawę i wyruszyłem śpiesznie w drogę.

Świeże powietrze i piękne widoki orzeźwiły mnie trochę i rozweseliły.

Szedłem po okolicy tak oryginalnej, a tak ciekawej i pięknej, że wspomnienie jej nigdy w mej pamięci się nie zatrze. Naokoło, jak okiem dosięgniesz, równiutka płaszczyna; na niej łąki i pola poprzecinane gęsto rowami, nad którymi rosną rzędy wyniosłych, równych olszyn. Snadź od dzieciństwa dbała o nie opiekuńcza ręka; i dzisiaj widać jej ślady: krwawe rany na olchowem ciele po odpiłowaniu zbytucznych gałęzi. Pola, pocięte w prostokąty, tworzą śliczne małe polanki wśród olchowego lasu, pokrywającego okolicę. Polany te widzisz naokół otoczone równymi ścianami drzew, przez których gałęzie, огоłocone jeszcze z liści, prześwieca w pewnej odległości drugi szereg drzew, dalej trzeci, czwarty, a za temi domyślasz się wielu podobnych ścian roślinnych. Czy może być coś piękniejszego od tego krajobrazu?... Otoczony jesteś rzędami drzew, a widzisz po za nimi daleko wokoło!.. Drzewa nie zacieśniają horyzontu, lecz przeciwnie zdają się rozszerzać go tylekrotnie, ile szeregów drzew twój zwrok i myśl przeniknąć są w stanie. Co parę minut wchodzisz na nową polanę. Widoki się zmieniają jak w kalejdoskopie; zdaje się, widzisz wciąż te same pola i te same drzew szeregi, a jednak każdy z tych obrazów, zjawiających się przed tobą, inny nosi charakter: jeden piękniejszy od drugiego. Mijam wieś Myszyn i Niebożkojce, położone

wśród tych uroczych polan. Tu spotykam sporą ilość starych chat czysto serbskich, z ich oryginalną a malowniczą strukturą; obok nich jednak widnieją nowe murowane domy włościan łużyckich. Wsie te są do dziś dnia rdzennie serbskie i zwracają uwagę przechodnia czystością chat i zamożnością mieszkańców.

Patrząc na te duże domki, na bogatych włościan tutejszych, mimowoli przenosisz się myślą na wschód, hen nad Wisłę i pytasz: czemu u nas inaczej? Czemu ziemi w naszym kraju tak dużo, a chleba dla pracujących tak mało?.. Widzisz tam myślą gromady głodnych i źle odzianych dzieci wiejskich i ciągnące za morze tłumy nieszczęśliwych wychodźców... Słyszysz ich płacz na drugiej półkuli za swoją ziemią rodzinną i narzekania na dolę nieszczęsną i pytasz znowu: czemu?..

Idziesz wśród pól serbskich i to zapytanie powtarzasz w myśli po sto razy i nie znajdujesz nań odpowiedzi. Czyż nikt i nie ci na nie nie odpowie? Nie, to być nie może! Żądasz odpowiedzi od tych łąnów zbożem zielonych, od tej natury pięknej, która, zdaje się, potrafi współczuć i myśleć z tobą wspólnie... I wśród tych polan przecudnych, gdzie prócz słońca nikt na cię nie patrzy, wyrywa się z ust twoich długo w myśli tajone pytanie... Lecz drzewa zdolne są tylko powtórzyć nam to nieszczęsne pytanie, bo odpowiedź tylko sami i jedynie w nas samych znaleźć możemy!..

Wśród tych pól zielonych doszedłem do Zaszo-wa. Tu zmienia się okolica. Nie widać więcej ro-

wów, wysadzanych drzewami; ziemia tu już lichsza, więc i ludność uboższa. Równe piaszczyste pola wydają mi się bardzo monotonnemi w porównaniu z urodzajną i piękną ziemią, z której przyszedłem.

Dochodzę nareszcie do Wietuszowa, fabrycznego miasteczka. Wstępuję do miejscowego pastora. Wyszedł do mnie w szlafroku i pantoflach. Oznajmiam mu, iż wędruję po Łużycach, by poznać kraj i ludzi.

— No dobrze, chodzisz pan po Łużycach, ale czego właściwie chcesz pan odemnie? — zapytuje po niemiecku pastor.

— Przyszedłem tu z rekomendacyi pana Jordana z Popoje, który polecił odwiedzić po drodze księdza dobrodzieja.

— Jordan, tak, znam... No, siadaj że, pan, proszę!

Tu zaczął wypytywać się, zkąd i dokąd idę; dowiedziawszy się wreszcie, że jestem potrosze rolnikiem, radził, bym obejrzał okoliczne gospodarstwa.

— Znajdziesz pan tam dobrą hodowlę bydła, świń... — tu złożył usta w ten sposób, jakby ostatnie słowo przypomniało mu smaczną pieczeń wieprzową.

Cheąc sprowadzić rozmowę na inne tory, zacząłem wypytywać go o okolicznych mieszkańców, ilości serbów w jego parafii, wreszcie z jakich stron jest rodem?

— Ich bin ein geborener Wende *) — odpowiedział pastor, który nie mówił po serbsku, wyżej wi-

*) Tem mianem nazywają Niemcy Serbów łużyckich.

docznie ceniąc mowę niemiecką. I zaczął opowiadać o okolicy Wietuszowa.

— Na zachód od miasta po większej części mówią już po niemiecku — objaśniał pastor — na wschód jeszcze po serbsku. Co zaś do kazań, to mówię je w obu językach, ale niemieckie coraz liczniej bywają uczęszczane kosztem serbskich. Tu uśmiechnął się z zadowoleniem; widocznie był to plód długoletniej jego pracy.

— Czyżby Łużyczanie tak łatwo mieli się wynaradawiać? — zapytałem.

— Za sto lat — odrzekł — nie będzie ani jednego mówiącego po serbsku! Wiesz pan zapewne — opowiadał — że siola serbskich słowian ciągnęły się przed wiekami daleko na zachód, za Elbę i Saalę, a teraz została ich tylko mała garstka; zgermanizowanie jej — to jedynie kwestya czasu... Pan musisz wiedzieć — ciągnął dalej, paląc cygaro — że podobny proces odbywa się dziś w Poznańskim, Szląsku i Prusach zachodnich; dziś germanizacyja posunęła się daleko w polskie ziemie. Tu, jak i tam odbywa się ten sam wieki trwający proces. Słowiańszczyzna ustąpi wreszcie cała przed wyższą niemiecką kulturą. To rzecz nienukniona.

Mówił to wszystko z takim spokojem, z taką obojętnością, iż nie można było patrzeć nań bez zdziwienia. Dotychczas pojąć nie jestem w stanie, jak można na polu, gdzie od wieków wre zacięta walka plemienna, zachować najzupełniej zimną krew i obojętność.

Pastor, nie mieszając się do walki, zajmuje wyłącznie wygodne stanowisko widza. Kwestyję słowiańsko-germańską uważa on już za rozstrzygniętą, nie czuje więc potrzeby, ani nie widzi najmniejszej korzyści przeciwdziałania jej rozwiązaniu.

Wyobrażam sobie, jaki wpływ ma ten pastor na swoje owieczki! Nie dziwnego, że jego niemieckie kazania coraz bardziej, a serbskie coraz mniej uczęszczane bywają.

Wyszedłem z plebanii wzburzony. Przebiegłem miasto ku dworcowi kolejowemu, by się dowiedzieć, jak prędko wychodzi pociąg do Chociebuża. Chciałem coprędzej uciec z tego miejsca krzywdy i upokorzenia.

Pociąg wychodził za dwie godziny dopiero. Nie mając nic do roboty, ruszyłem szosą ku Chociebużowi i wkrótce skręciłem na prawo. Za małym laskiem ukazała się moim oczom nędzna wioszczyna; to Łobozice. Jakże niepodobna ona do tak blisko położonych, a tak pięknych wsi, przez które przed paru godzinami przechodziłem. Drobne lepianki o małych okienkach świadczą, iż w nich mieszkają nędzarze. Szukasz przyczyny tej nędzy i nie możesz jej dostrzedz, ale rzuca ci się w oczy, jako rażący kontrast, stojący za lepiankami wyniosły pałac; to dwór. Rodzi się mimowoli pytanie, dlaczego w wioskach, gdzie się dwory znajdują, lud zwykle taki biedny?

By odpowiedzieć na nie, dość jest głębiej wniknąć w życie robotników wiejskich, poznać ich ciężką dolę i wyzysk pracodawców.

Nieco dalej podchodzę do pracujących ludzi w łachmanach, by się coś o wsi dowiedzieć, ale na moje serbskie pozdrowienie — śmiech tylko szydeczy otrzymuję w odpowiedzi. Odechodzę z żalem i pytam w duszy: Kto winien nędzy materyjalnej i moralnej mieszkańców tej biednej wioski?..

III.

WRAŻENIA Z Górnych Łużyc.

1. „Wulka kolbasa“.

Jękneły dzwony z wież ewangelickiego kościoła w Wojareccach, zwołując lud okoliczny na nabożeństwo. Ja tymczasem szedłem drogą do Kulowa. Od-
dalając się od miasta, długo słyszałem granie dzwo-
nów, unoszone przez wiatr po polach i wioskach. Chwilami wiatr ucichał, lub na swych lekkich falach
niósł muzykę tajemną w inne zwiastować strony, a wte-
dy, gdy mi się zdawało, że miasto zamilkło, że dzwo-
ny już jęczeć przestały, niespodzianie lekki wietrzyk
znowu przynosił drgania dźwięków z dalekich wież
kościelnych.

Wszystko w końcu zamilkło.

Idę drogą samotny; niekiedy zaledwie spotykam
kogoś, co zapóźniwszy się dąży śpiesznie do miasta
na nabożeństwo.

Po dwugodzinnej drodze dochodzę do miasteczka Kulowa. W tutejszym katolickim kościele już msza skończona; tylko lud głośno odmawia modlitwy w ojczyściej, serbskiej mowie. Tysiące ust łączą wspólnie prośbę do Boga; echo powtarza ją wielokrotnie i modlitwa rośnie w jedno wielkie błaganie, zda się, z jednej, wielkiej a gromadnej piersi wznoszone.

Już modły skończone, wychodzę z kościoła, by udać się do poleconego mi studenta teologii. Znajduję go wreszcie ze swym kolegą z Hozka. Obaj są uczniami seminaryjum we Wrocławiu; obaj studyjują tam, by później pracować na rodzinnej ziemi, dla rodaków. Młodzieniec z Hozka zaprasza nas do swego domu, gdzie dnia tego z powodu zabicia wieprza ma miejsce przyjęcie, zwane u Serbów „wulka kołbasa.“

Hozk od Kulowa położony jest o pół godziny drogi. Nie obejrzałem się, kiedy przestrzeń tę przebyłem na pogawędce z towarzyszami. W Hozku rodzice młodzieńca przywitali mię uprzejmie i siedzieć prosili. Izba tymczasem napełniała się zwolna włościanami i włościankami, proszonymi na obiad. Gdy wszyscy goście się zeszli, obsiedliśmy stoły. Gospodarze, ich parobcy i goście jedzą i gwarzą wspólnie. Po zupie z wieprzowego mięsa nastąpiła potrawa, zwana po serbsku „kołdony“. Jest to dość oryginalne danie: w gęstym, słodkim sosie z szafranem zawieszono są kawałki wieprzowego mięsa. Niejeden, słysząc o składzie potrawy, będzie pewien, że jest ona bardzo niesmaczną; tak i mnie się z początku zdawało, jadłem

ją jednak z apetytem. Nie na tem jednak koniec obiadu. Podano jeszcze gotowane mięso wieprzowe, a do niego czarny sos z krwi wieprzowej, przewany „czarna juszka“.

Podeczas jadła prowadzoną była żywa rozmowa. Rozpytywano mię o Polaków, Warszawę i t. d.; potem opowiadano mi o serbskich zwyczajach, ludziach i życiu. Mogłem się przekonać, że ci wieśniacy, znają dobrze swoją ojczyznę, że kochają wszystko co swoje, co serbskie. Mówili również o ks. Horniku, známym patryjocie serbskim, obecnym prezesie „Macicy serbskiej“. Do rozmowy i ja wtrąciłem słów kilka.

— A zkąd, „kneź“, znacie księdza Hornika? — zapytała siedząca koło mnie kobieta o śniadej twarzy i energicznych rysach.

— Nie znam go dotychczas osobiście — odrzekłem — ale słyszałem o nim, imię jego bowiem wiadome jest wszystkim, co się interesują Łużycami, znane jest w całej ziemi słowiańskiej.

— No widzicie, moi ludzie! — podchwyciła kobieta — nasz ks. Hornik znany jest w całej słowiańskiej ziemi! Czy to być może? Czy słyszycie ludzie? czy słyszycie? — powtarzała kilkakrotnie.

Jej oczy śmiały się niekłamana radością; mogłem w nich wyczytać, jak wielką przyjemność sprawiła jej ta wiadomość.

— Czy słyszycie, sąsiedzie? — powtarzała wciąż kobieta, targając za rękaw siedzącego koło niej mężczyznę.

Sąsiad rzeczywiście nie słyszał, słuchał więc teraz opowiadania kobiety, która z coraz większym zapalem i werwą powtarzała zasłyszanań odemnie wiadomość. Ci, co raz słyszeli, słuchali jej opowiadania po raz drugi. Dalej siedzący powstawali ciekawie od stołów, z końców izby zbiegli się nowi słuchacze i w końcu z kilkunastu piersi wyrwał się jednocześnie okrzyk podziwu i radości. Rozprawiano potem o nowinie, śmiano się wesoło, a wszystko to było szczere, nieudane, z głębi duszy płynące. Mały to narodek, lecz wielkie posiada serce!

Kobiety szczególnie przejmowały się każdą sprawą i najwięcej okazywały miłości i przywiązania do kraju.

Lecz wróćmy do przedmiotu.

Po skończonym obiedzie syn gospodarza pokazał mi wodny młyn ojcowski, oborę i stajnię. Wszędzie widać czystość, ład i zamożność. Obejrzawszy gospodarstwo, wróciliśmy do chaty. Gospodarze i wszyscy obecni zapraszali, bym został u nich do jutra.

— Zostańcie, „kneziu“ *), — prosiła gospodyni. — Jutro w sąsiedniej wiosce „kwas“ **). Zobaczylibyście nasze stroje weselne i serbskie „reje“ ***).

Odrzekłem, iż pomimo największej chęci, nie mogę do jutra się zatrzymać, gdyż śpieszno mi w dalszą

*) „Kneź“ po serbsku znaczy: pan.

**) „Kwas“ znaczy — wesele.

***) „Reje“ — tańce.

drogę. Chciano mi jednak pokazać stroje weselne. Ponieważ córka gospodarza miała być družką na weselu, włożono więc na jej głowę strój różowy, przeznaczony na jutro, piersi ubrano bogato w talary i kazano mi podziwiać ten ubiór weselny.

Piękny to strój, niezawodnie piękniejszy jeszcze, gdy go włoży tak rumiane i hoże dziewczę jak to, które w tej chwili właśnie stało przedemną.

— Pokażcie też panu nasze tańce, te serbskie „reje“ — mówiła gospodyni. — Hej, Hanka! — wołała na córkę — dalejże do tańca!

Hanka jednak, wstydząc się widocznie, z izby uciekła; matka wtedy innych do tańca namawiała, lecz wszyscy poszli w ślady Hanki; jedno za drugim pociękało z izby. W pokoju zostali tylko starzy.

— Hej, stary! — krzyknęła gospodyni na męża, klaszcząc z życiem w dłonie. — Przypomnijmy sobie młode lata! — To mówiąc chwyciła go za ramię i, zanuściwszy skoczną melodyję serbską poszła z nim w taniec.

Zahuczała izba od śmiechu. Wesołość wystąpiła na twarzach wszystkich obecnych. Przez drzwi tymczasem, ze dworu pokazywały się najprzód nieśmiałe głowy, potem całe postacie zbiegłych przed chwilą chłopców i dziewcząt. Jeden z nich, nucąc piskliwym głosem, udawał rękoma, że przygrywa na skrzypcach tańczącej parze; inni pomału brali się do tańca, tak, iż za chwilę cała izba napełniła się skaczącymi parami, odgłosami ich śmiechu i gwaru.

— Patrzaj pan — rzekła dumnie, siedząca koło mnie kobieta — to są nasze tańce; to nie „niemskie,” to prawdziwie serbskie „reje” — i oczy jej błyszczały radością.

Po przekąsce młodzi zebrali się w kątku i popłynęły z ich piersi dźwięki pieśni:

Hiszcie Serbstwo njezhubjene,
Swoj szkit we nas ma;
Nowy duch wszo wosta bnjene —
Sylnje pozbieha!

Serbska pieśń narodowa napełniła izbę, krzepiąc ducha w zgromadzonej drużynie.

Starzy słuchają... Im te pieśni mało są znane; to pieśni młodego, ze snu budzącego się Serbstwa. Słuchają jednak; niejedna łza zaświeciła w oku i błysnąwszy brylantowym ogniem, potoczyła się po zmarszczkami okrytem obliczu. Oni umrą, ale są pewni, że po ich śmierci Serbstwo do grobu nie zstąpi, bo język ich i serbskość całą młodzi w silniejsze dłonie uchwycą.

2. „Bury.”

Droga z Hozka była bardzo przyjemna. Deszcz, który był padał przed chwilą, ustał, a chmury, rozsnuwawszy się, ukazały ciemny błękit niebieskiego sklepienia i upragnione słońce.

Niebo spoglądało teraz promiennym wzrokiem i zdawało się uśmiechać, mając jeszcze nie wyschłe od płaczu powieki.

Minąłem zamożną wieś Kociny, w której niektóre domy wyglądały prędzej na dwory, niż na mieszkania włościan.

O dziesięć minut drogi za Kocinami zaczyna się Królestwo Saskie. Przekroczyłem granicę, lecz nie dostrzegłem najmniejszej zmiany ani w kraju, ani w jego mieszkańcach; ta sama ziemia, ten sam lud, który podlega jednak innym władzom, innym prawom. Rząd saski nie daje Łużyczanom praw im należnych i nie porzuca polityki germanizacyjnej, chociaż Serbi tyle razy przelewem krwi własnej okazywali wielkie przywiązanie do saskiego tronu. Jednak, w porównaniu z Prusakami, rząd saski jest jeszcze bardzo względny dla Łużyczan; nie zabrania przynajmniej w szkołach ludowych nauki języka ojczystego i nie prześladuje Słowian z pruską zacięłością.

Doszedłem do Ralbic; tu wstępuję na plebaniją. Księdza niema w domu; pojechał na „Wulką kołbasę“ do jednej z okolicznych wiosek i niewiadomo, jak prędko powróci. Ciekawa gospodyni chciała się koniecznie dowiedzieć, czego sobie życzę od księdza? Powiedziałem, że mam osobisty interes.

Podeczas rozmowy z gospodynią z przyległej izby wyszła młoda Serbka w czarnym stroju. Głowę jej okrywała czarna chustka, spadająca na ramiona; ubiór jej robił na mnie wrażenie stroju mniszki, choć, jak się dowiedziałem, jest on zwykłym strojem oko-

licznych Serbek katoliczek. Moja Serbka miała jednak wiele stron bardzo przypominających zakonnicę: czarna barwa sukni wyróżniała ją od innych towarzyszek, a ogromny różaniec za pasem dzwonił surowo paciorkami o wielki krucyfiks mosiężny. To wszystko nie przeszkadzało jej nosić kaftanik z pretensyjnie wydętymi rękawkami i kokieterjnie przewracać oczkami.

— A może wy Polak? — zapytała młoda Serbka, słysząc, że źle mówię w jej rodzinnej mowie.

— Tak — odpowiedziałem.

— A, moiż wy, to ksiądz będzie żałował, jak się dowie, żeście tu byli!

— Ma osobisty interes do proboszcza — wtrąciła gospodyni.

— Osobisty interes? O ja znam taki interes. To Polak przyszedł się wypowiadać u naszego księdza; a szkoda, że go w domu niema! Wy nie gadajcie, nie nie gadajcie — mówiła do gospodyni, która chciała wtrącić się do rozmowy; i nie dała nikomu z nas przyjść do słowa, mieląc językiem, jak kołowrotkiem.

Nie mogłem wstrzymać się od śmiechu. Widząc to, Serbka także śmiać się zaczęła.

— Oj, joj, joj, jaka szkoda! — mówiła, śmiejąc się — żeście nie zastali naszego proboszcza. On by was napewno wypowiadał.

Napróżno chciałem wytłómaczyć, że nie przyszedłem do spowiedzi. Serbka mi wierzyć nie chciała.

— Ja już was znam — mówiła — wy tylko tak powiadacie; a ja wam radzę, słuchajcie tylko mnie: idźcie dziś jeszcze do Rożanty, a przenocowwszy tam, raniutko do Mariny-Hwedy. Tam w klasztorze jest ksiądz, który rozumie po polsku; on zaraz wypowiada.

— Kogo wypowiada? — zapytałem już zirytowany.

— A was, was! On bardzo dobry; czemu by nie miał wypowiadać — podchwyciła dewotka z zapalem, a od prędkiego mielenia języczkiem, aż się zapała biedaczka.

— Znacie drogę do Rożanty? — spytała po chwili. — Nie znacie, prawda? to chodźcie prędko ze mną, ja idę w tamtą stronę.

Tu pociągnęła mnie za rękaw, tak, iż nie opatrzyłem się, kiedy po chwili szedłem z nią w stronę Rożanty.

Po drodze pytała się, czy z Mariny-Hwedy wracam do domu. Odpowiedziałem, że idę do Budyszyna.

— Do Budyszyna? — zdziwiła się dewotka. — A toż tam możecie się wypowiadać u ks. Hornika; on tak rychtyk mówi po polsku! Idźcie więc z Mariny-Hwedy prościuchno do Budyszyna i tam wypowiadajcie się drugi raz. To nie nie zaszkodzi. A ks. Hornik to potrafi. Oj, jej! czy on jednego Polaka spowiadał? Szkoda tylko, szkoda, żeście naszego proboszcza nie zastali — dodała.

Tu zaczęła go wychwalać, a potem opowiadać o innych księżach, kościołach i t. p.

By zwrócić rozmowę na inny temat, spytałem: czy widziała kiedy Polaków.

— Naturalnie — odpowiedziała — naturalnie. Czemu nie miałabym widzieć! Tu ciągle przychodzą do spowiedzi.

I z za czarnego kapturka uśmiechała się do mnie ciemnymi oczkami. Czułem, że ta skromna dewotka chętnie by poszła do tańca, chętnie pobawiła by się z chłopcami, a w końcu wybrała by sobie którego na zawsze.

Szliśmy tak gawędząc i śmiejąc się wesoło. Chwilami rozmowa się urywała, a wtedy słyszałem szelest świeżutkich szat towarzyszki i surowy dźwięk zawieszzonego u jej pasa różańca.

Zmrok już zapadł na ziemię, gdy doszedłszy do Rożanty, pożegnałem moją towarzyszkę. Ona poszła dalej, ja zaś przemyślałem, jak by pokrzepić swe grzeszne ciało, a potem udać się na spoczinek.

W Rożancie niedaleko kościoła stoi murowana karczma; przez okna widać płonące w niej światło i słychać głosy rozmawiających. Snadź nie musi być pustą. Wchodzę. Za stołem siedzi czterech mężczyzn. Między nimi trzech serbskich „burów“ *) pali fajki i popija piwo z półkwartowych kufli, a czwarty męż-

*) „Bur“ — zamożny gospodarz.

czyzna lat trzydziestu, silny, barczysty, o prawdziwie męskiej postawie trzyma potężny kwartowy kufel z piwem, nie pali fajki, jak jego towarzysze, lecz cygaro.

Żywo prowadzona rozmowa urwała się, gdy mnie zobaczono. Siedzący u stołu zwrócili na mnie ciekawe oczy, snadź poznali we mnie przybysza ze stron dalekich.

Powitałem obecnych przyjętem u katolickich Serbów pozdrowieniem: „Budź khwaleny Jezus Chrystus“.

— Do wieczności — odpowiedziano chórem.

Gospodarze zaczęli mi się ciekawie przyglądać i wypytywać, z kąd jestem rodem. Gdy dowiedziano się, że Polak i podróżuję po Łużycach, zaciekawienie wzrosło jeszcze bardziej. Zapytania nie miały końca.

Pytano mnie o nasz kraj i ludzi. Zajmowała ich każda drobnostka; i pewno nie byli to ludzie ciemni, bo wiedzieli dobrze, co się dzieje na świecie, szczególnie zaś Słowiańszczyzna nie była im obcą.

Barczysty mężczyzna opróżniał tymczasem kufle. Po kwarcie piwa wypijał „palenc“^{*)}, po paru zaś kieliszkach gorzałki znów kwartę piwa. Do rozmowy rzadko się mieszał i widocznie krzywem na mnie patrzył okiem. Przyczyną tego jednak, być może, ja sam byłem: widząc bowiem obcą twarz przed sobą, tak bardzo wyróżniającą się od innych, spoglądałem nań okiem badawczem, i chciałem zgadnąć, kto jest

^{*)} „Palenc“ po serbsku — wódka.

ów Herkules. Nie mogąc zapytać o to wprost, wprowadziłem rozmowę na temat tutejszych instytucyj, mając nadzieję, iż w mężczyźnie owym znajdą jednego z ich przedstawicieli. I rzeczywiście, nie omyliłem się w przypuszczeniu, bo gdym zapytał o tutejszą szkołę, jeden z gospodarzy wskazał na mężczyznę, powiadając, iż on właśnie jest tu nauczycielem.

Wiedząc teraz, kogo mam przed sobą, zacząłem z nim rozmowę. Mój nauczyciel ożywił się także, zaczął rozprawiać wesoło, a piwo i palene tem energiczniej naprzemian popijał,

Rozogniły się wszystkim oczy i zdwoiła się ochota do gawędki.

Serbowie zaciekawili się i dziwili, gdy im opowiadałem o naszym kraju, o Wiśle... ale najbardziej zainteresowała ich Warszawa... To półmilionowe miasto słowiańskie tak blisko spokrewnionego z nimi narodu zaciekawiało ich bardzo. Na ich prośbę opowiadałem im o wszystkim, co tylko tyczeć się mogło mego miasta. Zaciekawienie rosło w miarę opowiadania; nawet nauczyciel na chwilę o piwie zapomniał i zarzucał mię zapytaniami.

— Hej, sąsiedzie, jedźmy do Warszawy! — rzekł jeden gospodarz do drugiego.

Oczy się śmiały wszystkim.

— Hej, pojedźmy! — odrzekł zapytany.

— Pojedźmy! — odpowiedzieli inni. — Zobaczmy na stare lata to wielkie a ciekawe miasto!

Tu zaczęli obliczać koszty.

— Niech dwa razy tyle kosztuje, a pojedę! — zawołał jeden.

— Pojedziemy! pojedziemy! — powtórzyli inni.

— Ale czy nas tam rozumieją? — zapytał któryś.

— Toć przecie choćby po niemiecku rozmówić się potrafimy — wtrącił drugi.

— Nie — odrzekłem — po niemiecku w Warszawie nie mówią, ale Warszawiak Serba rozumie, a Serb jego. Czy tak? — zapytałem.

— Tak, tak — odrzekli gospodarze.

Podaliśmy sobie dłonie i złączyliśmy je serdecznie w uścisku braterskim.

Pora była spóźniona. Towarzysze pożegnali mnie i wyszli mówiąc: „Do widzenia w Warszawie.“

Po ich odejściu rozpytywałem się gospodarza, rodowitego Serba, o nauczyciela, który mnie bardzo zaciekawił. Odpowiedział mi, że jest wprawdzie nie tu, lecz również Łużyczanin, uczy przytem dobrze i starannie rożankie dzieci.

Czas było iść na spoczynek. Po schodach dostałem się na pierwsze piętro; tam przeszedłem przez izbę gospodarza, na środku której stała kolebka. Spała w niej spokojnie mała dziecina, z główką na bok zwróconą, z odkrytymi nóżkami. Za tym pokojem była stancyjka, dla mnie przeznaczona. Na pół rozebrany rzuciłem się na łóżko, długo jednak nie mogłem zasnąć. Myślałem o wrażeniach odebranych dnia ubiegłego, o dzielnych „burach“ łużyckich, z którymi przepędziłem wieczór, wreszcie o ich za-

miarze odwiedzenia Warszawy. Gdy tak byłem zajęty myślami, doleciał mię z przyległej izby płacz rozbudzonego dziecięcia, a wkrótce dźwięczny głos kobiecy, usypiający dziecinę piosnką:

Jutsi budzie sobota
Khudoh' muža robota,
Zarjeza sej khapona
Powesny jon na 'rota... *)

Dziecina przestała płakać, a kołysanka wciąż dźwięczała, przyjemnie drażniąc ucho. Wsłuchiwałem się w jej piękną melodyję i proste wieśniacze słowa, dopóki nie nkołysała ona i moją rozbudzoną wyobraźnię. Obrazy zniknęły z przed oczu i wkrótce zasnąłem, upojony dźwiękami tej prostej piosenki ludowej.

7. „Czornoboh.“

Godzina siódma rano. Na budyszyńskim dworcu kolei żelaznej ruch nieustanny: pociąg nadchodzi za pociągiem i poczekawszy minut parę, rusza w dalszą drogę. W końcu i ja doczekałem się pociągu, dążącego w stronę Zgorjelca (Görlitz); podjechał on w ca-

*) Na polski da się to przetłómaczyć w ten sposób:

„Jutro będzie sobota,
Więc biednego robota,
Zarźnie sobie koguta
I powiesi na wrota...“

łym pędzie i stanął jak wryty przed stacją. Wskoczyłem do wagonu. W parę minut dał się słyszeć głos świstawki konduktora, potem przeciągły gwizd lokomotywy. Maszyna zaczęła syczeć, sapać... i pociąg ruszył z miejsca, coraz bardziej przyśpieszając biegu. Wrażenia, jakich doznałem podczas bytności w Budyszynie, teraz, gdy mogłem w całości objąć wzrokiem to miasto, szeregowały się w mej głowie po kolei, tworząc wreszcie jeden obraz.

Oczy moje, gdym patrzył na miasto, gdzie koncentruje się umysłowe życie Łużyc, szukały punktu oparcia i zatrzymały się na górującej nad miastem wieży katedralnego kościoła; na jej szczycie skupiły się wszystkie myśli moje i pobiegły daleko ztąd, gdzieś wyżej, po nad poziomy codziennego życia, w krainę marzeń... Wieża, strzelająca w górę, wskazywała mi drogę. Niebo nie było smutne, przeciwnie uśmiechało się pogodą i łagodnym światłem. Przyszły mi wtedy na myśl tak często słyszane słowa: „Cud jeden tylko może uratować ten naród.“

Szukałem na niebie znaku cudu; tworzyłem w myślach nadzwyczajne kombinacje wypadków, w końcu spuściłem ze wstydem oczy.

— Nie, to za słaba podstawa, na cudzie opierać szczęście narodu?... Nie! Szczęście i siła w nim samym leżeć musi!

Wzrok mój znowu oparł się na szczycie kościelnej wieży i zeszedł po niej na ziemię. Przypomniałem sobie, iż tam, tuż koło kościoła, w niewielkiej kamienicy mieszka człowiek, który jest duszą łużyckie-

go narodu; jest nim ks. Michał Hornik, prezes „Macicy serbskiej“, tego naukowego ogniska Łużyckich Serbów. On koncentruje w sobie życie serbskie, on jest obecnie tą gwiazdą, wskazującą drogę narodowi. Szukałem wzrokiem wśród miasta miejsca, gdzie jest „dom macieczny“ z księgarnią i drukarnią serbską; tam wychodzi *Czasopis macicy serbskeje*, tam drukuje się *Łużyca*, miesięcznik dla inteligencji i ludowe pisma: *Serbskie nowiny*, *Serbski Hospodar*, *Kathol-ski Posoł*, *Misionski Posoł*, *Pomhaj Boh*, *Misionski Przeciel*. Osiem pism, wydawanych dla stutysięcznego górno-łużyckiego narodu, wprawiały mię w zdumienie. Tak, w tym ludzie leży ogromna siła, niespożyty duch i zadziwiająca odporność.

Weselej spoglądałem teraz po polach i łąkach. W każdym rolniku, orzącym swą rolę lub obsiewającym ją ziarnem, chciałem widzieć jednego z tych dzielnych pracowników, co w krwawym pocie uprawiają swą niwę ojczystą, siejąc na niej ziarna światła i prawdy.

Byłem tak zajęty myślami, że nie spostrzegłem, jak czas prędko minął i że pociąg stanął przed stacją Kupszyc.

Wysiadłem, a pociąg poleciał dalej.

Z Kupszyc na „Czornoboh“ dobre półtóry godziny drogi, ruszyłem więc naprzód. Zaraz o kilka minut drogi leży mała wioska Szekecy, dalej za nią druga—Sowriey. Za tą ostatnią wązkim pasem rozściela się malownicza łączka. Gdy, minawszy wioskę, w tył się obejrzałem, oczarowany byłem widokiem:

owa łąka, za którą na małym wzgórzu ciągną się gospodarskie zabudowania Sowrie, stanowi wraz z wsią jeden z tych pięknych widoków, które swą harmoniją linii i barw przykuwają do siebie wzrok widza.

Nie byłem zmęczony, a jednak przysiadłem na kamieniu przy drodze, by swobodnie napaść oczy widokiem tego pięknego wiejskiego obrazka.

Cisza panowała dokoła, tylko szczebiot ptasząt od czasu do czasu przerywał ją mile. Siedziałem długo nieruchomy, zagłębiony w myślach. Chciałem powstać wreszcie, by w dalszą udać się drogę, gdy wtem dźwięczny głos przykuł mnie do miejsca. Natężyłem słuch i szukałem piersi, z której głos pochodził.

Spostrzegłem wkrótce młodą dziewczynę, rozpościerającą na owej łączce barwne chusty, by schły na słońcu. Jasnowłose dziewczę ubrane było w szarą sukienkę i ciemny kaftanik, od których wesoło odbijały jej fioletowe pończoszki. Dziewczę schylało się wdzięcznie i rozścielało zgrabnie owe barwne chustki na zielonej murawie. Z jej rumianej twarzy i całej postaci tryskało zdrowie i życie; nie dziw, że z tych piersi, płynął śpiew dźwięczny i pełny. Słuchałem pieśni, pożerając oczami zgrabną kibić i ruchy wiejskiego dziewczęcia.

Steji topół zeleny
Wośredzia mi Rachlowa,
Ho, hej!
Wośredzia mi Rachlowa.

Tu zatrzymała się chwilę i spojrzała wokoło, jakby szukając oczyma, czy jej kto nie słyszy. Snadź nie dostrzegła mię przysłoniętego drzewami, bo całą piersią jeszcze silniej i dźwięczniej dalej śpiewała:

Sydał na nim sołobik *),
Sołobik, tón dróbný ptaczk, **)
Ho, hej!
Sołobik, tón dróbný ptaczk.

Pieśń ucichła. Czekałem chwilę, czy nie zadźwięczy jeszcze, ale w końcu zniecierpliwiony wstałem i podszedłem ku dziewczynie. Ona, ujrawszy mię, podniosła głowę, lecz zarazem zdwoiła szybkość w rozpościeraniu chustek i płótna. Nim doszedłem do niej, skończyła swą robotę, zatrzymała się jednak, z kokieterijnym uśmiechem, patrząc na mnie. Pozdrowiłem ją po serbsku i chcąc zacząć rozmowę, spytałem o drogę do Rachłowa. Roześmiała się serdecznie, wskazując jedyną drogę, po której zresztą szedłem kawałek, potem pokazała mi Rachłów w oddali i pożegnawszy mię słowami: „Boże mie“, uciekła, kryjąc się za zabudowania gospodarskie.

Stałem chwilę jeszcze, patrząc w stronę, gdzie pobięła dziewczyna, w końcu, pożegnawszy wzrokiem wioskę, poszedłem dalej.

Droga do Rachłowa prowadzi pod górę i wysadzana jest młodemí drzewkami. Im dalej się idzie,

*) Słowik.

**) Ptaszek.

tem piękniejsze rozlegają się widoki, tem większa bierze ochota rozglądać się na wszystkie strony i zachwycać się piękną przyrodą.

Rachlow z daleka już wabi podróżnego. Bo też to prawdziwie piękna wieś serbska. Zabudowania przeważnie z kamienia lub cegły, lecz są i starsze, drewniane, stawiane według ogólnego typu łużyckiego. Chaty po większej części są piętrowe; starsze posiadają charakterystyczną część dolną z typowem serbskiem wiązaniem, tworzącem jakby arkadę.

Wśród tych starych serbskich i nowszych kamiennych zabudowań widnieje jedna duża chata, łącząca w sobie oba typy budowli wiejskich: domu drewnianego i kamiennego. Jej lewa połowa, od strony Sowric, zachowała typ serbski, prawa zaś jest z kamienia i przedstawia już typ nowożytny. To połączenie stylów, dziwna rzecz, nie razi oka, przeciwnie pociąga je swą oryginalnością i pięknnością.

Wieś leży u podnóża Czarnoboha. Droga na górę prowadzi lasem, przeważnie ze świerków złożonym. Dążysz po kamieniach i skałach całe pół godziny. W miarę wstępowania na górę przyroda staje się coraz dzikszą. Nareszcie jesteś u celu, na szczycie Czarnoboha.

Co za wspaniały widok. Okiem sięgasz daleko, daleko! U stóp wsie serbskie, pola, a tam na północ-zachodzie widzisz Budyszyn. Rozpoznajesz pojedyncze miejskie budowle, wieże kościołów. Ztąd można

niemal całe Górne Łużyce okiem ogarnąć. Na południe od Czornoboha w jednej, czy dwóch wsiach mieszkają jeszcze Serbi, dalej wszystko zgermanizowane. Góra ta dziś stoi niemal na granicy etnograficznej Serbii.

Niegdyś, według podania, Słowianie czcili na niej „Czarnego boga“, na sąsiedniej zaś „Białego“. „Biały bóg“ zawiódł jednak Słowian i okolica jego dziś została zgermanizowaną. „Czarny bóg“ nie puszcza jeszcze Niemców i strzeże tej garstki Słowiańszczyzny przed falą germańską! Na szczycie góry widzisz ogromne głazy i skały, tworzące wzniesienia podobne do mównie lub ołtarzy. Z nich kiedyś wygłaszał może kapłan słowiański wolę bogów, a wokoło stał lud, rycerze zbrojni i książęta słowiańscy. Czujesz wszystkich tutaj, słyszysz ich stąpania, westchnienia pobożnych, szezęk broni i rżenie koni. W twej wyobraźni odtwarzają się obrazy ze „Starej baśni“ Kraszewskiego.

Siedząc na tych ogromnych głazach, czujesz, że sam tu nie jesteś, że z tobą jest tutaj duch Słowiańszczyzny. Niepodobna czuć się tu samotnym. Wieki całe owiewają cię swem tchnieniem i przez ich mgłę widzisz, słyszysz, czujesz. Myśl twa błąka się po starych dziejach, przebiega historyczne wypadki i wysnuwa z nich wnioski na przyszłość. Zwracasz swój wzrok na zachód, sięgasz myślą dalej, niż oko pozwoli, niż starczy widnokręgu. Dążysz za Elbę, do Solawy (po niemiecku „Saale“) i dalej i widzisz, jak niegdyś na tej przestrzeni żywił słowiański, wypierany syste-

matycznie przez Niemców, zmalął dziś do tej małej garstki Łużyczan. Zgermanizowanie tej drużyny to drobnostka wobec tego, co już germanizm pochłonał.

Obłoczki, przesuwające się szybko po niebie, rzucały cień na ziemię, a mnie się zdawało, że to chodzą duchy Słowian, poległych w wiekowej walce z germanizmem.

Póki Słowianie żyją, Czarnoboh będzie dla nich drogą pamiątką prastarych czasów. Czyż tę pamiątkę, tę świątynię słowiańską pozwolą zabrać Niemcom? Czy wieczni wrogowie Słowian i tutaj naigrawać się z nas będą, prąc przemocą na wschód coraz dalej?

Naokół było cicho, spokojnie. Z olbrzymich głów spoglądałem na zbliżającą się z jednej strony do podnóża góry lawinę germańską, a potem na wsie serbskie, po drugiej stronie góry położone. Tu spostrzegałem gdzieś ludzie, uprawiających czarną rolę, i przejęty czcią dla tych skromnych pracowników słowiańskich pytałem: Czy ta garstka Słowian ostoi się przed ogromnem morzem niemieckiem?

Wzrok mój biegł po okolicy dalej i dalej, szukając w otoczeniu odpowiedzi na to pytanie; wreszcie oparł się o Budyszyn, i znowu, patrząc na to miasto, myślałem o duchowem odrodzeniu Serbów, o ich żywotności i pracy dzisiejszej; wtedy znowu nadzieja wstąpiła we mnie i przyszłość Łużyc w jaśniejszych przedstawiła mi się barwach.

4. *Pożegnanie Łużyc.*

Dni, przepędzone na Łużycach, przeleciały mi jak godziny. Nastąpiła wreszcie chwila rozstania się z tym krajem.

Wyruszyłem z Budyszyna szosą drezdeńską, wysadzaną wyniosłemi drzewami. Tyle przyjemnych wrażeń i tyle siły zaczerpnąłem w serbskim kraju, że myśl o nim nie wygaśnie we mnie nigdy.

Zwiedzenie Łużyc dla każdego może być pożytecznem, szczególnie jednak ci ze Słowian, którzy są zagrożeni w swych posadach przez natarczywy germanizm, powinni tu w większej, niż dotąd, przychodzić liczbie, raz, by zaczerpnąć sił do walki z dławiącym ich smokiem, a następnie by wspólnemi siłami pomódz Serbom do stworzenia z ich kraju małej twierdzy słowiańskiej. Załoga, choć nieliczna, obroni forteczne mury i nie odda ich nieprzyjacielowi. Samym Łużyczanom braknie sił na śpieszną budowę fortyfikacyj; gdyby jednak mieli trochę więcej środków, pokazali by oni Germanom, że się już skończyła ich zaborcza cywilizacyja, że przyjdzie wreszcie czas, kiedy słowiańskie ludy wyjdą na dziejową arenę i sztandar przodownictwa pochwycą. Dziś dzień ten dalekim jeszcze się zdaje, nie dzieli nas jednak odeń wiele czasu. Zmateryjalizowane Niemcy, gdzie pierwiastek egoistyczny stał się niemal jedyną pobudką cywilizacyi i postępu, stoją dziś na szczycie potęgi i muszą wkrótce ustąpić miejsca żywiołowi nieprzeżytemu, którego aspiracyje wyższe są nad wyłączenie

egoistyczne cele, który wreszcie posiada więcej sił fizycznych i duchowych.

Nic więc dziwnego, że smutna mi było opuszczać Łużyce; było mi żal, że nie mogłem dłużej tu zostać. Po dwóch godzinach drogi doszedłem do Hordzija. Spora to wieś; na lewo od szosy stoi duży kościół ewangelicki; wchodzę do wnętrza. Białe ściany i niezbyt ładna całość nie pociąga oka. Z chóru dolatuje mię przeciągle chrapanie; jakaś pobożna istota usnęła widocznie wśród modlitwy. Wyszedłem na cmentarz; na nagrobkach widnieją serbskie napisy: „Tude wodpoczuje“ N. N. Za kościołem spostrzegam oryginalny nagrobek 24-o letniej dziewczyny nazwiskiem Maryja Madalena Rekec. Na drugiej stronie kamiennego krzyża widać napis:

Sy młode lieta khodziła
We Jezusu,
Sy była swierna dziowcziczka
Nam stajnje tu:
O zapłać Bog ci swieru wszu
Tam z hnadnej mzdu!

Śpij spokojnie, „swierna dziowcziczko!“ Niech na twym grobie rosną serbskie kwiaty, niech wokół ciebie, w twej wiosce rodzinnej nigdy serbska mowa nie zamilknie i prastare pieśni serbskie! Śpij spokojnie! Lecz gdy posłyszysz dźwięki obcej mowy i kroki zaborezych Germanów, wstań!.. Wstań, chodź od chaty do chaty i budź śpiących. Wezwij duchy rycerzy, padłych w walce z Niemcami; niech

wstaną z całej Serbii, jak była szeroką a długą, niech idą smutnym szeregiem od Odry do Elby, od Elby do Solawy. Wrogowie złączą się może wielkiej zbrodni, a garstka żyjących rycerzy serbskich, przodków odwagą silna, obroni honor i cześć swojej ziemi.

Już czas mi w dalszą udać się drogę. Żegnam Hodzję i ruszam dalej szosą. Mijam wsie i pola i wreszcie po dwugodzinnym marszu dochodzę do Welkowy. Osada ta leży już w granicznym pasie etnograficznych Łużyc. Tu już ludność mieszana.

Droga z Welkowy prowadzi przez bardzo piękną okolicę. Po prawej ręce za wsią widnieje na malowniczym wzgórzu stojący kościół; na lewo zaś od drogi stoją w oddali piękne góry.

W pół godziny przychodzę do wioski, zwanej Kincz. Tu nie usłyszysz już mowy serbskiej. Ludność już zniemczona, tylko z twarzy i postawy widać, że to kość z kości dawnych Serbów, że w nich płynie krew słowiańska, lecz że duch w nich już germański. Jesteś w kraju, w którym słowianie z krwi stali się pionierami germańskiej falangi.

Za wsią szosa prowadzi przez las iglasty. Tu, po kilku minutach marszu, droga skręca na prawo. W stronie wschodniej las wycięty: ztąd daleko możesz sięgnąć okiem w ziemię serbską i objawwszy ją myślą, pożegnać się z nią.

Ze wzgórza, na którym stoję, spostrzegam znane mi wioski, a tam daleko, daleko widnieją baszty i ko-

ścielne wieże Budyszyna. Żegnaj mi, kraju serbski! żegnaj! Całym Łużycom posyłam ztąd serdeczne „Boże mie!”

Dalsza droga moja, to podróż po słowiańskim cmentarzu: miasta i wioski — wszystko dziś niemieckie. Mijam miasteczko Biskopice i po dwóch godzinach dochodzę do dużej wsi, Harthau po niemiecku przezwanej. Zniemczona nazwa nie mówi nic o pochodzeniu tej wioski, lecz każdy jej mieszkaniec swymi rysami twarzy świadczy, że jest Serbem z krwi.

Te brunatne oczy i także włosy, oko bystre, nos zlekka orli tak bardzo są łużyckie, że chcesz do każdego po serbsku przemówić, każdego słowami „Pomhaj Boh“ powitać. Niestety, nie otrzymasz dziś odpowiedzi na to pozdrowienie; to są dziś Niemcy. I tacy Niemcy z krwią słowiańską sięgają hen daleko na zachód za Elbę i Solawę (Saalę). I ci dziś Słowian germanizują i ci nas nienawidzą! Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe! • We wsi nie tylko postacie ludzi świadczą o ich pochodzeniu; mówią także o tem ich sioła: gdzieś tam ich stary dom jest wzorowym typem serbskiej chaty. W Harthau jest ich kilka, zachowały się one jeszcze daleko na zachodzie. Z każdym rokiem jednak znikają te słowiańskie pomniki, a na ich miejscu powstają domki niemieckie.

Wsie zmieniają coraz bardziej swoją dawną powierzchowność, stają się całkowicie niemieckimi ze

zniemczonej nazwy, budowli i języka mieszkańców;
gdy spojrzysz jednak na twarz tutejszego włościanina,
powie ci ona, że ty i on to dwaj po krwi bracia, dusze
wszakże wasze stoją dziś na dwóch wrogich sobie
krańcach.

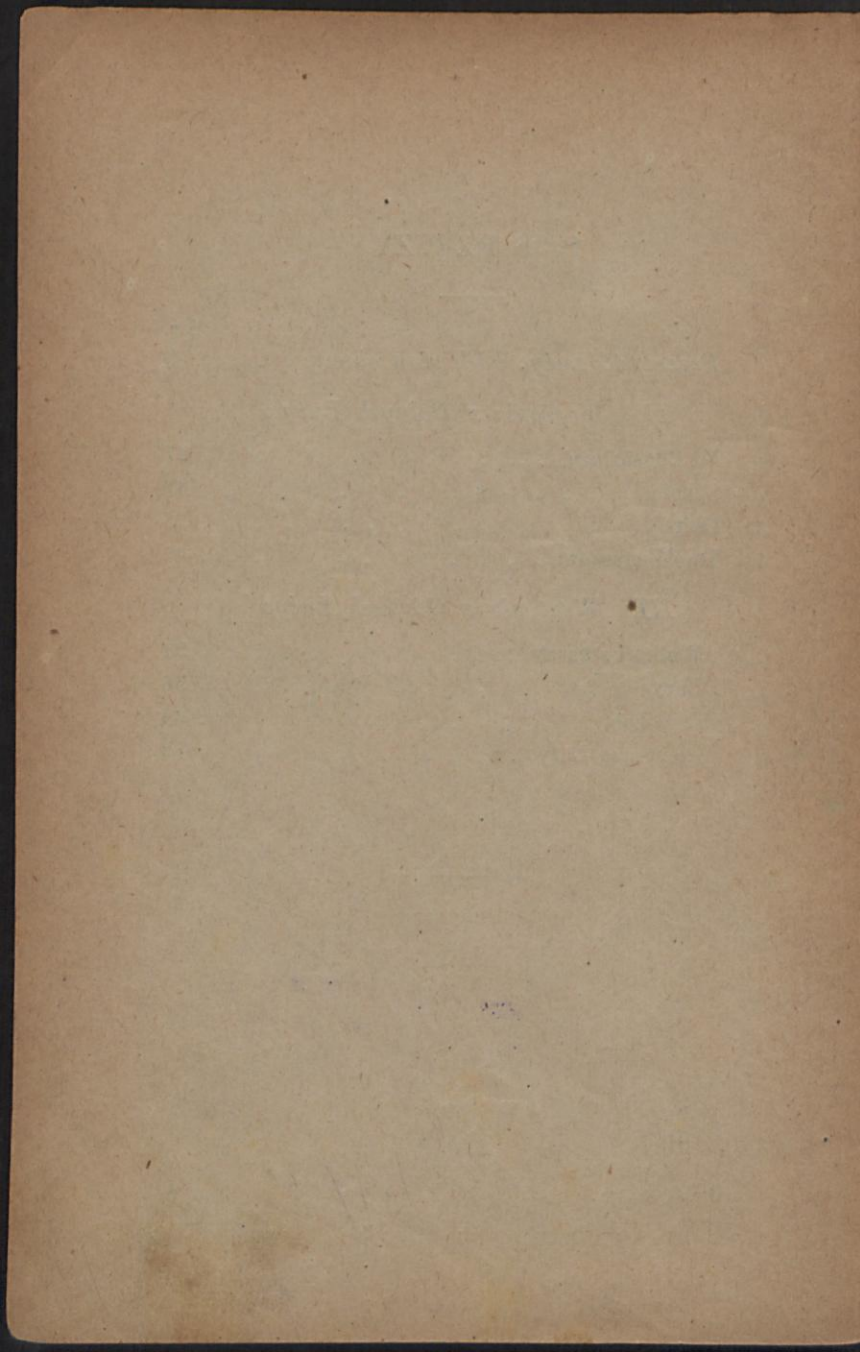
K O N I E C.



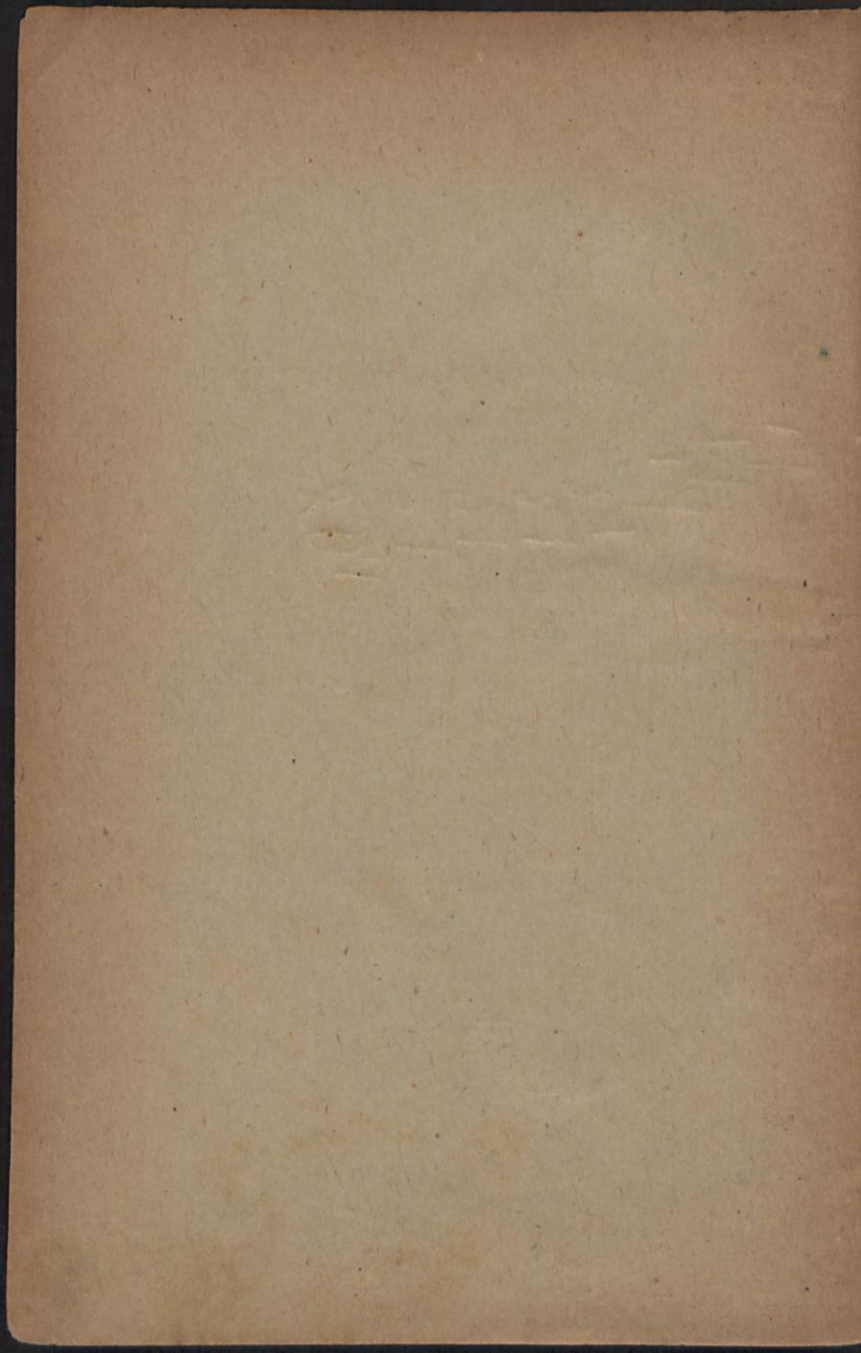
SPIS RZECZY.

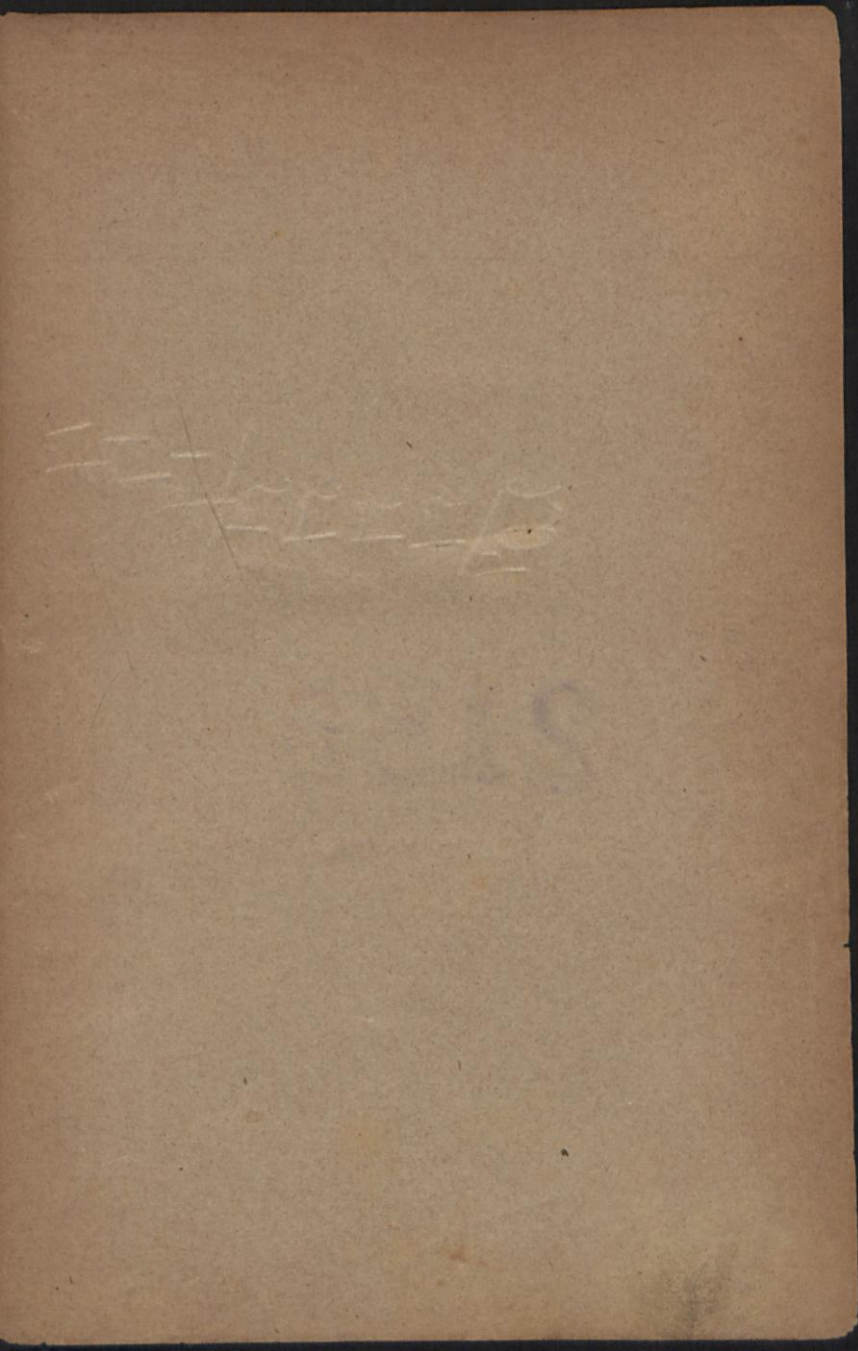
	Str.
<i>I. Przeszłość Łużyc i ich stan obecny</i>	<i>3</i>
<i>II. Wrażenia z Dolnych Łużyc.</i>	
1. W Chociebużu.	27
2. Szkoła.	32
3. Błota	38
4. Do Wietuszowa	43
<i>III. Wrażenia z Górnych Łużyc.</i>	
1. „Wulka kołbasa“	51
2. „Bury“	56
3. Czarnoból	64
4. Pożegnanie Łużyc	72

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOJSKIEGO
w Zamosciu.



ŁUŻYCE.





1399

~~2185~~

Foma Giergozar



100

Zamosc ul
Biblioteka

